

BRAZKI GARYZMU.

PAMIĘTNIKI

J. GORDONA.

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA
1886 r.

ST. STANISLAUS B. M. PAROCHIAL SCHOOL
CHELSEA, MASS. 02150

Pol
G
845

WSTĘP.

Ponad granicą Polski, przesuwa się błędna postać wygnańca.

Jeszcze trochę dalej, a ujrzy on już obczyznę i usłyszy cudzą mowę. Nikt go tam nie zrozumie, nikt nie nazwie swoim synem, swoim bratem.

Przyszłość jego niepewna, nic o niej wy-rzec nie potrafi, i myśli jego, i życzenia zbłąkane! Postępuje szybkim krokiem, zatrzymując się czasami znienacka i zwracając nie-spokojne ucho w jedną stronę, jak gdyby go dochodziło echo drogich wspomnień i dobrze znajomych.

Wieczór jesienny i chłodny; księżyc wychylając z po za szmaty chmur smętne oblicze, świecił bladym i smętnym promieniem, ale nie zagrzewał.

Pociesz się biedny pielgrzymie. Jutrzejszego poranku zobaczysz nieopadłe jeszcze listki nadziei, na każdym listku brylantowe kropelki rosy, one gorące łzy matek Polek zdążających na odgłos dzwonka na jutrznią i płaczących nad dziećmi swojemi.

I ty przecież na wspomnienie na łzy jej nie zapomnisz kraju twego.

Próżne pociechy: pielgrzym postępuje dalej.

„Ja cię zaprowadzę, szepcze mu jakiś głos pokusy, między bogactwa Peru, Kalifornii, Golkondy. Wszak już nie masz ojczyzny? Kraj twój taki biedny, a ty tak młodziutki; wielki świat przed tobą. Pójdź więc za mną, tylko za mną! Wzniosę ci pałac z granitu ze wspaniałymi portyki, otoczony wonnych jaśminów gajem; w salach jego alabastrowych wśród róż, mirtów i szmeru wodotrysków, ssąc życia słodczy, zapomnisz o cierniach przeszłości; spocznieś po trudach spokojnie na miękkich szkarłatu wezgłowiach, otoczony artystycznym światłem tęczyowych promieni w zmroku; hurysy ci się uśmiechać będą, tkliwy jęk harfy pieszcząc ucho, do snu ukołysze i tak przeдрzymiesz to życie młode. Pójdź więc za mną,

daj mi rękę, nie lękaj się — oto ja, Fortuna! rozwiązuję oczy dla ciebie.“

Pielgrzym uśmiechnął się gorzkim politowaniem.

„Czy przypominasz sobie swą malutką Wandzię? kwili znowu, lecz już iuny, srebrny dźwięczny głosik. Czy pamiętasz, jakeśmy razem, rówiennicy złotych latek, zbierając niezabudki w majowy poranek, płasali po nadwiślańskich łąkach, a wieczorem słuchali pieńia słowików? Ja za tobą błądzę okiem, gonię marę szczęścia mego; nic mię nie może ucieszyć, nic chwilowej ulgi sprawić. Spójrzyj! ja jestem też sama, zawsze też sama cichej wioski wychowanka, twoja przyjaciółka młoda, której krasę wielbiłeś tyle, której serce podziwiałeś, gotowa porzucić lubą, domow zagrodę i pójść z tobą, z tobą mój drogi podzielać smutną dolę; rzeknij tylko do mnie słowo, choćby jedno słówko.“

Wygnańca twarz zabłysła uczuciem tajemniczem. Straszniejsza, jak w przyrodzie, w duszy jego zerwała się burza. Niewyraźne, urywane zgłoski jakiejs ponawianej zemsty, czy przysięgi, poruszały jego usta, lecz trudno go było podsłuchać; zwrócił nakoniec tęskne

oblicze z wyrazem rezygnacyi ku Polsce a wiatr unosił tylko słowa:

„Bywaj mi zdrowy kraju kochany!”

ARESZTOWANIE.

„Kto wie, na co się to przyda!”

Rok 1846. Miałem wówczas zaledwie lat dziewiętnaście i świeżo opuściłem ławę szkolną.

Siedząc pewnego dnia w hotelu wileńskim, w Warszawie, w towarzystwie pocziwej kobiety, utrzymującej takowy, i jej krewnego Bolesława, opowiadałem ostatniemu historię zesłanych na Sybir, których ze łąą żegnałem na punkcie zbornym Pragi; opowiadałem mu także niektóre szczegóły dotyczące aresztowania komornika Zarzyckiego, później tak barbarzyńsko gnianego przez strój*), jako należącego do sprawy politycznej księdza Ściegiennego.

Na tę rozmowę nadchodzi młody człowiek, wykwintnej powierzchowności, którego przed-

*) Wyrażenie rosyjskie strój oznacza dwa szeregi żołnierzy opatrzonych prętami, którymi uderzają delikwenta do połowy obnażonego i ciągnionego pomiędzy szeregami, z rękami przywiązauemido karabina.

stawiają mi, jako pana Brzezańskiego, mającego niby ojca w emigracyi, dobrego chłopca, który pozwoli mi być z sobą *sans façon*. Prowadzę więc najspokojniej zaczęłą rozmowę skończywszy oddalam się, a w parę dni odbieram u siebie wizytę Bolesława z Brzezańskim.

Ostatni jest wylany dla mnie. Lew warszawski, a przytem patryota. Lubi on mnie bardzo. Daje mi dowody swego zaufania, ukazując na ulicy, w teatrze, niektóre figury, które mianuje „nieszkodliwemi więcej,” bo on już je odkrył, jako należące do tajnej policyi, i t. d. Słowem, Brzezański bywa u mnie nawet za zbyt często, tak mię kocha i naraża zrećcznie na wydatki pieniężne.

Nadchodzi nakoniec dzień pożegnania. Oświadczam mu zamiar opuszczenia Warszawy i powrotu do domu na wieś, może jeszcze tegoż samego wieczora. Przychoǳę do mego numeru w hotelu, kładę się na sofie i przerzucam gazetę — gdy nagle drzwi się otwierają, wchodzą do mnie skromnie jakieś indywidua po cywilnemu podziwiane, fizognomie podejrzane, pod przewodnictwem komisarza policyi Grasa, ulubieńca księcia Paszkiewicza.

Spoglądałem na nich z podziwieniem. Ka-

żną mi pofatygować się do ober-policmajstra. Wstaję więc — drzwi mej stancyi pieczętują, nieoddawszy mi klucza i nieproszeni siadają zemną ci aniołowie stróże do oczekującej doróżki.

Wszystko to stało się w okamgnieniu.

Oglądam się i postrzegam nie bez trwogi, że taki sam los spotkał i biednego Bolesława. Popadliśmy obydwu w szpony ł a p a c z y .

Przyjeżdżamy więc na ratusz — tam wprędce zrewidowano me kieszenie i posadzono samotnego w stancyję za kratą. Prędzej-bym się był śmierci spodziewał, niż tak nagle ujrzeć się w potrzasku.

Godzina jedenasta w nocy powolnie uderza na zegarze ratuszowym.

Rygle się odsuwają; ukazuje się mym oczom najprzód latarka w rękę, a za nią powstać przechrzty Grasa, w pewnej asystencyi. Prowadzą mię przez podwórze do ober-policmajstra, jenerała Abramowicza.

Nie byłem jeszcze w stanie zebrać myśli dostatecznie.

Abramowicza zastałem siedzącego przy kieliszku wina wraz z hrabią B. Poznałem w ostatnim toż samo indywiduum, który nie-

gdyś gardło sobie podrzynał w skutek narobionych długów, nim został ślepem intryg policyi narzędziem.

Rozmowa moja z Abramowiczem, która nigdy nie wygaśnie w mej pamięci, choćbym żył lata Matuzalowe, była następującą, niemal co do słowa:

— Czy wiesz, za co tu jesteś?

— Nie wiem.

— Czy waćpan słyszałeś o różgach Grasa?

— Aa! — nie miałem tego honoru jenerale.

— Eh, jak on cię każe osmagać, to zapomnisz o swej czapce konfederatce, i śpiewać nam będziesz na inną nutę, niżeli do młodzieży war-zawskiej

— Jestem pod przemocą jenerale. — Ale za cóż ma bić? oczekuję na pytania i posłuszny władzy, odpowiem.

Abramowicz zmienił krzykliwy ton głosu.

— Zabiliby cię — harda duszo bez kontusza. W których byłeś szkołach? — dodał po pewnym przestanku.

— W gimnazyum realnem.

Nastąpiło spojrzenie pełne znaczenia, rzucone na hrabiego B., jak gdyby chciał powie-

dzieć: w s z y s t k o b u n t o w n i k i ! Lecz ten trzymał utkwiony wzrok we mnie, i w ciągu całej rozmowy nic się nie odzywał.

Gadaj więc! ale wiedz młokosie, że sam dyktujesz wyrok swej przyszłości. Łaska, lub żołdacy! Dom, lub tornister. Czy słyszysz?

Wszak miałeś zamiar z Warszawy wyjechać prosto za granicę? Przyznaj się, bo już wszystko wiemy! Podobala ci się konstytucya króla pruskiego i rewolucya krakowska — he? — Gadaj!

Tego wyrazu konstytucya, dobrze nie rozumiem; a co do zamiaru wyjazdu za granicę, gdybym miał takowy, biuro paszportowe byłoby o tem bez wątpienia zawiadomione.

— Kłamiesz! won z moich oczu! Gras, zamknąć go między hołotę — na dole.

— Czuje się w obowiązku zawiadomić panów, że służą mi prawa szlachectwa i, że wszelkiej krzywdy mi wyrządzonej, ja, lub moi krewni poszukiwać będziemy.

— Won! won! — rzucił mi na dobranoc.

Gras odprowadzając mię do więzienia, oznajmić raczył pod sekretem, że choć powinienby mię umieścić gdzie rozkazano, stoli

zważywszy na moją młodość i wychowanie, ofiaruje od siebie, na ryzyko, odpowiedzialności, samotność, bym się mógł snadniej namyśleć; że pod mundurem urzędnika, bije u niego serce człowieka; że bardzo jestem podobny do jednego z jego kuzynów; że mię mocno żałuje i, że pragnąc mego dobra, zaprowadzi mię tam, gdzie byłem tymczasowo, do najlepszego, obywatelskiego numeru; radząc jednak, jakby rodzonemu bratu, że pozostaje mi tylko upaść do nóg jenerała, który przecież jest Polak, wyznać szczerze i ze skruchą, czego żąda, jeśli chcę powrócić swobodnie do domu — bo inaczej maszerować będę, jak to już spotkało mych kolegów szkolnych, braci Drewnoskich.

Całą noc spędziłem po omacku na rozmyślaniu i opędzaniu się od pluskiew.

Ktoś do mnie przez ścianę przyległej komnaty parę razy zapukał. Nie odpowiedziałem mu, nie znając jeszcze języka murów, podobnemże stukaniem, nie wiedząc, że piękna i szlachetna panienska ze swoją służącą obok mnie spoczywały.

Nazajutrz rano, Gras, jak duch prześlado-

wania zjawił się znowu w mej celi, wyprowadził na dziedziniec pod pozorem przechadzki, i długo się jeszcze rozwodził z żydami.

Nie mogę wiedzieć stanu, w jakim się w ówczas znajdowałem, nie wszystko bowiem da się wytłumaczyć, co płynie z dusz naszych wnętrza. Byłem wprawdzie tego przekonania że nic mi zrobić nie są w stanie, atoli jakieś uczucie niewymownego żalu i oburzenia miało mną na przemiany, łzy wyciskając.

Sen twardy, po długiem czuwaniu i zmorzeniu, przyniósł mi nieco ulgi, pokrzepiając ciało. Gdy się jest młodym, snu tak nam potrzeba! Przypominam sobie, że przebudziłem się dopiero na odgłos tajemniczego, znanego stuku. Ciemno już było w stancyi; korzystając z tego, otworzyłem okno, bo też i duszno było. Stałem na stole i przyłożyłem głowę do kraty, pilnie słuchając. Z dołu hałas złoczyńców łatwo mógł pokryć głos mój; usłyszawszy więc lekki kaszel w pobocznem oknie:

— Kto jesteś koieżko? — zapytałem.

— Nim na to odpowiem, odezwał się dźwięczny głos żeński, proszę mi oznajmić, czy to pan jesteś, pan mężczyzna, który w obec Gra-

sa i do tego na podwórzu, nie wstydził się przelewać gorące łezki, próżne jeremiady? Jeśli tak, tłómacz się pan czemprowadź, bo inaczej zrzeknę się tytułu koleżki.

Potem rozmawialiśmy długo, dopóki szumieć na dole nie przestano. Wieczór był czarowny. Mirjady gwiazd, nakształt siatki złocistej, błyszczały na ciemnym firmamencie; gwiazdki tylko sąsiadki jeszcze dojrzeć nie mogłem:

Jakież to zdarzenie! Dziewica ta, o ile zapamiętam z jej opowiadania, mając narzeczonego więźnia stanu w cytadeli i znając jego okno, wychodzące na wał forteczny, przechadzała się tam z matką, a postrzegłszy jakąś gałkę z chleba wyrzuconą, mieszczącą podobno karteczkę od niego, gdy biegła by ją podjąć, została, na alarm sztyldwacha stojącego na straży, zatrzymana, odesłana do policyi i ot, uwięziona z matką oddzielnie.

Miała kogoś z bliskiej rodziny, który był urzędnikiem administracyjnym w ratuszu, gdzie znajdowaliśmy się, a który się starał o jej uwolnienie z narażeniem się na utratę posady, jaką u rządu piastował, lecz nadaremnie.

Nazwisko jej, jeśli się nie mylę Rogale-

wicz. Ilekroć razy mogłem wyjść, choć pod nadzorem na korytarz, korzystałem z każdej okoliczności, gdy dało się poskoczyć do lufci-ka jej drzwi, by złożyć „dzień dobry.“ Odpowiadała mi z uśmiechem spokojnym. Była to ciemno-brewa, w pełnym rozwoju dziewczę- cery alabastrowej i wyraz myśli jaśniał na jej pogodnem czole.

Lecz niestety! toż samo czoło, jak w kil-ka lat potem słuchy mię dochodziły w Kirgiz Kajsackich stepach obnażone później zostało siłą cierpienia z pięknego włosu w mu- rach cytadeli; a sama przy schyłku życia wy- dana matce z tego wielkiego grobowca zbudo- wanego dla myślących, oddała ducha Bogu na jej łonie, wśród narzekań Warszawian, którzy podobno jak i ona postąpili i w poważnym or- szaku odprowadzali do grobu zwłoki siostry, męczenniczki.

W roku 1848, gdy po wielu smutnych przejściach cierpkich kolei losu, popadłem i ja za drugimi, do tej samej cytadeli, i dostrze- głem tam na pół zatarty napis: „Mamo, ach mamo kochana!“ jak gdyby igielką ręką ko- biecą wyryty nad łożkiem mojem, przyszła mi myśl, czy nie był-li on przypadkiem dziełem

nieszczęśliwej mej niegdyś sąsiadki? Winienem jej był kilka błogich chwilek żywota; lecz nie długo to szczęście trwać miało.

Gras znowu za parę dni się zjawił.

U ober - policmajstra zastałem tą razą Brzezańskiego i Bolesława.

Hrabia B. kazał mi pisać kilka bez naznaczenia wierszy za dyktandem, to powoli, to prędko, to cieńszem, to grubszem piórem, już to większemi, to znowu mniejszemi literami; potem porównywano to z jakimiś listami, lecz nic się nie pokazało. Następnie oddalono mię do przedpokoju, a gdy powróciłem, czytano już gotowy, spisany bezemnie protokół najnielogiczniejszy, oskarżający mię: o szkodliwe wpływy, złe zamiary, chęć udania się do Krakowa i namowę do tego innych; słowem, zawierający dużo gryzmołów, a nie poparty zgoła dowodami.

Kazano mi podpisać. Fałsze podpisywać na własną szyję? — odmówilem.

Krzyczano, straszono, nie wyrzekłem ani słowa.

Bolesława stawiano mi na świadki — ten zakrył sobie twarz rękoma i milczał.

Brzezańskiego nakoniec przedstawiano mi

bezczelnie, jako także aresztowanego z niej przyczyny, gdy tymczasem ma dobra sąsiadka widziała tego znanego jej ptaszka, przechodzącego poprzedniego dnia z wolnej nogi przez dziedziniec ratuszowy. Zmierzyłem go więc płomieniejącym wzrokiem.

— No! Co go się boicie, już go więcej nie obaczycie — rzecze Abramowicz.

— Judasz, oskarzyciel, odrzekłem natychmiast, nie ma prawa świadczenia zarazem; a słabego charakteru uwięzionego Bolesława zeznanie, może być wymuszone.

— C o k o l w i e k b ą d ź, ostrzygą ci twoją wymuskaną fryzurę i będziesz karabin piastował, a na odprawkę dam ja ci siekanię! były ostatnie słowa policmajstra.

Zszedłszy na dół z hrabią B. do kancelaryi Grasa, ostatni z udaną wściekłością (zapewne zapominając o mojem podobieństwie do jego ulubionego kuzyna), napadał na mnie szyderczo, nadstawiając wyraźnie swój opasły policzek, jak gdyby najgorętszem było jego żądaniem uzyskać na nim piętno mych pięciu palców.

Ale jakiś instynkt ochronny wstrzymał mię od tego.

Rozum w podobnych zdarzeniach, broń to pono najlepsza, obracając się więc ku hrabiemu:

— Biorę pana za świadka, w braku kogoś innego, rzekłem z całym chłodem, na jaki się tylko zdobyć mogłem, że nie mam zgody zamiaru, najmniejszego zamiaru, wykroczyć przeciw prawu karnemu pod aresztem, by wywołać przez to nieumiejętne zadowolenia na twarzy wielmożnego komisarza policji.

Po tej ostatniej próbie, nie widziałem więcej ani Abramowicza, ani jego bandy.

Zbawiłem się przecież od nich.

Dziewięć dni upłynęło, jednostajnych, długich, jak dziewięć wieków.

Dnia dziesiątego, na chrzest wrzeczadźców o niezwyklej porze, ostatniem, mocnem uderzeniem w ścianę, w którem cała moja ozwała się dusza, pożegnałem nadobną sąsiadkę i opuściłem komnatę w towarzystwie nadzorcy więzienia, ubranego w pełną formę.

Doróżka zakryta oczekiwała przed bramą.

Ciekawość moja była bez granic, co to dalej będzie?

Jedziemy prosto na Saski plac.

Widzę się w biurze komendanta Warsza-

wy jenerała Tuczkę. Nikt do mnie nie mówi ani słowa, tylko spoglądają z pod oka. Nadzorca wyjął jakąś ekspedycję, z wielką pieczęcią, jakby namiestnikowską, wręczył, wziął pokwitowanie, skłonił się i odszedł. Mnie zaś adiutant z pomarańczowym kołnierzem odprowadził niezwłocznie na główny odwach, nie szczędząc przez drogę słów pociechy, gązie i przemocowania. Przed odejściem dał jakiś rozkaz półgłosem oficerowi warty, którego z pochwycenych słów dobrze nie mogłem zrozumieć, nie znając jeszcze języka rosyjskiego, a nazajutrz rano oddano mnie naczelnikowi inwalidów, na punkt zborny Pragi.

Stało się! — Jeden więcej gwałt publiczny caratu! Mówię: caratu — a nie Rosyi, gdyż ta ma jeszcze ludzi, co pojmują, iż system eksterminacyjny jest dla samegoż ich narodu najcięższem pętem niewoli.

II PRZYSIĘGA

NA PUNKCIE ZBORNYM PRAGI.

A więc trzeba podróżować, bo tak rozkazano!

Na drogę potrzeba było wykonać przysięgę w starym kościółku na Pradze, ho tak kazano i musiano.

Powtarzając rotę przysięgi po księdzu, powolnie, z cicha, w asystencyi szpady oficera od inwalidów, myślałem sobie: gdyby cię księżę rozbójnicy napadli i kazali sobie dać rozgrzeszenie za wszystkie ich zbrodnie, czyżbyś im go odmówił?

Ale w tej chwili, na stopniach tegoż samego ołtarza, odbywała się w mem sercu, inna, uroczysta, nieprzymuszona przysięga, w obec Twórcy i mego sumienia. Komu i na co, trudno to było obcemu wiedzieć; tą razą trudno mi już było podsłuchać. W głębi duszy wyryły się słowa:

Że tylko jedno upodlenie ducha,
Sklonić może wolnego szyję do łańcucha.

jako też:

„A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą.”

Piac pragski, to początek mojego długiego w o j a ż u .

W grubej opończy szarej, w czapce szarej z wielkim kwadratowym daszkiem, z zarzuconym na karku mantelzakiem szarym; szaro, szaro, lecz z głową podniesioną oczekuję

rychło w marsz zawołają. Czupryna na mnie przy samej skórze ostrzyżona. Dokąd zaś przyjdzie błdzić po świecie, w którą stronę zagnany zostanę, jest dla mnie tajemnicą.

Widzę się w partyi etapowej, złożonej z kilkunastu różnej barwy ludzi: to mają być moi towarzysze podróży i niedoli razem. Kozaki na koniach i piesi nas otaczają. Ten się żegna z matką, ów daje ostatni pocałunek żonie, której zapewne nigdy więcej nie zobaczy; ja tylko czuję się samotny i opuszczony — ale nakoniec i do mnie Bolesław nadbiega — odetchnąłem. Już zbył on moje suknie, zegarek itd. a w zamian przyniósł mi pikowany kaftanik; ważny to kaftanik, bo ile na nim było guzików, tyle w nich mieścił zaszytych imperyalów. Co większa, wsunął mi także dokładną mapę Rosyi, o którą go prosiłem.

Winienem tu nadmienić, że wyrwał się on przecież ze szponów, lecz pod warunkiem że złożył w policyi piśmienną deklarację, iż nigdy w towarzystwa podejrzane wdawać się nie będzie, a w razie odkrycia takowych niezwłocznie donieść policyi nie omieszka.

Ale o'óż i uradnik kozaczy wychodzi z

kancleryi ze skórzaną torbą i nahajką w ręku; siada na koń, komenderuje i nasz etap snuje się zwolna, pomalu, smutno, w milczeniu, coraz dalej — odprowadzany lamentacjami kilku żydówek, żegnających z rozpaczą macierzyńską swoje, jak nazywały: pochwycone pacholę.

Ktoś tam w partyi odezwał się na harmonijce. Smętne tony pogrzebowego marsza łyżycyścisnęły Bolesławowi; kiwając głową, rzucił mi się z rozrzewnieniem na szyję.

— Doniosę o wszystkim zaraz twojej rodzinie — rozczulony zawołał.

— I dodaj, że będę na Zachodzie.

— Jakto? — czy tak? — miałżebyś — tylko na Boga, ostrożnie!...

— Bez wątpienia; — teraz, bywaj mi zdrów i szczęśliwy; dziękuję ci i żegnam ciebie!

— Jeszcze jedno słówko; jaką nosić pamiątkę naszego, może ostatniego widzenia, się na tym świecie goryczy?

— Krzyżyk na szyi.

I rozstaliśmy się.

— Za kilka minut obejrzałem się, a piękna i zawsze młoda Warszawa, kąpiąca się w Wiśle, ukazała się jeszcze oczom moim, jak

olbrzymia dekoracya z czarownej melodramy. Wtedy głęboki żal mnie ogarnął; mnóstwo wspomnień rodziunych ubiegłej przeszłości: domowa strzecha, piosenki matki nad kolebką mojego dzieciństwa, pamiątki młodocianych igraszek, słowem, owej niepowrotnej przeszłości, tłumem cisnęły się do duszy.

Ale później, im dalej szedłem w drogę, oddalając się od wszystkiego co niegdyś było drogim dla serca, tem różniejszych doznałem uczuć, z jednej ostateczności wpadając w drugą. Zbyt młodo dotknięty klęską, pomimo całej tkliwości wr odzonej, zdziczałem niejako na umyśle. Świat, na który tak różowo przedtem patrzyłem, wydawał mi się niewdzięcznym i niewyraźnie przekleństwa konały na mych ustach.

O Abramowiczu! siłiła się natura na wydanie takiego potworu i w ciężkich konwulsjach cię porodziła — a iluż to takich Abramowiczów?

Nie miejsce tu rozwodzić się nad własną psychologią; lecz przychodzi mi na myśl, że ileż to tysięcy ofiar, zakopanych żywcem w kopalniach Nerczyńska, wałęsających się między arkanami i strzałami hordy kirgizów, lub

wycieńczonych żółtą febrą w szpitalach Kaukazu, doświadczało podobnie gwałtownych wzruszeń — lękając się z nich nawet we śnie wypowiadać!

Boże! daj nam cierpliwości!...

Jeszcze razy kilka obejrzałem się na Warszawę i z daleka, tęskno, poglądałem na jej niknące w obłokach wieżycę, jak na palce groźnie ukazujące ku niebu — nakoniec i te roztopiły się w błękicie.

Żegnam cię ojczysty grodzie!

Uszedłszy cztery mile, przybyliśmy na nocleg do Okuniewa.

Upadłem zmęczony na deski, służące za posłanie w etapnym domu, i nie obudziłem się aż nazajutrz.

Bodajto młodość! Nazajutrz ze świeższym wyszedłem umysłem i uśmiechałem się do przechodzących.

Takim samym trybem upłynął dzień drugi, trzeci i następne.

Czasami zbyt utrudzony moralnie i fizycznie, stawałem się obojętnym, nieczułym na wszystko, co mię otaczało, na wszelkie przygody losu; i takiego to stanu właśnie w ciągu dalszego życia najwięcej się obawiałem,

jako upadku na duchu. W ówczas krzepiłem się zdaniem Fenelona, że ażeby być wyższym nad nieszczęście, trzeba niem pogardzać!

Co się tyczy dalszej podróży, ta była dosyć jednostajną. Tylko wolna pieśń ukraińska, zanucona chórem kozaków; tylko brzęk kajdan niektórych wyrzutków społeczeństwa, lub wychylająca się jasna twarzyczka z przejeżdżającego powozu; tylko napisy więźniów politycznych na ścianach etapów, a przed tygodniem tamtędy idących, urozmaicały czasem takową.

Tak minąłem Siedlce, Białę — z kąd znalazłem sposobność wysłania listu do rodziców. — Terespol, wspaniały most wiszący na drutach nad rzeką Bugiem, i przybyłem za granicę Polski kongresowej, do fortecy Brześcia-Litewskiego, gdzie zmienił się obrazek mego dramatu — nastąpił akt drugi.

III.

NOCNA BIESIADA W BRZEŚCIU LITEWSKIM.

Brześć Litewski! Zamknęto, mnie tu, że tak powiem, w zamknięciu zamknięć; bo nie dosyć, że wały twierdzy oddzielały mię

od kraju, a mury od twierdzy, potrzebaż jeszcze było, aby żelazne zapory u drzwi kaza-maty, oddzielać mię miały od ziemskiej atmo-sfery?

Montesquieu, pisząc o prawodawstwie, uczynił uwagę, że im więcej postępujemy z południa ku północy, tem więcej napotykamy pijanych — ja zaś zauważyłem w ciągu mojej zbyt p r a k t y c z n e j podróży, że im dalej w posiadłościach Rosyi, posuwamy się z zachodu ku wschodowi, tem więcej napotykamy więzień.

W Królestwie, a nawet w pogranicznych mu zabranych krajach, trudno jest rządowi u-organizować się w kłódki, łańcuchy i pręgierze. Tam z trudnością przychodzi osuszanie tego olbrzymiego drzewa życia, które wycierpiawszy tyle burzliwych zamieci wschodnich uraganów, stoi przecież, pamięta, czuje siebie i zawsze jest pokryte liściem nadziei.

Otóż, w Królestwie, moskiewskie konwoje, etapy, znajdują swe stacye oprócz fortec jedynie tylko na odwachach w głównych miastach, lub w jakiejś kamieniczce na ten cel najętej; u żyda też pachciarza, stodołę, stajni karczemnej, lub w pustych chałupach po wsiach

a w kurnej chacie u wieśniaka na Wołyniu. Rzadko gdzie jeszcze postrzegać się daje umyślnie na więzienie zbudowany dom, otoczony palisadą i to tylko przy głównym gościńcu.

Ale za to głąb Rosyi zupełnie inny przedstawia widok. Tam to zajrzyjcie panowie angielscy filantropi, turyści z powołania, a ujrzycie jak stacye pocztowe, tak wszędzie więzienia po drogach; a zobaczycie z blizka i poznacie ten naród, nad którym trwoga i knut despoty panuje — naród rozdzielony na dwie klasy społeczne: na bitych i bijących.

W Rosyi, najpierwsza rzecz, która uderza w oko podróżnego, zbliżającego się gdziebądź do jakiego miasteczka, jest cerkiew, wznosząca się pysznie z pomiędzy gromady drobnych domków: cerkiew w bizantyjskim stylu o pięciu kopułach i pięciu krzyżach — a o podal nie wielki budynek z ogromnym na froncie szylde: *Тюремный Замок*, gdzie jęczą białołłowy, dzieci, zbrodniarze i niewinni, zmieszani częstokroć, jak zwierzęta razem, jęki swe wyrażając najczęściej tem charakterystycznym przysłowiem:

„Do Boha wysoko — do cara daleko!”

W Rosyi już nie kozacy, nie inwalidzi piesi, jak n. p. na Litwie, przeprowadzają aresztantów, ale osobna do tego konna komenda, stale uorganizowana, rozciągnięta, jak sieć we wszystkich kierunkach, snuje się z delikwentami o wyznaczonych godzinach, od stacyi do stacyi.

Powróćmy do Brzeźcia.

Na ten raz w Brześciu duszno mi było za nadto. W izbie, do której partya, z którą przybyłem, zapakowaną została, partya znacznie powiększona w drodze przez wyszłych ze szpitali, polskich rekrutów, znajdowało się nadto kilkunastu żołdatów, tudzież cywilnych. Straszne to oblicza! bo żołdaci mieli pogolone głowy do połowy, zaczynając z przodu od czoła, a cywilni z boku od ucha, wedle praw aresztanckich rosyjskich.

Wyziwy, para, brud, ścisk, harmider, piekło — były nie do zniesienia.

Wywiedziony z granic cierpliwości, poskoczyłem do drzwi i silnie zastukałem.

— Ty szto szumisz? odezwał się stojący na straży żołnierz w korytarzu, zaglądając przed okienko.

Powiedziałem mu, że chcę widzieć nie-

zwłocznie nadzorcę więzienia (smotrytiela).

Mruknął sobie coś na me słowa i odwrócił się.

Wtedy nie umiałem już nad sobą panować — wściekłość mię ogarnęła. — Czy słyszysz żołdacie?! zawołałem piorunującym głosem. — Mam ważny sekret — czy słyszysz? Smotrytiela tutaj czempredzej!

I mało co mi krew nie uderzyła do głowy.

Na te słowa dopiero przyzwał on pódoficera i zakomunikował temuż me żądanie.

Jakoż i smotrytiel, Moskal, wkrótce przybył. Ostatniemu oświadczyłem z drzeniem gorączkowem, że należę do kategorii tych przechodniów dworyan, których tu widział zapewne przed tygodniem, że uciśnienie jakiego doświadczam, jest nad moje siły; że jestem słaby i nie rękę za siebie, jeśli nie raczy mię oddzielić od tego miejsca okropnej pokuty.

— Spójrzij pan na koniec na mnie, dodałem, może i pan masz synów; powiedz więc, czy wedle sumiennego zdania, sądzisz mię być zbrodniarzem.

— Wszystko to dobrze; lecz co pan tu z bałasy wyrabiałeś? — oskarżają pana.

— Eh! panie, rzekłem z goryczą, postaw

się w mojem położeniu i wybacz mi; ale ściśnijcie robaka, to syczeć będzie — cóż dopiero człowiek walczący między życiem a śmiercią.

Smotrytiel słuchając, tylko ramionami wzruszał i zanim dał odpowiedź, udał się do bióra by dowiedzieć się, co jestem z a c z ; a z powrotem oznajmił, że papiery moje odprawione zostały torem zwyczajnym, prosto z Warszawy pocztą do miejsca mego przeznaczenia. Na liście zaś przechodniów, jaką miał tylko, mających się udać aż do głównej stacyi Kijowa, na której i ja zamieszczony byłem, bez wyrażenia jednak mego stanu, w rubryce każdego jest dodano: pod nadzorem, gdy w mojej niestety: pod najśroźszym nadzorem, a w takim razie w czymże mi pomódz może.

Przemawiał z pewnym rodzajem poczciwości, odkrywając to, o czem nie wiedziałem. Wy tłumaczyłem mu więc, że dopisek: „najśroźszy nadzór“ właśnie jest dowodem, iż nie jest zamiarem opiekuńczego rządu, abym umarł w drodze w skutek braku nadzoru.

Rozśmiał się i przeprowadził mię do infirmaryi, wesołego i czystego pokoiku, utrzy-

mywanego więcej dla parady, jak rzeczywistego użytku — co nie jest nowiną w Rosyi — dokąd, jak z piekła do raju się dostałem i w którym miałem zostawać całe trzy dni mego pobytu w Brześciu, dawszy mu słowo, że nie nadużyje jego zaufania.

W infirmeryi nikogo z chorych nie było; ujrzałem się pierwszy raz po wyjściu z Warszawy samotnym — skłamałem; miałem towaryszy oprawnych w pół-skórki; smotrytiel, bowiem, przyniósł mi kilka książek do czytania. Jedyna to uciecha dla więźnia — ale nie do książek mi było.

Zrzucam ja ciężki mantelzak, a ochłonawszy nieco, zaczynam się zastanawiać nad wszystkim, co się ze mną stało, i zbierać rozpiechłe myśli w jedno ognisko, czego dotąd uczynić nie byłem w stanie. Myślę sobie, źle ze mną; coraz dalej, to gorzej. Żal za przeszłością, jęk w obecności, a przyszłość czarnym kiem pokryta przedemną. — O! znośniejsza śmierć nad takie istnienie, ale to trwać długo nie może, jak każda ostateczność!

Po długiej walce wewnętrznej, wyciągam nareszcie z zanadtra kochaną mapkę, wpatruję się w nią pilnie i idąc za popędem instyn-

ktu ochrony przed niebezpieczeństwem, różne projekta układam w głowie. Nako niec, stworzyłem sobie nadzieję — jeden plan powziąłem stanowczo i postanowiłem wszystko, co się da, do niego odnosić; a zara z łżej mi się zrobiło. Lecz ciszej, zdradzam zamiary, które mi wyobrażnia kreśli! Zatopiony w dumaniach, ani zauważyłem, że warta dzienna się zmieniała, że oficer zdawał, jak owce pod rac hunkiem, następnemu: boży ludek mieszkający za kratkami.

Z kolei rzeczy, obadwaj nadeszli i do infirmeryi.

Spojrzeli na mnie — ja im się skloniłem a oni jak przyszli tak i wyszli — ale w pół godziny potem, nowy oficer, już sam jeden, pozbywszy się swego poprzednika, powrócił do mnie i złamaną polszczyzną przemówił:

— Pan przeglądałeś mapę, o ile mi się zdaje. Mój Boże, zapewne daleka droga go czeka?

Nie umiem wyrazić radości na tę sympatyczną odezwę. Gdy się jest opuszczonym, jedno słówko przyjazne tak nam jest drogie! Przyjąłem go zatem z całą uprzejmością; usiedliśmy, zapaliłem podane przez niego cygaro, a potem długośmy z sobą rozmawiali.

Był to dobroduszny Litwin; od młodości służył w wojsku, przeszedł różne koleje losu, był kapitanem plutonikiem na Kaukazie, lecz w skutek zbytniej łatwowierności, zdradzony przez towarzysza broni Moskali, najniewinniej zdegradowany został w żołdacy. Znowu się trzeba było dosługiwać. Za otrzymane więc rany w bitwie z Czerskiesami, znowu go posunięto stopniowo do rangi porucznika; ale ponieważ każdy ma zawsze swojego mola, co go gryzie, biedak, miał go więc i teraz, lecz na ten raz mól jego był w niezwykłych rozmiarach, którego nazywał naiwnie kanalijką. A . tą kanalijką była to córeczka nadjemeńska, blondynka, z czarnemi ognistemi oczyma, do której, jak mówił, serce jego prylipło jak kląjster, i z którąby się chętnie ożenił; lecz na nieszczęście pewien adjutant kozacki, umiejący lepiej od niego po polsku, jawnogrzesznik jak go nazywał, palił do niej cholewki. Frasował się więc, ażeby się Litwinka przypadkiem nie skończyła.

Biedak z rozrzewnieniem wymówił to ostatnie słowo i dodał, że chciałby do niej napisać, atoli sam nie umiejąc, jak należy, wstydzi się prosić kogoś w mieście o wyłączenie, aby

go nie wzięto na języki. Wyraźnie przemawiał się do mnie. Zostawszy mimowolnie tłumaczem jego myśli, schwycilem za pióro i wyciąłem list sążnisty do Litwinki, nie szczędząc strzelistych afektów.

Z tem wszystkiem żał mi się zrobiło poczciwego Litwina. Historya jego życia, jakiż to bolesny obrazek i jak wiele dający do myślenia.

Z drugiej strony, czyż mogłem przewidzieć, aby tak drobna usługa wpłynąć mogła na mą przyszłość a jednakże tak się stało, jak to się okaże.

Dziwnie się jakoś wszystko kojarzy na tym padole. Jakże często losy człowieka, a byt całych narodów, wiszą na jednym włosku!

Odtąd z Litwinem staliśmy się przyjaciółmi.

Aby mi nie zbywało na towarzystwie dni następnych, po zmianie jego warty, poznał on mię w tem samem więzieniu z pewnym oficerem od leśnictwa i poetą zarazem, który już od kiku lat tu się znajdował i jeszcze nie mógł ukończyć procesu wskutek intryg komendanta twierdzy. Leśnik, Kurlandczyk z urodzenia, naoczny świadek mnóstwa ciekawych scen więziennych, blady, jak jego mury, z

duszą jednak gorącą, zaprowadził mię do swej salkowy, a rozpruwszy siennik na którym sypiał, z miną tajemniczą długo w nim szukał czegoś; nareszcie wydobył z tego słomianego archiwum zwój papierów, czarną przewiązanych wstążką, pocałował, jakoby relikwie, rozwinął i oddał mi w ręce. Cóżbym dał za to, gdybym był obecnie posiadaczem tego nieocenionego rękopismu! Wszystko, co wyobrażnia, bogactwo myśli, wzniosłych uczuć, przelać mogą na papier, tam się znajdowało skreślone ręką polskich wygnańców w formach piosenek, ballad, dewiz, różnych strof, strofek, akordów i urywków z dramatów. Odczytałem co mogłem i rękopism wsunął się znowu w gruby płócienny worek, jak do trumny, oczekując zmartwychwstania.

Tegoż samego wieczora, była kolacya zastawiona w infirmaryi. Zaufany żołnierz, Polak, został postawiony na warcie, przed frontem odwachu przy bramie turmy, a drugi podobny jemu, w korytarzu. Litwin zaś, Kurlandczyk i w burej szyneli Koroniarz, wznosili toasty. Cisza panowała do koła; tylko od chwili do chwili przeciągły okrzyk „sł u - s z a j!” szyl-dwachów fortecy, mieszał nam nocną gawędę;

tylko brzęk łańcuchów przewracającego się we śnie aresztanta, przechodził przez zapory do naszego ucha. Różne tam zaprawdę między nami były pogadanki. Każdy naturalnie, wynurzał przedewszystkiem to, co mu ciążyło najwięcej na sercu. Już spełniłszy zdrowie kanalijki; ja zaś na deser, spojrzawszy na moskiewskie mundury mych współbiesiadników, powiedziałem im powiastkę następującej treści:

„Horda Tatarów zajadle napada na obwarowane szanćcami wzgórze, z kąd mężny daje odpór garstka Polaków; ale przemoc tłuszczy rozjuszonych wkrótce ma wziąć górę. Już głosy: kto się w opiekę ozwały się chórem obłączonych. Prałat przed figurą Zbawiciela wzniesioną na samym szczycie, otoczony duchowieństwem, gronem niewiast i rycerzy, błogosławi wiernym braciom w Bogu, a poważny jęk dzwonu, wtoruje pieśni pobożnej. Chwila to wielka, chwila uroczysta; hymn wysłuchany został i cud się zjawił. Patrzcie niedowiarki: oto Chan tatarski, zamiast prowadzić naprzód hufce dziczy, nagle zatrzymuje się, jakby piorunem rażony, staje, zastanawia się, oczy mając w jedno miejsce wlepione, tam, gdzie się

odbywała ofiara święta; słucha i jakaś melodia jakaś dziwnie miła harmonia, rajska muzyka uczuć, przygrywa jego duszy przebudzonej. Zda mu się, że te same śpiewy, też same dzwonki słyszał on kiedyś nad kolebką swego niemowlęctwa; zda mu się, że gdzie myśl jego teraz spoczęła, tam jego ojczyzna i popioły nieznanym mu przodków które szedł znieważać co większa, przypomina sobie nawet te same miejsca i toż samo wzgórze. Przypomina sobie dzień okropny, pożar wsi, zamieszanie, gromadę zbrojną w chacie, krzyk rozpaczny swej matki — słowa: r o d z i n a, o j c z y z n a, nibyecho przeszłości, konają mu na ustach. Słowem, cud to niesłychany. Z rozpaczą wrywa sztandar jaśniejący półksiężycem z dłoni przerażonego mułły i miotając przekleństwa, niepomy na wielkiego A l l a h a, druzgoce go o czaszki tatarskie.“

Legenda już przebrzmiała — moi współbiesiadnicy jeszcze jej słuchali. Brzmiała w ich sercach, choć umilkła dla ucha. Nastąpiło ciche westchnienie, północi serdeczne dobranoc. Patrol miał obchodzić kordegardy, potrzeba się było rozejść.

Trzeciego dnia, dnia ostatniego mego po-

bytu w Brześciu, Kurlandczyk dał mi kilka listów rekomendacyjnych w dalszą podróż, a spodziewając się sam być zesłany na Kaukaz i może tam mię spotkać, skreślił na pożegnanie, te trzy tkliwe zwrotki:

Kohda uproszu ja Boha,
S'menia okowy posnimat,
Tohda pierwaja doroha,
Tebia moj druh, tebia obniat'.

I w żiznienoj puti,
Wsiehda bud' szczastliw ty,
No nie zabud' ty obo mnie,
Chot' budziesz w dalnoj storonie.

Meżdu Kawkazkimi gorami,
Najdi ty szczastije swoje,
I kak uwidiszsia s druzjami,
Otdaj pocztienije moje.

IV.

POGLĄD FILOLOGICZNY NA JĘZYK ROSYJSKI.

Zanim przystąpię do dalszego opowiadania mych przygód, rzucić muszę kilka poglądów filologicznych na język rosyjski, wspomniawszy o oficerze Litwinie, który tak przylił do kochanki, a z nim i o wielu innych, z których jedni złamali język własny, a nie zdoła-

li nabyć obcego; drudzy gorzej, bo zaparli się rodowitego, a przyswoili cudzy.

Cyprian Robert, w broszurze: *Deux panslavismes*, nazywa język rosyjski językiem komendy; ja zaś nazywałem go zawsze barbarzyńsko śpiewnym. Jakto? zawoła niejeden z unoszących się nad jego pięknościami.

Porównajmy go z językiem polskim i innymi: n. p.:

S k a r b.

Ten wyraz wywodzi się od k a r b u. Ojcowie nasi karbowali ilość darów, złożonych w skarboneę w ofierze. W łacińskim i francuzkim języku: *thesaurum*, *tresor*, mówi coś o złocie. Jakaż jest etymologia skarbu w rosyjskim? Zaprawdę, bardzo ciekawa, posłuchać proszę:

Iwan Groźny, gdy w pień wyciął republikańskich Nowogrodzian, kazał skonfiskować majątki k a ż n i o w y c h, poznosić do skarbu publicznego (k a z n y).

Każnić k a z n i !', skarb, k a z n a; kasyer, k a z n a c z e j; są to więc wyrazy do dziś dnia niezmienione, nawet w języku urzędowym, i tak trafnie po wszystkie czasy oznaczają grabież moskiewską.

Bez wątpienia niewola i despotyzm wpłynęły przeważnie na rozwinięcie się w ten sposób języka. Nie wchodząc w wywód jego zupełny, przedstawiam tu niektóre próbki w takim stanie, w jakim się obecnie znajdują.

Ż a r t o w a ć z k o g o ; ś m i a ć s i ę
z k o g o i t. d.

Żartować z kogo, szutit' nad kim; śmiać się z kogo, smiejatsa nad kim. Cóż to znaczy? A oto, że Moskal śmieje się z ciebie, szydzi z ciebie, wtedy, gdy już ma górę nad tobą.

D o k t ó r , l e k a r z .

Zowie się u nich w r a c z od słowa wrat, łąć. Gdy mnóstwo cudzoziemców przybyło oświecać ciemną Rosyę, tem ich ochrzczono imieniem -- i do tego czasu lud nie wierzy w nauki. Uczonego z przekąsem i urąganiem nazywa fizykiem. W o t k a k a j f i z y k ? ! — Co mi za mędrek?!

S k o m p r o m i t o w a ć s i ę .

To słowo jest spolszczone. Przodkowie nasi go nie stworzyli. Po rosyjsku skompromitować się, wyraża się jedynie przez: U d a r i t' licom w g r i a ż — twarzą w błoto upaść. M y n i e u d a r i m l i c o m w g r i a ż — my

twarzą w błoto nie uderzemy — słyszysz bezustannie powtarzających Moskali, zwłaszcza, gdy ci co obiecują: ale nie dowierzaj zielony krótkowidzu, bo czyż sami ci nie powiadają, że oni póty się nie skompromitują, dopóki swych twarzy błotem nie zmażą.

C n o t a.

D o b r o - d i e t e l; wyraz złożony, jakkolwiek tak ważny, a jako złożony wedle przyjętego pewnika filologicznego, nie źródło-słów to, nie pierwiastek, ale wynik z późniejszych potrzeb.

P e w n y .

C e r t u s . My pojmujemy to zapewne, co wypłynęło, że tak powiem, z c e r t o w a n i a się, rozumowania, dociekania prawdy; po rosyjsku zaś, pewny, w i e r n y j; pewnie, w i e r n o, wiara, w i e r a; upewnić się, u w i e r i t' - s a. Dla nich wszystko jest pewne, co się opiera na ślepej, nieoświeconej wierze. Ztąd car dotąd jest pewny, choć groźny Jehowa ziemski, a wyrok jego: b y t' p o s i e m u! — tak być ma! — jest świętym wyrokiem, i t. d.

Przysłowia rzucają więcej światła na charakter narodu, niżeli pojedyncze wyrazy. Weźmy na przykład choć jedno pod rozbiór.

P o k ł o n u ś p i e c h u.

Kto chce je zrozumieć w całym znaczeniu niechaj zamiast jechać na karnawał do Wene-cyi, zajrzy do Moskwy.

Ostatki w Moskwie. Ulubiona, szalona szlichtada ma się zacząć. Tłumy ludu oczekują niecierpliwie naznaczonej godziny wyścigów; ale i ta nakoniec uderza. Woźnica świsnął przeraźliwie, konie zadrżały, poskoczyły i znikły.

Proszę widzieć, jak dwie dziarskie trójki biegunów stepowych, uprężone w o r ł a, z dzwonkami, puszczają się w zawody. Tylko kawały śniegu zlodowaciałego pierzchają z pod ich kopyt; tylko knuty, podniesione do góry przez wychylonych z sanek woźnic, migoczą w powietrzu, a trójka trójkę naprzemianny mija, to dogania, to znów mija, bo chodzi o to, kto pierwiej do mety dobiegnie i otrzyma puchar złoty. Tysiączne hurra! widzów ozwały się do koła.

Powodzenie ścigających się długo było niepewne; ale otóż i przypadek może coś zdecydować, bo koń u jednych sanek pada.

P o k ł o n u ś p i e c h u! pokłon u ś p i e c h u! nagle wrzasnęły tłumy.

Wcźnica się jednak nie zraża, lecz wyrywa kindżał z za pasa i lotem błyskawicy odcina uprząż upadłego nieboszczyka zostawiając go na śniegu, sam zaś, o dwóch pozostałych rumakach, dościga, nie tylko, że dościga, ale prześciga swego współzawodnika.

Już, już, jest blisko mety — hurra znowu zagrzmiało w powietrzu.

Na to powitanie ostatnie daje on dowody zręczności, ale trzebaż nieszczęścia, drugi raz podobny los go spotyka, drugi koń, pośliznąwszy się, wykręca nogę i pada na drodze.

Dzielny wcźnica z rozpaczą spojrzał ku niebu, przeżegnał się; nie traci jednak przytomności, ale i na ten raz rzuca się z sanek z kocią zręcznością i odcina biedną szkapę, a sam, sam o jednej pozostałej staje pierwszy u mety z tuż za nim doganiającą go trójką. Stał, to prawda, ale jego ostatni biegun wzdrygnął się razy kilka z przesilenia, i tocząc pianę, zachwiał się i upadł.

Pokłon uśpiechu! Pokłon uśpiechu! znowu zewsząd zawołano.

A teraz, panowie cudzoziemcy, mistrzowie w wyścigach, proszę powiedzieć, jak wam się też zdaje: któremu z dwóch woźniców o-

fiarowano puchar? Bez wątpienia zawołacie jednogłośnie, że temu, który dokazał cudów zręczności, na złość fortunie, która mu się wcale nie uśmiechała.

Otóż się mylicie; bo nie znacie, ani języka, ani charakteru Moskali. Teraz więc wam powiem, że pokłon u śpiechu znaczy: cześć powodzeniu. Zręczność, talent, siła, odwaga, to wszystko u nich niewiele ma znaczenia, bez powodzenia. Zauważałem to wielokrotnie, chociaż, jak wiadomo, nie ma reguły bez wyjątku.

Woźnicy żyjącej trójki przyznano więc nagrodę. Oto fakt! oparty na przysłowiu, który więcej mówi od filologicznej teorii.

Z ogólnego poglądu na język rosyjski okazuje się, że tenże nie objawia przenoszenia mocy twórczej słowa w masę narodową. Zaimek osobisty: ja, który tak wielką gra rolę w mowie polskiej, który nie wie dzie bynajmniej do egoizmu, ale owszem, rozlewając swą siłę na całą mowę rozległość czyni ją mową wolną — zaimek ten prawie nie ma miejsca w mowie rosyjskiej; ale za to w ciągłem tam jest użyciu inny, zupełnie mu przeciwny. Tym zaimkiem jest: ty. Takie ty jest wyra

zem wywierającego się ja na drugość, nie dla jej ożywienia własną potęgą, tylko dla zmateryalizowania, do podeptania. Jest to język absolutnego despotyzmu. Na przykład: k a k t y s m i e ł ! ? Sam akcent jest uderzaniem, przyciskiem wywierania się na drugość, rozwścieklonym hukiem, jak pięść ustopniowanego żołdaka, policzkująca bezprzestannie, prawie do bryzgania szczęk, zbydlonego żołnierza.

O! ochraniajmy nasz język od moskiewszczyzny, bo jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegoż się nie lękać od spojenia? O żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ginać macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego języka. Wymazane są z geograficznej karty dwa te najslawniejsze narody, a imię ich, w porządku historyi politycznej i moralnej, błyszczy przed wszystkiemi.

‘Zaprawdę, rzekł Libelt, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi, z języka naszego możemy się ratować. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym

chrześcianom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją we flaszczyki i dawali męczennikowi do grobu z napisem: pro Christo. Podobna zasługa jest uprawia- czy i kształcicieli języka narodowego i dzieła ich w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: pro pa- tria.“

V.

KONWÓJ MOSKIEWSKI.

Opuściwszy tiuremnyj zamok w towarzystwie po większej części rekrutów, ze zwykłego naboru wojskowego, zostaliśmy od- prowadzeni pod konwojem z odwachu do kan- celaryi inwalidnej; z Brześcia bowiem, już nie kozacy, ale inwalidzi z karabinami przeprowa- dzają aresztowanych w głąb Rosyi. W kance- laryi oczekiwaliśmy dalszych rozkazów; ale ja- kież było moje zdziwienie, gdy znienacka wno- szą tam z brzękiem sztaby żelazne, długie na parę sążni, na których były ponasuwane rę- kojeście, czyli małe kółka, jak gdyby służące do przyczepiania rąk ludzkich. Każda sztaba była opatrzona na końcach wielkimi kłódka- mi, nie dającymi rękojeściom zsuwać się z tejże.

Zdumiałem na ten widok. Nigdy o niczem podobnem nie miałem wyobrażenia nawet. Zdawało mi się z początku, że to strachy; lecz potem myślę, pocóżby nas straszono? wszak tu nie należymy do komisji śledczej, oddani już jesteśmy władzy wykonawczej.

Miałoby się to więc wykonać? — podobne bransoletki — a niechże was? — Takie tortury i za co?

Krew się we mnie ścinała z oburzenia.

Przypomniałem sobie, że Kurlandczyk napomknął mi nawiasowo, iż komendant twierdzy, a jego prześladowca, dopuszczał się także różnych nadużyć, przeciwnych prawu z przechodniami, przez obawę, aby nie chronili się ucieczką wśród wołyńskich lasów.

Zakują więc, gdzie tu prawa szukać? Żołnierze odejmują kłódki, już zsuwają z zardzewiałych prętów rękojeście, słowem, przygotowują wszystko do operacji.

W końcu zjawia się pisarz z listą imienną, wyzywa każdego zamieszczonego na niej po kolei, gdy tymczasem żołnierze przyczepiają go za rękę do pręta. Już nie ma żadnej wątpliwości — przyszła kreska i na mnie.

Ale ja ani chcę słyszeć o łańcuchach i o

pędzam się jak mogę, przechadzając się szerokim krokiem po kancelaryi.

— Szto eto? szto eto? buntowszczyk? woła pisarz, jak oparzony.

— To to, że nie pójdę przy pręcie!

Wpatruje się we mnie, jak gdyby badał moją bieliznę i haftowany kaftanik, wysuwając się z pod siermięgi.

— Pajdiosz — pajdiosz! rzecze, przeciągając z ironią.

— Ja dla ciebie nie ty, ale wy, dworyanin — generalski syn! — dodałem na ryzyko. Nie śmiej mię tykać, rozumiesz?

Pisarz wytrzeszczył oczy, i odpowiedział że nie ma dokumentu na moje szlachectwo — chyba, że sam posiadam takowy, dodał chrapowatym od pijaństwa głosem, z pewnem mrugnięciem i znaczącym uśmiechem...

Wiedząc, że najlegalniejszym dokumentem dla podobnych oprawców w takiej okoliczności, będzie to żółty imperyał, już wsunąłem rękę pod siermięgę, by oderwać guzik od kaftanika, gdy drzwi się otwierają: wchodzi otyły naczelnik od inwalidów, a za nim, proszę zgadnąć kto? Oto pocziwy Litwin, mój anioł opiekuńczy, którego straciłem już nadzieję

oglądania, jakkolwiek zmieniając się z warty, pożegnał mię tylko: do widzenia. Rzuciliśmy się sobie w objęcia. Następnie polecił on mię względem naczelnika: a gdy ten odszedł, Litwin jeszcze pozostał, wyprowadził mię i zalecił podoficerowi mającemu konwojować zakutą partyę, aby zważając na moją młodość, miał o mnie staranie w podróży, jak o własnem oku.

Podoficer, wyciągnięty jak struna, słuszaj u! odpowiada, a ja swobodny od więzów, przedłużam drogę.

VI.

WSPOMNIENIA O WOŁYNIU.

Rozum mi nakazywał, ażebym, im dalej będę postępował w drogę, tem więcej jednał sobie względów; gdyż co kilka dni, gdy się przybywa do punktu, podoficer, zdając następnemu partyę, daje zarazem świadectwa o indywiduach w niej się znajdujących; mnie zaś, jak każdemu więźniowi, zależało na tem, a bym miał rekomendacye jak najlepsze. Nie szczędziłem więc w potrzebie i złotych dla podoficerów w celu przeciągnięcia ich na swą

stronę, bo tylko tym sposobem mogłem, choćby na kilka cali, rozszerzyć me pęta! Pomi-mo tego jednak, postanowiłem ile możności najmniej odpruwać mych pieniężnych guzików.

Zauważyłem, że o ile kozacy byli ludzie pod niektórymi względami dla aresztowanych, o tyle inwalidzi bez litości; lecz o ile pierwsi ostrzy w wypełnianiu służbowych obowiązków o tyle ostatni zepsuci dwudziesto pięcioletnią służbą u cara, co mię mocno, choć względnie cieszyło.

A tak, gdy zbadałem nieco otaczających nieprzyjaciół już nie byli oni tyle straszni; już w postępowaniu z nimi, nie szedłem za popędem łojazni, ale czystego rozumowania, wynajdując, że tak powiem, sposoby ratowania się na sposoby ucisku. I lepiej mi z tem było.

Jedyna boleść, jakiej nie stłumić nie zdołało, był smutny widok ziomeków, wleczonych jak trzoda i do tego na zakówkach, środkiem gościńca; po kilkunastu ściśniętych przy jednym pręcie; jeżeli było błoto, bryzgających jeden drugiego; jeżeli kurzawa, otoczonych i oddychających czarnym tumanem pyłu, wydobywającego się z pod stóp tyłu ludzi nagro-

madzonych razem i osiadającego na ich spocniętych od trudu twarzach; na co ciągle idąc ścieżką obok gościńca, patrzeć musiałem. Gdy jeden z nich potrzebował się zatrzymać, cała partya za nim naturalnie, to samo uczynić zniewoloną była; gdy jednemu wypadło się schylić, pociągał za sobą drugich; a na ich rękach widać było krwawe piętna od obcierania o żelazną sprzężę.

Na noclegach rozkuwano ich tylko z rozkazu oficera na punktach etapnych, gdzie zwykle dla odpoczynku przepędzało się tak zwaną *dniówkę*; lecz w drodze, wszyscy jak mrowisko zmieszani, ległszy na ziemi jak mogąc, jedni na drugich, z wyciągniętą dłonią do pręta, zasypiali, jeżeli nie byli w stanie zrobić między sobą składki, by okupić u żołdatów jedną noc spokojną. Za najmniejsze opieranie się rekrutów, smagano ich różgami. Często przywiedziony do gniewu tem tyrańskim z nimi obchodzeniem się, rozpoczynałem kłótnie z żołdactwem, dla którego nic nie ma świętego; ale mi odpowiadano: *Nie wasze dzieło mieszał'sia!* I rzeczywiście, nie mogąc przynieść pomocy nieszczęśliwym, wyjąwszy w drobnych usługach, mogłem tylko zaszkodzić

sobie przez zawodzenie różnych sporów.

Ciemieźca znieść tego nie może, zarówno gdy za sobą, jak za drugimi, przemawiamy.

Czasami napisałem do dworu po żywność dla biednych, lecz z nadesłanej żołnierze większą część dla siebie chwyтали.

Na pierwszej stójce za Brześciem, bez wątpienia poszedłbym był pod klucz z mymi towarzyszami niedoli, bo tu nowa władza; zapobiegając temu, wyciągam list od Kurlandczyka i posyłam go kapitanowi. Wezwał mię; kazał zwyczajem rosyjskim nastawić samowar: poczęstował czajem (herbatą) i sam popijając, gawędził to o tem, to o owem; potem zdjął z okna małe pudełeczko z kompasem, który kupił podobno od koczującego kramarza i poprosił, abym mu objaśnił jego użytek i znaczenie. Z wielkiem zadowoleniem słuchał, co mu w tym przedmiocie mówiłem; dziwiło go tylko i naiwnie to wyrażał, jak też rząd ludzi, co takie rzeczy umieją, mięsza z wyrzutkami społeczeństwa. Słowem, był to sobie dobriak, jakich armia rosyjska ma wielu. W końcu, pozwolił przenocować w karczmie, z przydanem niby do usług żołnierzem.

Przed odejściem ofiarował mi także pa-

czkę czaju twierdząc, że jest wysmienity, bo pochodzi z najżyźniejszej gubernii Rosyi: aż z Pekinu. Oh! te słowa grubej nieświadomości oficera rosyjskiego, mogą kiedyś stać się prawdą geograficzną, jeżeli Europa zachodnia nie będzie się mieć na baczności!

Bądź co bądź, w karczmie choć wiele zastałem gawiedzi, atoli tulając się ustawicznie po więzieniach, weselej mi na ten raz było wśród chłopów, kumoszek, igrających kociąt i wesołej, udatnej szynkarki; było w tem wszystkim bowiem coś familijnego.

Odbywając dalszą podróż podobnym torem, przybyliśmy do Kowla. Tu miałem tylko liścik do sekretarza marszałka. Już nas powiedziano w rynek na odwach, ale postrzegłszy gromadkę ciekawie nam się przyglądających żydków, jakby upatrujących między nami dzieci izraelskich, korzystając z czasu i sposobności, rzucam jednej z żydówek mój list, mówiąc: zanieś to czempredzej do bióra marszałka. Hoża żydóweczka, zaledwie go pochwyciła, pobiegła jak strzała; mnie zaś zamknięto do dalszego rozporządzenia.

Zauważyłem, że coś w brudnej kazamacie trzeszczało pod nogami: było to robactwo.

Na szczęście pół godziny nie upłynęło gdy naczelnik przybywa i oznajmia, że na prośbę zanesioną do niego, kapitana i naczelnika, łaskawie dozwolić mi raczył udać się do sekretarza marszałka, a nawet jutrzejszą dniówkę tam spędzić, z warunkiem atoli, że na noc winienem powracać na odwacn i spać w izbie feldfebla. Radość moja była wielka.

Pokłoniłem się epoletom kapitana i naczelnika i rozumię się, nie dałem sobie powtarzać pozwolenia, ale nie tracąc chwili, pobiegłem złożyć uszanowanie zacnemu rodakowi. Oczekiwał mię w ganku. Nigdy on nie wygaśnie w mem sercu i pamięci; w domu rodziców nie doznałbym więcej opiekuńczej troskliwości ile u niego.

Dziwnie musiałem się wydać obok uprzejmej gospodyni domu, siedząc na kanapie w mojej, czyli raczej skarbowej siermiędze buryku, podobny do niedźwiedzia sibirskiego. Z tem wszystkiem dosyć prędko zaprzyjaźniliśmy się; ona wzruszona moją niedolą, ja wdzięczny za jej i męża współczucie.

Była to niedziela.

Wieczorem poschodzili się goście: kilka

panien, z pomiędzy których przypominam sobie dwie siostry Angielki de L a s s y; ksiądz proboszcz i dwóch obywateli ziemianinów.

Zagadałem się bardzo z mężczyznami; nie uszło jednak mej uwagi, że damy wyniosły się do drugiego pokoju, pruły i strzygły jakąś suknię i przez cały wieczór szybko igielki przesuwwały się w ich palcach. Wyszły nakoniec, dając mi piękną marynosową bluzę w darze, zaimprowizowaną ich rączkami.

Brawo! zawołali mężczyźni.

Właśnie też i do wieczery nakrywano; potrzeba zatem było pomyśleć i o swej toalecie. Z pomocą żołdata w przedpokoju, zrzucając obmierzły burzyk, a natomiast nadziwiam bluzę, przepasuję się szafanowym paskiem i po takiej metamorfozie zasiadam do zastawionej wieczery, w gronie pocziwych Wołyńianek.

Nieszczęśliwy zapomina o swem nieszczęściu, kiedy się znajdzie wśród Polek; nieznośny ciężar na krótką chwilę spadł z serca. Jeszcze raz podziękowałem panienkom za ich podarunek, który z taką radością i zaufaniem przyjąłem, z jakim sławny Russo przyjął flanelową sukienkę od hrabiny Epinay dla zro-

bienia sobie kaftaników, a nazajutrz, zawdzięczając jak mogłem, odczytałem im Konrada Wallenroda.

Gdy Konrad deptał kapelusz swego mistrza z pogardą, panienkom łezki w oczach błyszczały; mnie szary płaszcz wrażał się mimowolnie w pamięć.

Wybiła nakoniec, niestety, godzina rozstania. Z żalem opuszczałem Kowel.

Jeżeli kiedy to w on czas wspomniałem słowa Malczewskiego:

W tym widzę dziwnym świecie wiatr pociechę wodzi,
Bo ledwo witać zdążysz, żegnać się przychodzi.
I częstokroć na zawsze!

*

*

*

Russe, pisząc przez lat 20 swą książkę, którą nazwał Spowiedzią, przedstawił nam w najprostszych rysach pełny rozwój życia człowieka. Lamartinowi zarzucano, że ogłaszał swoje, „Zwierzenia się.“ Nie mam ja bynajmniej pretensyi wchodzić, jak to wolno było znamienitemu filozofowi lub poecie, w drobne szczegóły własnej biografii — nie zaiste — atoli cóżbym dał za to, gdyby mi wolno było choć od 1846 roku, daty, od której zaczynam opowiadanie moich przygód, prowadzić dzienni-

czek wszystkiego co się widziało, sły-zało, my-ślało i czuło; dzienniczek, mogący posłużyć o-becnie za materyały! Lecz żyjąc pod rządem, gdzie nawet wygadanie się z swych u-czuć mogło być poczytane za występек, dziś jedynie ze zgliszczów ubiegłej przeszłości odkopuję niniejsze obrazki.

W tej chwili naprzykład, różnorodne, za-mglone czasem wspomnienia wirują bez ładu w mej głowie. Różne postacie, grupy, nogi-ły, szkielety dopominaające się natrętnie, cier-niowe korony, biegą w pamięci, jak stada pta-ków odlatujących pod jesień. Chcę je ścigać, chwycić, lecz one miewszają się i nikną, jak blade meteory. Z wypadków tylko, które wyryły się niejako w młodocianej duszy, u-snute na prędce szkice, zapisuję tu z nieśmia-łością. Niech je czytelnik w swem sercu wy-kończy.

Postępującemu z Brześcia ciągle ku południowi, przez Kowel do Łucka, Wołyn jako miejscowość w dosyć posępnej ukazuje się panoramie. Zaraz za B. giem nagła zmia-na krajobrazu uderza wzrok podróżnego. Zni-żyły już gustowej architektury stacye poczto-we, wspaniałe domy zajezdne, jakby pałace;

zakłady fabryczne, murowane wioski, altany angielskie ogrody i strzyżone szpalery, napotykać się dające w Królestwie przy szosach, wijących się jak białe wstęgi, wśród zielonych łąk i gajów; znikł ów ruch i zgiełk, cechujący kraje ożywione przemysłem i handlem, ale nie znikła staropolska gościnność i zacność w sercach Wołyniaków. Niejednokrotnie i to w niedoli, otrzymałem dowody takowej gościnności. W Królestwie, trzeba rękę do piersi przyłożyć, aby słyszyć, że serce moje bije — a mocno bije — na Wołyniu, serce jak na dłoni.

Przybyliśmy do Łucka.

Na najętej w drodze podwodzie, z powodu nóg popodbijanych marszem, do miasta sobie wjechałem najspokojniej, o niczem złem nie myśląc, gdy nagle ni z tego ni z owego, zjawia się jak z powietrza jakiś junkier, Polak zmozkwiczony, i jak szalony który się wyrwał ze szpitala waryatów, wytykając mię palcem: „Ja, gdybym był carem, to zamiast ich wozić, powywieszać bym kazał!” wrzeszczy do przechodniów na całe gardło. Przechodniami tymi byli profesorowie i uczniowie z czerwonymi kołnierzami, wychodzący o południu ze szkół

obwodowych. Powitali mię oni sympatycznym ukłonem, a jeden studencik mialutki, czupurna sztuczka, odezwał się do napastnika: Nie dał Pan Bóg rogów, bo by bodła. Drugi zaś wyższy, dodał: Przecie to wieprzek rodzaju męskiego.

Po tej ulicznej scenie, zaprowadzono naszą partyę na podzamcze i ustawiono szeregiem przed domem naczelnika. Rozkryliśmy tłumoczek i pisarz odbył ścisłą rewizyę, wedle zwyczaju używanego powszechnie na etapach, aby się przekonać, czy kto utratą, przemienieniem jakiej rzeczy, nie przyniósł uszczerbku skarbowi.

Do Łucka nie miałem żadnej rekomendacyi, ale za to podoficer dostał tego dnia pół rubla, aby mi służył za patrona.

Powiedział więc kapitanowi, że przez całą drogę, z woli naczelników, stawałem na kwaterach; że w niczem nie nadużyłem tego; a nawet byłem pożyteczny; jako „gramatnyj” piśmienny, do apelu innych; nakoniec, że słuchy niosą z Brześcia, jakobym był generałskim synem.

Po tak korzystnem sprawozdaniu, powró-

cił do mnie i przywołał do kancelaryi przed kapitana.

U Rosyan czyn czyną poczytajet; to jest ich pewnikiem; zasadą życia społecznego, duchem towarzyskiej organizacyi. Ponieważ na poprzednim etapie, naczelnik dał mi nieco wolności — choćby ta tylko była wyjednaną za worek grochu lub mąki od obywateli — ten więc szanując wolę sąsiada, by w razie i jego szanowano, także łaskawie dozwolił mi przymieszkiwać w izbie rzemieślników wojskowych; tam mię też zawiedziono, a innych do zwalisk zamku łuckiego, do murów którego przylepiono nowo zbudowane więzienie.

Po mieście rozszedł się tymczasem odgłos o moim w Łucku pobycie, i młodzież zaczęła mię odwiedzać, znosząc tytoń turecki (kontrabandę żydowską), cygara z Rygi, i t. d., a co najważniejsza, udzielając wiadomości miejscowych, wychodząc na zwiady, jakie mi tylko potrzebne były. Junkier więc, ladaco, zamiast zaszkodzić w opinii publicznej, to mi jeszcze pomógł. Przyniesiono także kartę Kaukazu, na który poglądałem jak na klatkę, niemal zewsząd okrażoną redutami moskiewskimi. Mówiono, że w miarę zbliżania się ku Kijowu,

coraz mniej współczucia znajdywać będę; że w Kijowie zobaczę jeszcze, może, kilka dam partyotek, a dalej, to tylko usłyszę słowo nie-szczastny z ust włościanina, lub ujrzę chłopca, wybiegającego za mną z chaty z kołaczem w ręku w darze i uciekającego napowrót.

Smutna perspektywa. Odszukiwać odemnie będą, jak od wyklętego, jak od Paryi! Szyniel więc ma mię oddzielać od wszystkich istot ludzkich!

Wieczorem odebrałem wizytę pana Naruszewicza. W Łucku jest wielu tego nazwiska; są podobno dobrzy i źli Naruszewicze. Otóż przybywający zrobił mi miłą niespodziankę. Wydobyszy list: poznajesz pan tę rękę? — i zapytał. List od matki! który mię rozczerpiał; list czyniący nadzieję zwrotu mię z drogi, w skutek zrobionych w tej mierze kroków do Paszkiewicza; zachęcający, abym nie upadał na duchu, polecił się Opatrzności, słowem, kreślony ręką macierzyńską.

Wyszedłem na balkon; cicho było wszędzie; niebo szarym płaszczem się odziało; światełka w oknach dworców, rozrzuconych tu i owdzie po wzgórzach, migotały w odda-

leniu, a fantastyczne ściany starego zamczyska, świadka dawnych dziejów, powaźnie rysowały się na ciemnej kanwie nocy. Tylko tkliwe dźwięki fortepianu dochodziły, pędzone wiatrem, do mego ucha. Wtedy przyszła znowu na pamięć domowa zagroda i owa nadzieja matki, której wcale nie dzieliłem.

List jej zmartwił mię nawet pod pewnym względem, pomimo całej oględności. Nieznosną jest niepewność i wahanie się w ważnych chwilach życia. Rozważam więc, że jeżeli ludzię się będę jakąś wątłą nadzieją: bycia wyrwanym z kleszczy moskiewskich — odstąpię od raz powziętego zamiaru, stracę na czasie i miejscowości, pójdę głębiej do Rosyi, a na pierwszej lepszej stacyi noga mi się pośliznie, bo czyż nie trzymałem się jak na lodzie? — nadzieją kajdanki, to już ich nie zrzucą aż na granicach azyatyckich, lub w jakim lazarecie. Wtenczas chyba powiem sobie: mądry Polak po szkodzie; bo już będzie za późno.

Nie wierzę! ozwał się głos wewnętrzny przeczucia i z tym to głosem, powróciwszy do izby, padłem na łożę, które mi żony żołnierskie, danie żołdatowe, usłały.

Nazajutrz rano, już sam, bez żadnej asy-

stenci, poszedłem do miasta, nie prosząc o pozwolenie nikogo. Kupiłem u żydów furażerkę cywilną i niektóre niezbędne drobiazgi; wysmarować buty, ażeby nie obcierały kostek; wyprać bieliznę; a trzeciego dnia z rana, najawszy jeszcze podwodą by dobrze wypocząć, udałem się do zamku w celu połączenia się z gotowym do podróży etapem. Partya powiększoną została kilkunastoma żołnierzami idącymi z wolnej nogi do innego pułku, pomiędzy którymi dostrzegłem jednego niebieskiego żandarma, także junkra prześladowcę.

Przechadzając się po wielkim dziedzińcu zamkowym, pamięcią w przeszłość biegłem. Ten Łuck, tak biedny, odarty i opuszczony dzisiaj, jakże świetnym i ożywionym być musiał stukiem kolas, karoc i rżeniem rumaków, w czasie uroczystego zjazdu Zygmunta z Witoldem! Te mury, w których niegdyś grzmiała huczna muzyka, dziś drzemiące pod całunem bluszczów i mchów odwiecznych, przypominały wyobraźni: jaśniejących złotem postów i rycerstwo, pomiędzy którymi zdało mi się widzieć zamysłoną twarz Witolda nad losami Litwy.

Nie takiego smutku nie obudza, jak wi-

dok zwalisk, opuszczonych zamków i upadających świątyń w Polsce; owa kamienna historya jakiej ręka czasu podkopać nie zdołała, szarpana twardym zębem wroga...

Przypominam sobie, że rząd proponował jednemu z mych krewnych, naddzierżawcy dóbr skarbowych Bodzentyna, aby wspaniały malowniczy zamek fundacyi biskupa Bodzanty, panujący dumnie z opoki, na której stoi, nad całą świętokrzyską okolicą, rozebrał, a materiały staną się w nagrodę jego własnością. Ani myślał on zhańbić się podobnem świętokradztwem; nie chciał nagrody, ani pragnął sławy Herostrata.

Wróg patrzeć nie może na matkę Polkę opowiadającą zaczynającemu myśleć synowi. Barbarzyniec nienawidzi owych podań i legend pełnych poezyi, w narodzie królów i kapłanów, jakie lud u nas przywiewuje niemal do wszystkich pomników starożytności.

Owe zaczarowane księżniczki, ukazujące się na wieżycach o północy, w pewne dni świąteczne; ów chrzest zbroi, szcęk oręża, wychodzący z pod ziemi, tenten koni z podwórców; dzwony które nie przestają odzywać się jeszcze, choć zatopione w jeziorach; te wiel-

kie prawdy ludowe, ciągle nadzieje i oczekiwania, są dla tyrana upiorami i strzygami, którego we śnie kęsają.

Lęka się on, aby jakiś kamień, odrywający się z nienacka od baszty groźnego zamczyska, nie zgruchotał mu głowy!

VII.

UCIECZKA.

„Chmury z drogi, wiatry z drogi!“

W małym miasteczku Młynowie, na ostatnim noclegu pod Dubnem, w dobrach Chodkiewiczów, w samym rynku, w karczmie u żyda, odbywa się biesiada.

Jest obchodzony dzień moich urodzin.

W pierwszej gościnnej izbie, żołdactwo podochocone i uperfumowane dziegciem, wyskakuje kozacze prysiudy, towarzyszone hołupcami, przy kociej muzyce, złożonej z brzęku o trzech strunach b a ń d u r k i, ze świstów, bębenków i janczarek.

W alkierzu zaś niebieski żandarm, jun-
kier z galonkami na epoletach — obecnie już skaptowany, uniżony służka—koroniarz w

bluzie i jego aniół stróż inwalida, siedzą przy stoliku i ciągną djabelka.

Ktoby się jednak wpatrzył w oblicze koniarza, możeby dostrzegł, że od chwili do chwili rzuca on ukradkowo wzrokiem na zegar ścienny i że, choć ciałem pochylony nad kartami, myśl jego niespokojna błądzi gdzieindziej. Ba! dostrzegłby może, że nie bez celu nawet przegrywa, to do tego to do owego, już to kapciuszek misternej roboty, już fajkę piankową i t. d. jakby dla dogodzenia szanownym współbiesiadnikom w swym dniu uroczystym.

Na drugim zaś stole, postawionym w kącie komnaty, skrzętna żydówka rozlewa herbatę, dolewając hojnie do trzech szklanek araku, gdy w czwartej, złóczonej i większej od innych, podaje czystą herbatkę.

Już północ minęła, już rozmarzone żołdactwo powynosiło się swym kosztem z szynku; gra jeszcze się przeciąga, a usłużna żydówka jeszcze raz obnosi kolejno szklance.

Solenizant ostatni raz spojrział na zegar; powstał wreszcie i — na wiwat i dobranoc, rumu zakomenderował.

„Zdrowie kolegów!“ i sam palnąwszy kie-

lich, aż mu świeczki w oczach stanęły, podaje ochoczo następnemu.

Wiele ten czyni, co musi.

Potem każdy rozlega się na tapczanie; dla inwalidy miejsca brakuje, junkier go więc wygania do pierwszej izby, potem światła gasną powoli, głucho się robi do koła. Pierwszy sen najtwardszy, do długiem czuwaniu, i para spirytusowa ogarnia mózgi; wszyscy zasypiają snem behaterskim Bachusa, wyjąwszy jednego, który ciągle czuwa i rachuje tchnienia wszystkich, odróżniając senne od niesennych.

Doskonale! Dosyć tego udawania z wami plugawe istoty! bodajście się przebudzili na Józefata dolinie!

Wstaję więc — jeszcze raz poglądam na rozciągniętych — i słyszę, jak szatani się z nich w piekle naśmiewają. Potem ubieram się po cichu, dobywam z mantelzaka woreczek z przygotowaną bielizną, rozpozcieram siermięgę na sienniku i tak w podróż, w nocną wycieczkę wybrany, uchylam bez skrzypnięcia wypróbowane wprzód okno, a obtarłszy nogi z kurzu, daję pierwszy krok, na los szczęścia, na świat Boży co będzie to będzie.

Swobodny jestem na koniec siłą własnej woli. A teraz, cofać się nazad niepodobna — wszędzie mię znają po drodze — więc naprzód, puszczam się na Opatrzność! Naprzód ku Dubnu, gdzie następnego wieczora miała partya przybyć — tylko już bezemnie.

Szczęśliwie przebyłem miasteczko; minąłem szopę oplecioną sitowiem, gdzie etap z oddanymi w żołdacy spoczywał i niezadługo ujrzałem się na błotnistej grobli pomiędzy bagnami; i tę przebrnąłem — byle dalej!

Noc była chłodna i mglista; widzę jednak opodal przed sobą aleę, postępuję nią, mijam dworzec dziedziców Młynową i wychodzę gdzieś w pola. Zgubiłem drogę i zabląkałem się zupełnie — a nie było chwili do stracenia.

Trudna rada; rozpatruję się, powracam, szukam i dopiero tuż przy dworze znajduję rozdzielający się z gęstego szpaleru gościniec, wysadzony rzędem młodocianych topól.

Napadłszy przecież na tropy, pospieszam dalej a słupy wiorstowe zdają się ustępować z drogi.

Aliści, słyszę zdala dzwonki od strony Dubna; ktoś jedzie i jak na złość zbliża się ku mnie. Nagle uderza mię przypuszczenie,

że nuż też podróżnemu przyjdzie chęć zatrzymania się w karczmie, z kąd uciekłem, złe mogą ztąd wypaść następstwa, tem gorsze, że nieprzewidziane. Zakłopotany, nie mam co począć, jak zejść z drogi i położyć się w bruździe: tak też i czynię. Powózka mija, a ja niepostrzeżony pędzę dalej.

Aż tu za godzinę, ktoś znowu, lecz już za mną i bez dzwonków, jedzie; a więc to nie poczta — może coś gorszego; słucham, czy nie pogoń; ale nie; powózka powoli się toczy — szukam jednak na prędce punktu na obserwację; znalazłszy takowy za kizakiem, patrzę, czy nie będą się wychylać okrągłe czapki inwalidów? Sylwetka zwoszczyka w kapeluszu, jadącego przecież samotnie, rysuje się tylko na tle powietrznem. Doganiam go zatem i proszę, aby mię wziął z sobą, obiecując dać na piwo. Przystaje; wskakuję więc na jego wózek. Wkrótce Morfeusz rozłacza nad nim skrzydła, drzymie, kiwa się; ja zaś co tchu pogaciam jasnokościste bucyały — byle dalej.

Bachus i Morfeusz widocznie sprzyjali i dzięki im, postrzegłem Dubno, zanim świtać zaczęło. Budzę więc woźnicę, oddaję mu lejce, bicz i obiecany datek, a sam zeskakuję.

Teraz następuje zmiana rzeczy. Dubno jest to ostatni punkt południowy Wołynia, z kąd etapy posuwają się już, co krok, to na wschód, to na zachód — a właśnie na wschód iść tak mi się nie chciało, bo tam im dalej tem gorzej. Wschód piękny na obrazku — sielanki Delila i Gesnera piękne na papierze — z tem wszystkiem nie miałem ochoty przypatrywania się zblizka moskiewskim Filonom i Pالميrom. Biorę się więc ku zachodowi, gościńcem prowadzącym do Radziwiłłowa, ostatniego miasta położonego nad suchą i do tego w lesie granicą galicyjską.

Już świtało; już kukuryki kogucie, rozłożone na dyszkanty i basy, z pod strzech się odzywały; dymy z kominów, ognie w oknach i wychodzące na dwór staruszki, ukazywały się tu i owdzie.

A teraz, gdy zdawało się, że ślady do poszukiwania mię stracone, bo je nawet na błocie z początku zacierać nieomieszkalem, nając konie wypadało; ale z drugiej strony, wałęsać się po wsiach z ostrzyżoną czupryną, było niepodobieństwem. Pewniejsza więc jazda na dwóch własnych wierzchowcach i daleko mniej kosztująca; nie ugrzęzną w kałuży koła

ani resor się nie złamie, stangret nie klnie i szkapa nie dyszy.

Pod wpływem, czy bez wpływu, tej filozoficznej uwagi, zachęcając jak mogłem mych przyrodzonych wierzchowców, mijałem pola, sapy, strugi i sioła. W jednym siole na koniec zaszedłem do karczmy, by się pożywić. Zastałem tam czeladkę patrzącą na mnie z ukosa, bo też w bluzie, na pół cywilno, na pół wojskowo, musiałem arlekinowato wyglądać; ale nikt jakoś o nic nie zapytał. Gdyby to było w Rosyi, tam natychmiastby mię związano, dla kilku rubli nagrody rządowej, za dostawienie człowieka bez paszportu do zwierzchności. Tu przeciwnie, szynkarka nawet, sprzedając mi na prędce chleba i sera kawałek, dodała: „Idź pan! szczęść Boże.“

O ile wdzięcznym jej byłem za to życzenie-przestroge, o tyle słowa: idź pan, ubodły mię do żywego; utwierdziły bowiem w przekonaniu, że uchodząc jakby z pod pręgierza, nie otrząsnąwszy się jeszcze dostatecznie z pięt na takowego, przebywam most, chwiejący się i ciernisty, wiszący nad przepaścią!

Idę więc, idę i idę, bo do Radziwiłłowa miałem siedm mil z ogonem; a tego samego

wieczora jeszcze chciałem się dostać za granicę, zanim komenda inwalidna w Dubnie zawiadomioną o mojem zniknięciu zostanie i rzuci się w celu żerowania mię na wszystkie strony. Ale błota i deszcze jesienne niepokoiły bardzo — ujrzałem się w dzikich puszczach wołyńskich, gdzie za najmniejszym złowróżbuym szelestem, jak ptak płoszony, rzucałem się w gęstwinę. I tak przebywałem lasy, smugi i knieje, pytając o drogę jedynie tylko kobiet, zbierających grzyby, w przekonaniu że one, jeżeli nie domogą, to nie zdradzą, a przynajmniej w podobnej okoliczności. — Byłem tak młody, wypieszczony synek mamuni! a którejże z czułych matek, widzących mię w nieszczęściu nie przypomni się jej własne dziecię, myślałem.

I nie omyliłem się w rachubach. Bo oto, przeziębły, a pragnący posilić się czemś ciepłym, zachodzę w lesie do jednej karczmy. Zastaję tam samotną szynkarkę, która na powitanie: „Niech będzie pochwalony“ odpowiada po rusku, a rzuciwszy na mnie wzrokiem badawczym, podaje krzesło przed kominem, na którym rozżłiła wielkie ognisko; nie mieszkam, jak to czynią paryżanki, broń Boże, ale kilkorazowem

dmuchnięciem silnej Wołynianki. Potem następują pytania: zkąd Pan Bóg prowadzi? czy daleko? Snać to jakaś dwórka, bo grzeczna i gościnna, powiadam jej tedy otwarcie, że zdążam na granicę do Radziwiłłowa. Klasnęła tylko w ręce na tę nowinę, oznajmiając, że jej kmotr z końmi pocztowymi niezadługo tedy powracać będzie, to mię zabierze ze sobą. Tegoż mi tylko potrzeba.

Choć głodny, jeść nie mogłem; a oczekując na kmotra, tak się czułem znużony i wycieńczony na siłach, że wstawszy z krzesła, zacząłem utykać po kątach, szukając miejsca, gdzieby przytulić głowę. Postrzegła to z politowaniem domyślna gosposia; przyzywała mię i otwierając drzwi do ciemnej komory: „Tam będzie spokojniej i wygodniej, na mojem łóżku“ — rzekła; gdy zaś wszedłem, drzwi za mną na klucz zamknęła i wyciągnęła go z zamku.

Zmieszał mię nieco z razu ten jej postępek, jednak wdrapałem się z pewnym rodzajem zobojętnienia na wszystko, co mię spotkać może, na kupę pierzyn i poduszek, i utonąłem w nich z zamrożonemi oczyma, pocąc się tylko gcrączkowo, a zasnąć nie mogąc. Zdawało mi się, że łóżko obraca się ze mną;

zdało mi się słyszeć po niejakiem czasie dzwonki bryczki powracającego kmotra; słyszałem nawet jakieś szepty zamienione z przybyszem pod mojami drzwiami; a sam, jakby z letargu, podnieść się nie byłem zdolny.

Ale nakoniec drzwi się otworzyły. Przeczuwałem jak patrzano na mnie i dosłyszałem wyraz: „n i e s z c z a s t n y j !“ wymówiony półgłosem przez gospodynię.

Czy ten fakt, ta scena rodzinna, nie może posłużyć za jeden dowód więcej, że Rusin, chociaż zowie Połaka l a c h e m, a Rosyanina m o s k a l e m, skłania się przecież współczuciem ku pierwszemu.

Rusinka mię zamyka w swej sypialni; dla czego? bo wiedziała, że wróg krążył jak jastrząb około chałupy.

Otóż na jej słowo n i e s z c z a s t n y j, wstrząsnąłem się dopiero i powstałem, nabrałem otuchy. Komu w drogę, temu czas! Nim jednak opuściłem miejsce przytułku, Rusinka okryła mię swem futrem, które kmotr miał za powtórny przejazdem zwrócić.

I ten ostatni czyn nie był bez podwójnego celu, gdyż zaledwie wychodzimy, aliści i tu postrzegam znienacka etap z dezterterami, sto-

jący tuż na przeciwko karczmy pod szopą, chroniąc się od deszczu.

Spojrzeliliśmy sobie oko w oko; wzdrygnąłem się na widok tego koczującego cmentarza, lecz niewiele myśląc, wskoczyłem w oka mgnieniu do bryczki, jednocześnie z izwoszczykiem. Ten krzyknął: Hej z gorki na gorku, pany cz dast na wodku! a posłuszna trójka uniosła nas cwałem, kawałami błota bryzgając. Trzymałem się poręczy obudwu rękoma, aby nie wypaść. Skoro konie biedz przestały, woźnica znowu im przymawia po rusku — po rusku a nie po rosyjsku; proszę nie mieszać jednego z drugim: — Zabyli diety — sokoliki moi! ukazując bat tylko, a one, jak na skinienie różeczki magika, znowu puszczają się, parskając ogniste, gdy my toczymy się dalej.

Pocztylioni nie noszą w zabranych krajach, jako też w Rosyi, botfortów i służbowych mundurów; nie zobaczysz tam malowanych bryczek, ani usłyszysz trąbki przygrywającej twym dumaniom. Tam izwoszczyk nie wychodzi ze szkoły pocztylionów, jak w Kongresówce; prosty jak natura, często obdarty, nie zna tego wszystkiego, nie przywykły do

formalność, ale za to pędzi z kopyta.

Ani postrzegłem, kiedy dojeżdżaliśmy do Radziwiłłowa.

Izwozszyk zapytał, czy chcę wjechać do miasta, lub też zatrzymać się w ostatniej karczmie przed miastem.

W karczmie — odpowiedziałem. Nie pragnąłem wjeżdżać do miasta, bo miast unikać postanowiłem.

Stanął zatem, zszedł z kozła, ja wygramoliłem się z kożucha i błota, poszedłem za jego przykładem; wstąpiliśmy do karczmy, on coś długo na stronie szeptał znowu z gospodarzami, poczem wetknąłem mu kilka złotych na pożegnanie. Mnie więc zostawia, a sam rusza dalej.

Później dowiedziałem się, że poczciwa gosposia, moja protektorka, w której mieszkaniu dobry byt dawał się postrzegać, jej kmotr woźnica, nowe postacie, które teraz napotkałem, byli to wszyscy kontrabandziści.

Popadłem więc przypadkowo pomiędzy ludzi trudniący się przemycańiem towarów z wolnego miasta Brodów; ludzie, który jak wiadomo, po wszystkie czasy stanowi pewną opozycję przeciwko wszelkim policyom.

Ale nie w głowie były mi wówczas uwagi nad ekonomią polityczną. Obliczam, że plan mój doszedł w części do skutku, atoli tylko w części; że moi ex-towarzysze podróży znajdowali się w Dubnie, gdy ja o siedem mil dalej — nad granicą austryacką; lecz jeszcze nie za granicą. Przepłynąłem w poprzek bystrego potoku, byle tylko na brzegu nie utonąć. Oj! dopiero by się też Moskale cieszyli, gdyby mię teraz pojмали.

VIII.

DZIEWCZYNA KONTRABANDZISTKA.

U młodycy włos długi,
rozum krótki, ale serce tegie!

Nowymi aktorami, których spotkałem na scenie życia, był karczmarz, chuda, niepoczesna postać, jego godna połowica, jego siostra wdowa, i ich wychowanica, usługująca wszystkim wspólnie i każdemu z osobna.

Siedząc przed ogniskiem i przesuszając przemokłe suknie, wdałem się z dziewczyną w rozmowę, aby wydobyć od niej niektóre wiadomości, mogące mi posłużyć do przeby-

cia granicy. Dziwny zbieg okoliczności! Nie wiedząc, że jestem między kontrabandyzistami, wziąłem na siebie rolę przemycarza, lubo nie z rzemiosła, by snadniej dostać się do Gałycyi. Otóż powiadam im, że przybyłem dla kupna niektórych drobiazgów z Brodów, ale że nie-świadomy miejscowości, chciałbym, żeby mię tam kto doprowadził, za nagrodą, tegoż samego wieczora, i zakupione sprawunki za mną przyniósł nazajutrz.

Karczmarz słuchał wprawdzie, pokaszłując, przemowy, lecz słuchając uśmiechał się dwu-znacznie w milczeniu, jakby chciał powiedzieć: „Nie zdurisz aptekara szajdwaserom!“ Nie uszło to mojej uwagi, ale nie uszło także i to, że czerwony nos jegomości zdradza pociąg jego do kieliszków. Gdyby go też troszkę bardziej rozplomienić, możeby i język się rozwiązał, tem więcej, że napomknął mi zaraz za przybyciem, że ma doskonałą, przewoźnią wiśniówkę. A więc w trudnym razie, użyjmy ludzkich namiętności, kiedy nie możemy inaczej.

Dobądź-no owej zachwalonej wiśniówki, panie arendarzu? Zdrowie waszeci! zdrowie jejomości i całego towarzystwa!“ Zrobiwszy

początek, częstuje szczerze wszystkich.

Zauważyłem, że płeć niewieścia wylewała ukradkowo ofiarowany jej napitek w szklanki, rada z odbytu jaki arendzie robiłem, lecz z zadowoleniem postrzegłem, że pan gospodarz nie był tyle skrupulatny, wychylał kubek za kubkiem, obiecując mię sam przeprowadzić do Brodów.

Ufny jego słowu, grzałem się spokojnie, i czekając aż się jajecznicą dosmaży na węglach, siedziałem pochylony przed kominem, gdy nagle żandarm zjawił się do karczmy. Na widok tego nieoczekiwanego gościa musiałem zbladnąć; serce zaczęło mi bić i niespokojnie czekałem co dalej będzie, gdy sprytna dziewczyna usiadłszy przy mnie, jak gdyby obok swego starego znajomego, chicbocąc dla odwrócenia pozorów: „Nie bój się pan, szepnęła, on przyszedł z granicy, napije się gorzałki i pójdzie do czorta.“

Jak powiedziała, tak się i stało; żandarm nikogo nie nagabując, postąpił do znanej mu szynkowej szafy, wychylił blaszankę i wyniósł się do licha. Nieoszacowany żandarm!

Cokolwiekby, nie pragnąłem mieć po wtórnie podobnego spotkania; ubieram się więc

i zachęcam gospodarza do najprędszej wycieczki, ale z nim trudniejsza teraz sprawa, tak się bowiem ze mną spoufalił, że nietylko już przeprowadzić do Brodów, ale i wypuścić z szynku nie chce, brząkając coś o jutrze: będzie niby służył jutro.

Dziękuję uniżenie — mamże czekać jutra? — I nie pytając, zbliżam się ku drzwiom, lecz on staje naprzeciw. Tego już było za nadto; staram się go przekonać, ale słowa nie skutkują, bo przebrał miarę i w słabej głowie zaszumiało.

Ponieważ tu nocować, a w dzień wałęsać się po nad granicą nie było moim zamiarem, postanowiłem siłą zawadyaka odepchnąć. Kobiety nie wstrzymają mnie, on pijany, las o kilka kroków, choćby mię więc ta czereda uzbrojona w miotły, nieco zadrasnęła, zawsze jednak wyjdę, choć nie z zaszczycem, ale bezpiecznie.

Odmalować następującej sceny humorystycznie nie potrafię, gdy wywiedziony z cierpliwości, porywam w obronie za stołek i staje pośród karczemnej gowiedzi — ustąpcie! — wołając.

Nie wiem z jakimby się ukończyła skut-

kiem ta przygoda, gdyby do drzwi ze dworu nie zastukano. Fury zajechały; mój przeciwnik drzwi odmyka, a ja opuszczam oręż. Chłopsstwo zaczęło się cisnąć do izby, siła prze magająca; lecz w tem zamieszaniu, dziewczyna z przytomnością sobie wrodzoną, upatrzywszy stosowną chwilę, przewija około mnie i za drzwi się wymyka; ja za nią niepostrzeżony, zapomniawszy i o torbeczce z rzeczami; ona przeskakuje przez płot do przyległego ogrodu, następnie zdąża do lasu, ja i tam za nią w pędy; w lesie dopiero stanęliśmy i tu nastąpiła narada.

Zbawczyni moja zrozumieć nie mogła, dla czego mię gospodarz zatrzymywał; tem więcej, że jak mówiła, otrzymał on rozkaz przez zwozczyka który mię przywiózł, od królowej kontrabandzistów, żeby mi nic złego nie zrobiono. Dopiero się dowiedziałem, że miałem zaszczyt mieć królową za protektorkę. Nakoniec zuchowata m o ł o d y c a ofiaruje mi się sama za przewodniczkę. Leśna ta Dyana musi znać wszystkie zakręty, krzaki, a nawet i gwiazdy; chętnie więc przystaję. Ale jak się pokazało, Dyannie nie zbywało na chęciach, nie skąpiła trudu, lecz więcej miała dobrej woli, aniżeli przezorności.

Nie przewidziała, że przesmyki z jakimi była obznajomioną pomiędzy bagnami, o ile były łatwe do przebycia latem, o tyle niepodobne jesienią; zaprowadziła mię więc na takie bezdroża i trzęsawiska, w nocy, wśród słoty, że brnąć przez nie, o małośmy nie zginęli bez wieści oboje. Ona przemokła nieboraczka, nie mając krynoliny, wyglądała jak zwiedły tulipan; mnie rozpacz obejmowała, bo czas upływał, a przebyć granicę było niepodobna.

Wedle jej rady, potrzeba było wrócić do miasta i szukać pomocy doświadczeńszego przemycarza; a choć w tem było nie mało niebezpieczeństwa, jużemy się kierowali nazad ku miastu, gdy w drodze napotykamy znanego jej człeka, który podejmuje się nam przewodniczyć, i z nim razem dochodzimy nad granicę. Tutaj każe nam się zatrzymać, a sam postępuje naprzód, niby na zwiady, i w cieniu drzew niknie.

Lecz coś długo nie powraca; dziewczyna się rozgląda i oznajmia, że poszedł prosto w kierunku, gdzie się znajduje szłaś żandarmas-
trażnika — może wstąpił w gościnę do niego, dodała z widocznym niepokojem; a po

chwili namysłu: „Wątpię ja o zdradzie, bo mam pewien wpływ nad nim.“

Słuchaj dziewczę! — zawołałem, nie powątpiewam o potęgę twojej krasy, ale czy wiesz co mię czeka, jeżeli mię pojma?

Te słowa tak ją wzruszyły, że cofnęła się ze mną natychmiast ku miastu, z zamiarem udania się do jednego z najzaufańszych przyjaciół.

W samej rzeczy, przyszedłszy przed mały, schludny domek, zapukała do okiennicy z pewnemi miarowemi przestankami:

— Gdzie wesele? — spytał z wewnątrz przebudzający się głos na znak dany.

— Na mogilkach.

Na to dziwne hasło, dopiero nam otworzono i gdy światło zajaśniało, zacząłem się rozpatrywać w komnacie.

Znajdowałem się w obec młodego, dosyć okrzesanego mieszczanina, który podawszy mi fajkę i po naradzie zażądawszy trzech rubli za przeprowadzenie, oświadczył, że w porze dżdżystej nie mogąc przebyć przesmyków, trzeba doczekać ranka, a skoro żandarmi zbiorą się swych stacyi w jeden punkt na linii granicznej, dla spożycia razem śniadania, gdy tem

samem kilka luk zostanie od nich oczyszczonych, wtedy przesuniemy się śmiało obok jednej z dróg publicznych. Co do człowieka zostawionego w lesie, wnosił, że choćby ten doniósł o nas strażnikom, to oni do poszukiwań kogoś z tej strony, wcale nie są skorzy, w nadziei złowienia go na czatach, z towarami, gdy nazad powracać będzie.

Uwagi te, dosyć prawdopodobne, nieco mię uspokoiły. Doczekując ranka, moja przewodniczka rozmawiała ze swym znajomym, gdy ja, utrudzony drugiej doby bezsennością, zasnąłem głęboko.

IX.

WRAŻENIA GALICYI.

Rankiem się wypogodziło; tylko chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, pędzonych wiatrem ku zachodowi, żeglowały jeszcze na błękitnem niebios sklepieniu — a na ten widok i mnie jakoś do serca pogoda wstąpiła.

Okryty starym płaszczem, pożyczonym od kontrabandzisty, z przetakiem w rękę, w groźnie mych nowych znajomych i kilkorga dzieci

podrostków, zebranych na prędcę, wyprawiam się za miasto pod pozorem grzybobrania. Cała gromadka szczęśliwie przeszła ulicę i gróblę prowadzącą do rogatki, przy szlabanie pies tylko zaszczekał, strażnik miejski pokazał się z budki, powiedziano mu „dzień dobry“ i poszliśmy dalej.

Za pół godziny byliśmy już nad granicą. Na skinienie przewodnika zatrzymaliśmy się; on wysunął zwolna głowę z gęstwiny w przełęczę, czy nie zobaczy konia żandarmskiego przed szalasek, ale szalasek był pusty — nie słysząc nie było oprócz szelestu opadających liści, wstrząsanych jesiennym wiatrem, nie widząc prócz drzew, pni, konarów i utkwionego z drugiej strony granicznego słupa.

Pora była sposobna. Po krótkim a ciemnym pożegnaniu, kalwakada wróciła nazad, ja zaś z dziewczyną kilkoma skokami wpadliśmy w posiadłości austriackie.

A więc jestem za granicą! — zawołałem wesoło, gdy ona zaczęła nucić ulubioną sobie śpiewkę. Upewniała naiwnie, że już nie mamy się czego obawiać. Brody są miastem wolnym, komora i straż celna z jegrów złożona,

znajdują się z drugiej strony miasta od strony Galicyi.

Nie miałem czasu słuchać śpiewaczki. Dobywam czemprędzej mapę Rosyi, list pozostały do Kijowa i inne szpargały i notatki i drę wszystko na tysiąc kawałków, puszczając z wiatrem, by nie mieć przy sobie żadnego śladu, że byłem kiedy pod berłem mocarza północy. Postanowiłem nie przyznawać się do tego, choćby mię nie wiedzieć jak męczono; z czapki nawet wyrwałem herbowną podszewkę, by mnie nie zdradziła i po takich do piero ostrożnościach, powędrowaliśmy dalej.

Niezadługo minąwszy lassek, ujrzałem łąkę otoczoną wysmukłemi sosnami w kształcie amfiteatru, a opodal pożądane Brody: jedną więc z ciasnych uliczek weszliśmy do Brodów.

Zmiana dekoracyi. Brody, trafiaie to miasto tak się zowie, bo bród żydowskich tam pełno. Szwargot, szachrajstwo; żydówki w perłowych bindach, z żółtym kruszczem naszym, wyglądające jak żywe wystawki jubilerów; zaszargani faktorzy, sklepy, sklepiki, wszystko oznajmiało, że tu wyłącznie panuje pokolenie izraelskie. Jacys policyanci, w rozma-

itych nowych dla mego oka ubiorach, robią porządek w tej hałastrze; wojsko w białych mundurach, ukazuje się na ulicy. Pewien niepokój zaczyna mię ogarniać — pierwszy raz za granicą, młodemu, niedoświadczonemu, zdało się, że wszyscy na mnie patrzą i że ktoś z tyłu za kołnierz chwyta. Wierna tylko dziewczyna przy mym boku nie odstępuje mię na krok i prowadzi naprzód na kawę, a potem udajemy się do tandeciarzy. Uprzedza wtedy jako świadoma zwyczajów tamiecznych, abym się nie lękał wstąpić do nich, bo ci przemysłni kramarze, przekupują, lub nawet staczają bitwy z policyantami, skoro idzie o przechowanie kogoś z ich klienteli; byle handel szedł.

Żydkowie zapytawszy czy chce mieć suknie mody paryskiej, czy wiedeńskiej, skoro na ostatnią się zgodziłem, ubrali mię od stóp do głowy; a tak pozbywszy się cechy rosyjskiej, już śmieiej poszedłem na bazar, gdzie zakupiłem perkaliki na podarunek dla mej przewodniczki. Następnie zaprowadziła mię ona do swych przyjaciół, poleciła ich sumieniu i dobremu geniuszowi, i opuściła na zawsze.

Patrząc za oddalającą się, żał mi się zro-

biło biednej. Znowu ujrzałem się samotnym i bez przyjaciela; nowi kontrabandziści, pomiędzy którymi się znalazłem, nie potrafili zastąpić prostej, cichej, dobrego serca dziewczyny.

Nie mając co robić między nimi, nie potrzebując ich pomocy czynnej, powziąłem tylko niektóre wiadomości i postanowiłem pójść się w dalszą podróż — do Lwowa złączając się na opiekę dobrego geniusza dziewczyny i myśląc, że szczere jej westchnienie na moją intencję, może wysłuchane zostanie.

Wydobywszy się zaledwie z pomiędzy bagnietów rosyjskich, teraz, ściganemu losom, wypadło, przetrząść się przez austriackie — wypadło przebyć wzdłuż całą Galicyę, bez zwrócenia na się czujności policyi; a była to trudność niepospolita.

Zapaliwszy cygaro, wychodzę z miasta; widzę przed sobą komorę z odwachem, różnobarwne postacie, których rzeczy przetrząsa ją, różne wózki toczące się tam i nazad jak zwyczajnie, przy rogatkach. Ja nie mając do przetrząsania i deklarowania, jak Bijas filozof uchodzący z ojczyzny, przechodzę na drugą stronę, nie się nie oglądając. Wstępuję do wielkiej austeryi przy gościńcu, gdzie roz-

mowny gospodarz i gospodyni, Niemcy, mieli ochotę wejść ze mną w gawędę. Ale przypomniałem sobie hotel wileński w Warszawie, źródło mego nieszczęścia; unikając więc wszelkich rozmów, zasiadłem w sali bilardowej nad kuflem niemieckiego nektaru, bawarskiego piwa i czytam gazety — a dowiedziawszy się co się dzieje w świecie, wychodzę i upatruję przejeżdżających.

Długo wprawdzie czekałem, ale przecież wielkie bryki kupieckie, pokryte białym płótnem, toczą się jak rydwany, od strony Brodów.

— Stój żydku!

— Ny, a co takiego?

— Czy daleko jedziesz?

— Do Lemberga.

Tego się spodziewając, wskoczyłem do jednego z furgonów, który był próżny, i roz-tasowałem się jak w namiocie.

Jedziemy, popasamy i znowu jedziemy bo do Lwowa było mil kilkanaście, jednak przebyliśmy je bez przypadku. W pewnej odległości przed stolicą zeskoczyłem z bryki. Nadziawszy świeże rękawiczki, otrzepawszy się z kurzu, zmierzam znowu, sposobem prze-

chadzki, ku rogatce, jednak nie bez pewnego niepokoju. By więc łatwiej się dostać do miasta, upatruję między przechodniami, do kogoby się przyczepić.

W istocie postrzegam jakąś jejmość, która, trzymając małą panienkę za rękę, szła przedemną. Toby miało, jak raz, pozór familijny dla ciekawych strażników. Zbliżam się więc do tej pani złożywszy, jak mogłem najuprzejmiejszy ukłon, proszę, aby była łaskawą powiedzieć, jak się nazywa ukazana okolica? Grzecznie odpowiada — ztąd zawiazuje się rozmowa, a gdy się dowiedziałażem koroniarz, obdarza niektórymi pytaniami i tak gwarząc przebyliśmy rogatkę.

Już się zmierzchało, my rozmawiamy jeszcze: szczebioce mi dowcipnie o teatrze Skarbka, śmiać się muszę, gdy dusza moja płacze na myśl, gdzie ja tu przenocuję? zwłaszcza we Lwowie — punkcie tak niebezpiecznym.

Pod opiekę tej pani zaprosić się była ochota, ale nie było możliwości i ot, na zaułku, po wzajemnym ukłonie rozchodzimy się, każde w swoją stronę.

Ale gdzie tu moja strona? Gdzie się tu

obrócić? Widzę się samotny wśród podobnych mnie istot, i nie wiem, co począć z sobą...

Wniść do zajazdu, bez ekwipaża, bez żadnych rzeczy, żadnego papieru, ani myśleć, zostać na ulicy à la belle étoile, to za bardzo romansowo, patrol weźmie — to jeszcze gorzej. Byłem się z myślami w tak krytycznem położeniu, ale noc nie czekała; ujrawszy się z ydem tułaczem we własnej ojczyźnie: zacząłem rzęsiście pozdrawiać Moskali. Klątwy na nic się nie przydały; koczuję dalej, przechodzę koło jakiegoś wężenia, z górnych okien którego słyszę brzęk łańcuchów. O! lepsza śmierć jak utrata wolności. Uciekam zamtąd i napadam na bulwary, czyli wały.

Na wałach postrzegłem damę idącą około latarni z opuszczonym woalem u kapelusza; i mamże wyznać, że rztargniony, podbiegłem do nieznajomej, ale za zliżeniem się, nie wiedziałem co jej powiedzieć; oświadczam tedy z niechcenia, że o tak późnej porze, jej wdzięki są wystawione na niebezpieczeństwo — nie wiedząc, czy była stara czy młoda — że jeżeli więc pozwolę sobie towarzyszyć, nazwę się szczęśliwym śmiertelnikiem, i t. d. Dama się odwraca, przyśpiesza kroku, ja ciągle

gadam, nalegam, mało dbając za kogo mię poczytać może. Szczęściem, że nie zawołała na policyą. Ale zauważywszy, że zakłopotana drugi raz krąży po tym samym bulwarze, jak gdyby w chęci pozbycia się natrętnika, nim wstąpi do swego mieszkania, poczułem wyrzut sumienia z mego postępku. „Wybacz mi pani, rzekłem, i ratuj biednego emigranta, który nie śmie wstąpić do zajazdu, by znaleźć schronienie na noc jedną! — Zechciej łaskawie wnijsć ze mną na chwilę do któregośkolwiek hotelu, zachowując incognito maskowego balu, by nie poznano, że jestem zupełnie obcym w tym mieście; więcej o nic nie błagam!“

Na te dopiero słowa, Lwowianka zwróciła ku mnie oblicze, jakby usiłując przeniknąć mię na wskroś; a po chwili milczenia, rozmówiwszy się ze mną z całą łagodnością dobrze wychowanej osoby, łagodnością, którą byłem wielce ukarany za me natręctwo, zaprowadziła mię chętnie do hotelu, z narażeniem się bycia posądzoną najuiewinniej, o rendez-vous z młodzikiem.

Jakżebym pragnął, aby niniejsza kartka przyjętą przez nieznaną została, jako kwia

tek mej wdzięczności, niezwiędłej wielu latami czasu!

Przybycie moje do hotelu z pocziwą damą, może rzeczywiście było uważane za rendez vous osób miejscowych, gdyż po jej oddaleniu się, pozostałem na noc niezameldowany i spocząłem wygodnie z myślami moimi, dopóki jutrenka nie zajrzała przez firankę.

Nie czekając dłużej, opuszczam jeđnonocne schronienie; jestem świadkiem przeglądu wojsk austriackich, potem poszedłem do kościoła, westchnąłem w cichości; jedna lampa gorzała przed obrazem Zmartwychwstania i jedna myśl, myśl udania się do mej rodziny, utwierdziła się w duszy.

Dopytawszy się o żółkiewskie roгатki, nająłem formankę i pojechałem do Żółkwi, gdzie zwiedziłem kościół, na ścianach którego cała epopeja wypraw hetmańskich, zachowaną w naturalnej wielkości freskach została.

Długo wpatrywałem się w owe hnfce męźnych pancerników, w owe surowe oblicza pradziadów naszych. zdające się przemawiać do odradzających się pokoleń. Nic tak nie budzi młodocianego umysłu z uśpienia, jak historya wyrażona w rzeźbie lub pędzlu, zwła-

szeza, gdy ją napotykamy znienacka, wśród uroczystego milczenia świątyni.

Myśl uleciała w wieki przeszłości.

„Kara Mustafa zasypiał w upojeniu jataganowej potęgi pod murami obleżonego Wiednia i słodko marzył sławę najświetniejszego podboju. Obóz jego błyszczał przepychem, purpurą i bogactwy; straszny obóz, przy którego łunie ognisk lśniało niezliczone mnóstwo złożonych namiotów muzułmańskich, otaczających gród chrześcijański, jakby pasem ognistym. Surmy i cytry odzywały się pośród haremów weselących się Turków i Tatarów nadzieją pewnego zwycięstwa i łupów.

„W środku stał Wiedeń bezsilny, trawiony morową zarazą, bombardowany z góry, gdy motyki ottomańskie pracowały w podkopach. Napróżno biskupi starali się wzniecić męztwo upadłych na duchu mieszkańców; rozpacz ich obejmowała, dzwon trwogi roznosił smętne dźwięki w krainie niemieckiej, a śmierć zdawała się obejmować ją w swe pieszczele.

„Najświętszy Sakrament był wystawiony w kościołach świata całego: ludy błagały Pana Zastępów o odwrócenie okropnej klęski od Europy, gdy zwątpiali Wiedeńczycy już tylko

w zabobonie, w stadzie bocianów upadających w przelocie na ich dachy, szukani dobrej wróżby i chwilowej otuchy w nieszczęściu.

„Nagle okrzyk radości z kruzganków wieży Św. Szczepana rozlega się po nad stolicą, lance z chorągiewkami migocą w dali i polscy husarze, postrach bisurmanów, a na ich czele król, król pełen wiary, miłujący bliźniego i ufny w swą gwiazdę, przybywają na odsiecz oblężonym.

„Na samo imię brzmiące sławą bochatera, robi się alarm i popłoch w obozie Mustafy. Ale bochater otoczony gronem cisnących się pod jego rozkazy sprzymierzonych książąt, wojewodów, rycerzy — nim wstąpi w zawody, pada u stopni ołtarza i z głową pochyloną, rękoma na krzyż złożonemi, modli się gorąco; potem przyjmuje opłatek oczyszczenia, a następnie uzbraja syna swojego, gdy tymczasem kapłan błogosławi zgromadzonym wojownikom. Okrzyk „Niech żyje Jan Sobieski!“ przebiega szeregi, a orły cesarskie chylą się przed niemi.

„Potem widziałem kruszące się o stałą pierś półksiężycę, zajądlność roztrącającą się dzikich bisurmanów jak również pierzchające nie-

dobitki tychże — dzielni husarze polscy z okrzykiem największego męstwa, uderzają śmiało na hordy — bramy Wiednia rozwarły się i niieszczęśliwi oblężeni, zagrzani męstwem Polaków, uderzają również na pierzchające już hordy.

Któż nie zna rezultatu bitwy stoczonej pod Wiedniem dnia 12 września 1682 roku?

* * *

Zmuszony jestem wyznać, wierny tym Pamiętnikom, że ś. p. kuzyn mój, do którego przybyłem, jakkolwiek nie był orzeł, ale był to sobie poczciwy obywatel, jakich Polska ma wielu, ze starego, dobrego gniazda. Widywałem go, będąc młodym podlotkiem w szkołach, przyjeżdżającego do Kongresówki w suto wyszywanej czamarcie z barankami, z karabelą przy boku, co raziło Rosyan oglądających się na niego; lecz teraz zastałem w szlafroku tchórzami podszytym i w czapce zawieruszcze.

Nagle zjawienie się moje, spadnięcie jak z planety i do tego w charakterze uciekającego, zmieszało go bardzo, choć starał się tego nie okazywać; lecz uwagi jego, że ma n-

datariusz mieszka na tym samym dziedzińcu, ciągła obawa w przechowywaniu mię, dały do poznania, żebym tam nie długo przebywał.

Wszelakoż zatrzymałem się na czas jakiś. Wychodziłem na wieś, przysłuchiwałem ludowi ruskiemu, który gdy płacze, śpiewem wyraża swe boleści i utrapienia; miałem sposobność przysłuchania się także i szlachcie dowodzącej, jakkolwiek słabymi argumentami, że lepiejby jej było pod berłem cesarza wszech Rosyi. Ci zwolennicy zgubnego panslawizmu, jak tonący brzytwy się chwytając, z jednej ostateczności wpadali w drugą.

Wypocząwszy na łonie rodziny, pewnego poranku, gdym wstał o świcie, znalazłem konie już czekające przed gankiem; otrzymawszy na drogę błogosławieństwo mej ciotki i krzyżyk zawieszony na szyi rączką młodej kuzynki ja pożegnawszy kuzynów, wsiałem na bryczkę i konie powiozły mnie w stronę Tarnowa.

Jadąc, myśl moja bląkała się po szerokim świecie, aż o to zobaczyłem piękny pałac szlachecki, a przy nim obszerne włości.

Ha, pomyślałem sobie, trzeba wstąpić, przecież i ja jestem ze szlacheckiej rodziny, prze-

śladowany despotyzmem, to może otrzymam protekcyę lub jaką radę.

Zgłaszam się do pałacu, lecz oznajmiają mi, że „jaśnie pan“ wyjechał do Lwowa na jakieś sejmy, formalności, czy obrady, lecz że jego pełnomocnik, pan*** — nie chcę wymieniać jego nazwiska — znajduje się we dworze. Anonsuję się przeto do niego kilkoma na prędcie skreślonymi słowy, przedstawiającami w całym świetle moje położenie, a następnie mam u niego posłuchanie. Oświadczył że ponieważ wyjeżdża tegoż samego wieczora, mam go oczekiwać w oznaczonym zajeździe w Tarnowie.

O naznaczonej godzinie; udawszy się, wedle adresu i nie znalazłszy go tam jeszcze, oczekiwałem w bufecie hotelowym, przerzucając dzienniki. Wkrótce i przybył, lecz przeszedł, jak gdyby mnie nie widział. Może istotnie nie zauważył zatopionego w bibulastych arkuszach; wstaję zatem i idę do jego numeru.

Tutaj pan*** i przy nim ktoś drugi, zaczyna mi przedstawiać, że dziwi ich mocno, słowo dziwi wymawiając z przyciskiem, iż jeśli jestem tym, k'im się być m i a n u j ę, śmia-

ło sobie pozwalano pła d r o w a ć po kawiar-
niach, i t. d.

Dosyć tego panowie! — zawołałem wy-
wiedziony z cierpliwości; nie pomagajcie, ale
hańbicie równego wam człowieka! Żegnaj
panów.

Bolało mię bardzo to ich obejście się,
zwłaszcza, gdy poglądając na świat wyobra-
żnią nowicyusza, upatrywałem w ludzkości dwie
strony towarzyskie: jedną prześladującą, drugą
obowiązaną chronić mię od pierwszej. Nie my-
ślałem wtedy, czy miałem prawo wymagania
dla siebie ofiar, mogących narazić ojców fa-
milii na odpowiedzialność.

Nazajutrz rano, zabrałem się z kupcami
jadącymi przez Bochnię do Oświęcima, osta-
tniego miasta Galicyi nad granicą prusko-au-
stryacką położonego; ale w drodze pierwsza
gwiazda — s z a b a s ó w k a — wschodzi i na-
sza karawana zajężdża do najbliższej karczmy.
Na drugi dzień, żydkowie jeszcze się modlą w
śmiertelnych koszulach; co do mnie, nie czu-
jąc się w nieposobieniu słuchania przez całą do-
bę straszliwego „a d u n a j!“, zjadłszy z cyno-
wego talerza kawałek nadziewanego szczupa-
ka, zakąsiwszy go macą i popiwszy miodem,

maszeruję dalej, w braku podwody, na piechotę.

Cóż to za krajobraz? jakaż to świetna panorama roztacza się przed oczyma? To Kałwarya! jak nadobna dziewczica wychyla z gór swoje śnieżne czoło, otoczone wieńcami kołyszących się gajów. Odwieczne drzewa, jak dęby starożytnych druidów, pochylają swe gałęzie, szmerem coś gwarząc do siebie, jakby spisek knowały.

Pobożne kompanie, silne jedną wiarą w Chrystusie, przybywają corocznie w te miejsca w licznych orszakach, podobnie jak do Częstochowy, ze wszystkich ościennych krain.

Flet pasterski lub kobza, ryk i grzechotka zrzędnej krówki, urozmaicają tę żywą siełankę. Na co szukać Szwajcaryi? Usiadłszy przy szosie na trawniku, popatrzyłem po raz pierwszy na tę uroczą naturę. Melancholia jesieni, listki opadające zwolna, chmurki ruchome, wszystko usposabiało do marzeń i pogrążało w dumaniach. Zapomniałem i o podróży, bo nowi moi sąsiedzi: stara przyjaciółka Wisła, której nie miałem już nigdy oglądać; górale karpaccy, Krakus z Wandą, Kościuszko z Jądką, tudzież bogata dama Wieliczka, przyszli do mnie w odwiedziny w świątecznych

strojach. Zapytałem ich o podania, o opryszkach i o ich poezję: odpowiedziano, że dzielne kobiety opryszków okrywały fartuchem brata górala, skazanego na szubienicę, i brały za męża, aby go zbawić od śmierci i uczynić lepszym, co mi się dziwnie podobało. Zwyczaj ten, praktykowany niegdyś, czyliż nie był więcej w duchu chrześcijańskim, aniżeli wszystkie dzisiejsze kodeksa karne, zostawiając tak mało środków do poprawy, najczęściej człowieka, którego wina pochodziła w części z fałszywej organizacyi społeczeństwa!

Żałowałem, że spodróżowałem Galicyę tak szybko, że z jej żywych ksiąg wyczytałem zaledwie tyle, ilebym to zdołał uczynić z Krasickiego na przykład, przewartowawszy go od deski do deski w przeciągu 24 godzin.

Wziąwszy szczyptę ziemi na pamiątkę, puściłem się w dalszą drogę.

X.

ŻYD NAUCZYCIEL OSTROŻNOŚCI.

Zawsze musi szkodować, kto się ze złym sprzęże,
Lepiej wleźć między wilki — lepiej między węże.

Blizko już Oświęcim, przechrzczony na
Auschwitz, choć nie przyjął obcej wiary.

Zdala światełka tam migocą. Oświęcim błyszczysz własnem światłem w zmroku: ale przy jego świetle; coś skrzypki i basy tam rzepolą. Byłoby to jakie weselisko?

Jeżeli tak, tem lepiej; przypatrzę się choć, jak panna młoda oberka wywija, a może też zaproszę, może i poczęstują — przyszedł mi na myśl głodny student z Krakowiaków i Górali — nie dostawało tylko jego elektryki, żeby za przybyciem cuda pokazywać można.

Zdążam do Oświęcima i widzę się wśród weselących się kmiotków. Nie pomnę, co to była za biesiada. Wchodzę pomiędzy nich, a ujrawszy jakieś naiwne chłopię, biorę go na stronę i pytam, czyby nie mógł wskazać, gdzie tu można cygar pruskich dostać. Macałem, aby napaść na nitkę Aryady, któraby mię doprowadziła do kłębka jakiej znowu królowej kontrabandzistów.

Chłopię się wzdraga z odpowiedzią, radzi wreszcie, abym się udał do propinatorki, lecz nie jej nie mówił, że on mi o tem powiedział. Uspokoiwszy go, poznajamiam się z panią propinatorką — dorzeczna to była z waszecia białogłowa. Nazajutrz powiadam jej, że chcąc się widzieć z pewnym przejeżdżają-

cym kupcem, który powinien był zatrzymać się w Byruniu — pierwszym mieście tuż za granicą w Prusach położonem — zagnany jestem tam się udać, lecz nie mając czasu pisać o paszport do Lwowa, nie wiem jak sobie w tym razie postąpić?

— Jak postąpić? a iść prosto do Byrunia i kwita.

— Ale — zacząłem się jękać.

— Ztąd każdemu wolno jest iść trzy mile w Prusy, w pasie granicznym, bez paszportu.

— A dalej?

— Dalej, jeżeli żandarm pruski zdybie, bo oni się tam włóczą, to i zwróci nazad.

Zwróci tylko, a już kajdanków nie nabije jak w Rosyi — pomyślałem.

— A czyby pani nie była tak dobrą, nastręczyć mi jakiego przewodnika? — przyznam się, że nie znam ani miasta ani granicy.

— Przewodnika? owszem. Ale — czekaj no pan. Na co szukać przewodnika? Wszak to dziś niedziela — niedziela dzień cały. Ilek w te dni tam chodzi za kupnem siana.

— Ilek więc?

— Otóż to; jeżeli jeszcze nie poszedł, to można iść z nim razem.

I posłała po Ieka.

Rudy, zyzowaty Icek wkrótce przybył.

Powiedziawszy Bóg zapłać gosposi, skierowałem się z nim ku miastu. Niewielka to miejscina: jeżeli kto na jednym końcu kichnie, to na drugim zdrowia mu życzą; przebyliśmy więc je prędko, następnie most jeden na Wiśle, potem wstąpiliśmy na drugi; jegier tylko stojący na środku ostatniego, wybąknął parę słów po niemiecku. Icek mu powiedział, że idziemy za kupnem siana.

Przeprawiwszy się tym fortelem przez granicę, z drugiej strony już żadnej straży, nawet przed konorą pruską nie widziałem.

Uradowany, wstępuję z nim do zajazdu, lecz ponieważ zauważyłem jego ciekawość względem celu mego przybycia do Prus, w zajeździe pytam, czy tu nie zatrzymał się kupiecki fuigon o czterech białych koniach, tej nocy? Otrzymawszy odpowiedź, jak się rozumie, przeczącą, objawiam zamiar aby pozbyć się faktora, oczekiwania, niby na przybycie wymyślonego kupca, i chcę ofiarować Ickowi parę cwancygierów na odprawkę, lecz

nie mając drobnych, rozmieniam sztukę złota.

Nieostrożnie zrobiłem, że zamiast zgarnąć zdawkową monetę, przeglądałem ten napływ w tamte miejsca bitego kruszczu z Korony, Krakowa, Prus i Austrii — potem poczętowawszy Icka, nagradzam mu sownie trudy, życząc szczęśliwej podróży.

Ale ten zaczyna gderać, że ponieważ razem ze mną przyszedł, razem więc powrócić musi. To jego rozumowanie nie bardzo mi przypadło do smaku; lecz skoro nadmienił, że jegier stojący na moście, możeby go przepuścił i samego, gdybym mu dał na przekupienie tegoż, poznawszy we wszystkim nasze przebiegi, aby nie zwrócić na się uwagi mieszkańców, wychodzę czempredzej z zajazdu i chcę się ostatecznie okupić. Wyjmuję sakiewkę, lecz zmyślny izraelita, jednym szarpnięciem wydziera mi ją z ręki, zanim zdążyłem schwycić go za pejsy i ucieka na most z odwrotem.

Zrabowano mię wśród zabudowań, wśród dnia białego; wytracono ostatnią broń, pieniądze! I zostałem nagł, jak łódź bez steru na falach, pośród cudzoziemców, nie znający

ich języka, bez grosza i nie śmiejąc szukać
sprawiedliwości!

XI.

PRZYGODY

W SZŁAZKU I SAKSONII.

Potrzeba było uchodzić z duszą; nogi
ustawały, głód dokuczał, noc się zbliżała, a
dzięki starozakonnemu nauczycielowi ostrożności,
w kieszeni pustki.

Choć bez grosza, wypada zająć na nocleg
do gospody, nawet wziąć tam osobną stan-
cyę, z dobrą miną, po pańsku, bo tym tylko
sposobem może uniknę, najprzód choroby,
powtórę zapytań o ów nieszczęśliwy paszport,
na którym mi zbywało. Tak więc postąpiłem
i na dobre to wyszło, bo gospodyni karczmy,
Szłazaczka, odbierała od przybywających niem-
ców, mających nocować w ogólnej izbie,
reisebuchy, zapewne przez obawę, aby
który nie uniósł nazajutrz, przez pomyłkę,
cudzego mantelzaka.

Posiliwszy się nieco zupą z piwa i kar-
toflami w mundurach, udałem się na spoczynek
do osobnego numeru, lecz noc spędziłem

bardzo niespokojnie, gdyż po tak cierpkich przejściach, jakiś rodzaj maligny mię opanował i zdało mi się, że ktoś przez lufcik w drzwiach kłódki do mnie rzuca — z początku po jednej potem po kilka, następnie secinami. Zerwałem się z łóżka i pamiętam, jak rozmawiałem z napastnikiem, czyli z wiatrem kołającym drzwiczkami luftu, wystawionemi na przeciąg powietrza.

Nazajutrz nowy kłopot — potrzeba się było wynosić, a przede wszystkim zapłacić; frasunek dla mnie — gdy umywając się, krzyżyk wysuwa się z za koszuli i błyska przed oczyma. Witam! miłą jesteś pamiątką, prawda, ależ nie na złocie cierpiał nasz Bozki prawodawca. Tłumaczyłem sobie, żal mi jednak było krzyżyka, który zmuszony byłem ofiarować gosposi.

Porzuciwszy karczmę, głowa mi jeszcze ciążyła, bolała, lecz nie czas było kwękać; powiedziałem sobie: nie możesz chorować — i przebierałem się dalej, siłą woli, w towarzystwie dwóch wędrujących rzemieślników. Mijamy miasto Mikołów, a nie rozumiejąc się rozmawiamy, jak gęś z prosięciem.

Napotkawszy przejeżdżającego furmana,

Niemcy zaczęli z nim wchodzić w układy; potem siadając do berlinki, mnie pozostawiają na drodze z pożegnaniem zum wiedersehen mein lieber Herr; ale poczciwy furman, dowiedziawszy się, że jestem Polak i dla nich niemowa, zrobił miejsce obok siebie i jadąc, zaczęła się gawęda:

— Mospan Polak? — rzecze do mnie.

— I do tego czystej rasy, mój bracie!

Wóźnica nasz, był to dobroduszny Szlązak, których tam nazywają Wasser-Polak. Rozmawiał ciągle tylko ze mną — miałem więc przewagę nad Niemcami, którzy z kolei rzeczy, zostali jak na polskim kazaniu.

— Mospan Polak — rzecze dalej, i tak sobie z Niemcami w a n d r u j e c i e. A czyście też widzieli tego grafa Polaka w Mikołowie, co to się z r u s k i m powadził.

— Jakiego grafa?

— O! to mospan nie nie wi. Mamy tu grafa, co tu przyjechał, jak się z ruskim powadził; chodzi z brodą, a jak spotka idące z kościoła dziewczki, to im każe śpiewać kantyczki — a tej, która najlepiej śpiewa, daje zawsze z w e i a nawet d r e i i f i n f Silber-groschen.

To jest wszystko, co mogłem się w tym przedmiocie dowiedzieć — jakoteż, że nieznajomy stołuje się u burmistrza miasta.

Mówię tedy Bóg zapłać Szlązakowi, zum Wiedersehen Niemcom, sam zaś wybieram się z powrotem do Mikołowa. Na odchodne, poczęstował mię Szlązak kilkoma gumułkami, brakowało tylko chleba.

Ktoby to był taki, ów szlachcic? Stołuje się u burmistrza — zwolennik niewieścich kantyczek. Runge przyszedł mi na pamięć, Runge, Niemiec, reformator, jeździący w owym czasie z eskortą wojskową po Szląsku, w misyi religijnej. Otóż, padłem na myśl, czy też opisany graf nie występuje zręcznie w opozycji przeciw Rungemu, a tem samem i przeciw rządowi, zachęcając dziewczęta, by pozostały wiernymi przodków wierze? — Konserwatysta to jakiś — cóż bowiem stanowi naszą narodowość upadającą, jeśli nie język, religia, zwyczaje i obyczaje własne.

Pocieszony temi uwagami, śmielej zbliżałem się do Mikołowa, a stanąwszy przed domem burmistrza, wartowałem, dopóki kto nie wyjdzie. Wybiega wreszcie jakaś panna fartuszkowa.

— Dzień dobry panience.

— Dzień dobry panu.

— Czy graf Polak jest u państwa?

— Pan Wężyk?*) przecież on pojechał do Krakowa; ale jego przyjaciel pozostał.

-- Nie mogłaby mi panna wskazać jego mieszkania?

— Tam gdzie mydlarka Fuksowa umarła.

— A w którym to domu?

— Pytaj się pan o Fuksa syna, a powie mośpanu.

— A ten Fuks syn?

— Naprzeciw ratusza, w rynku, na środku!

— Fuks, czy ratusz, stoi na środku?

— Ratusz, proszę pana.

Po takim drogowskazy, znalazłem z biedą mieszkanie Wężyka. Wszedłem na pierwsze piętro i ujrzałem się w salonie. Chodzę, stukam, pokaszluję — nikt nie wychodzi.

Z mieszkania zwykłem sądzić o ludziach. Postrzegłszy wesele krakowskie na obrazach kilka książek wyborowych rozrzuconych na stole, raźniej mi się zrobiło. Wpada наконец lokaj i coś bełkoce.

*) Autor opisu Egiptu.

— Ich verstehe nicht deutsch powiadam, a on co tchu niemiecką na polską mowę zmienia.

— To co innego, a teraz, proszę mię zameldować panu.

— Czy panu N ?

— Tak jest.

Pan N. prosi mię do gabinetu; rozmowa nasza była krótka, słów mało, ale czynu wiele z jego strony, należał do rzędu ludzi umiających przeniknąć i uczuć uiedolę braci. Daje mi tedy, nad oczekiwanie: paszport, dzieli się pugilaresem, że zaś brakowało mi mapy Niemiec, wycina środek z ogromnej karty Europy, mówiąc:

„Polskę krajali, krajmy i my Prusy“. Środek ten unoszę, a Europa z dziurawą oazą zostaje na ścianie. Wybrnąłem nakoniec z biedy! Dostawszy się do Opola, wsiadłem pierwszy raz do wagonu; kocioł świsnął parowego marsza, liczne siola umykają z drogi — dopiero lasek — już łączka — tańczące pasterki — pasące się baranki — ja pędzę, jak na okulbarzonym lucyperze zionącym ogniem i kłębamii dymu.

„Breslau!“ — zawołał konduktor — i o-

tóż skończyłem jak z procy, do Wrocławia.

Przebiegam ulice tej stolicy Szlązka, zatrzymuję się przed Fryderykiem na spiżowym koniu, i zdziwiło mnie, że naród wzniosł pomnik swojemu zdobywcy. Jakkolwiek Fryderyk nie był wielkim z każdej strony, panowanie jego porównywałem z mikołajewskim, bo Mikołaj, jak ćwiek wbił mi się do głowy; porównywałem, mówię, monarchę myślącego o szczęściu ludu, pojmującego swą potęgę w potędze moralnej narodu, swą wielkość w wielkości cnót osobistych, z drugim gotowym poświęcić na rzeź połowę poddanych dla nasycenia dumy! gotowym odświeżyć carską purpurę krwią męczenników!

We Wrocławiu, poznałem towarzystwo demokratyczne niemieckie — toż same, które wiele oddawało usług naszym ziomkom w 1848 roku, ułatwiając ucieczkę uwięzionym Krakowianom w fortecach pruskich Neisse i Kassel — i w domu szefa towarzystwa, Reichsgrafa von Reichenbach, gościłem na wsi, gdzie się tuzinami przechowywali Polacy. Zajmowałem tam mieszkanie, które protestant Runge przedemną zamieszkiwał. Niemcy śmiali się z zasad Rungego; mówili mi, że zawitał

on nawet z chęcią propagandy do Warszawy, na salony Paszkiewicza, ale jak niepyszny, pod konwojem żandarmskim do granicy pruskiej powrócić musiał.

Zdaje mi się, że marzeniem Reichenbacha było wyswobodzenie Szlązka austriackiego i pruskiego i złączenie ich pod swą prezydenturę. Był to dzielny mówca, człowiek nauki i erudycyi. Obecnie malkontent, zamieszkuje w Ameryce. I cała partya, która pod nazwiskiem przyjaciół świata kwitła i dosyć silną zrobiła sobie przewagę w kraju i odgłos w prowincjach nadreńskich, po wypadkach 1848 roku przez rząd pruski wyplenioną została. Sprzyjała ona niby Polsce, jednakże nie uszedł mojej uwagi powien kwas w słowach jej członków, ilekroć razy o sprawie Polski wspomiano.

Pani Reichenbach, szczęśliwym od natury obdarzona charakterem. Ta znakomita pani, do swej uprzejmości łączyła miłą prostotę, do jakiej wzniesć się potrzeba.

Nigdy nie zapomnę i pani B. Rządki to pojaw! Cudowne odbłyски serca, walka i bolesne istnienie! kwiat wieku, a już uroda świe-

cała zamglonym promieniem! Ruina po młodej kobiecie!

Trudno być ateistą, jak trudno jest zastać prawdziwym kosmopolitą!

W przejeździe przez Saksonię, zwiedzając klasztor, którego malownicze położenie mię uderzyło, spotkałem tam nadspodziewanie jezuity Polaka. Siwa głowa małego staruszka jest mi dotąd obecną w pamięci.

— Rewolucyoniści! Lic dobrego! zapomnacie o Bogu, a gubicie Polskę — tak mię witał staruszek — dowiedziawszy się, żem emigrant.

A potem zaprowadził na śniadanie do re-fektarza i posadził okok przeora.

Czuję dotąd gorącą łzę jego, padającą mi na skronie przy pożegnaniu i słyszę błogosławieństwo pocziwego staruszka, którego już pewnie pokryła mogiła.

„Leipzig!“ Cóż to za bazar świata, świata całego w Lipsku! Trafilem na ów sławny jarmark, gdzie książki, futra i wełna są głównym towarem. Tu Grek, w białej tunice, rozprawia z Turkiem w zawoju; Polak z kacapem, Francuz z Anglikiem, jak na maskaradzie. Zdaje się, że zbratali się ogniem

miłości i zgody — gdzie tam! to tylko pieniądze łączą ich dzisiaj, a jutro znowu za łby się pobiorą.

W Lipsku odwiedziłem pole bitwy 1813 roku i miejsce śmierci ulubieńca polskiego wojska, Poniatowskiego. Na kraju prześlicznego ogrodu Gerharda szumi szara Elster; w miejscu gdzie utonął dzielny żołnierz, stoi niewielki, czworogranny kamień — na nim z jednej strony napis łaciński a z drugiej polski:

„Tu w nurtach Elstery, Józef Książę Poniatowski, naczelny wódz Wojska Polskiego, marszałek Państwa francuzkiego, trzema śmiertelnymi dotknięty razami, okrywając ustęp wielkiego wojska francuzkiego i ostatni uchodząc z pobojowiska, życia, sławie i ojczyźnie poświęconego, dokonał, w dniu 19 Października 1813. Żył lat 52. — Tę skromną pamiątkę, łzami swemi skropioną, Polak współrodakowi, żołnierz wódzowi, poświęcił.“

w środku ogrodu stoi grobowiec, pokrywający rok przeszło zwłoki bochatera, które później przeniesione zostały do pieczar królów polskich w Krakowie.

Poznajomiwszy się w Lipsku z panem S., rok 1847 upływa mi z nim wśród skał alpej-

skich, wśród rozkosznych Apeninów, uśmiechających się jezior, ruin zamków feodalnych baronów, wśród pięknych wiosny i cyprysów krain.

Ale to już oklepane rzeczy — muza moja nie ma natchnienia je opiewać; raczej zaprasza piękne panie i paniczów, z pod włoskiego nieba, na wschód, na wschód Rosyi. Ma się rozumieć, pojedziemy do pokoleń, rozsianych za Wołgą i Uralem, kosztem najmiłośwszego cesarza, króla polskiego, bo inaczej, nie każdego tam puszcza, a przynajmniej nie wszędzie.

I u nich tam tyle poezyi! Niebo także przezroczyście, lazurowo-jaskrawe; wielbłądy, antylopy, stada niezliczone owiec, bujające po stepie; złotopióre, niepłoszone bażanty, w trzcinach — a uły koczujących Kirgizów, nowe osady, słowem, oryginalna malowniczość! a panie tak podobno lubią oryginalność. Ten sam step bez końca, — a jakkolwiek pokrywa go dziki piołun i wałęsające się gadziny: mirjady drobnych jaszczurek, niedźwiadki i jadowite pająki, lubiące się wmykać za koszulę, gdy w najlepsze zasypiamy, przecież ma swą oddzielną poezję, dając podobnie,

jak ocean, wyobrażenie nieskończoności, wszechświata.

Po drodze wstąpimy do Krakowa, aby pożegnać tego kochanego pradziada naszego. Przytem, coś tam szepczą rycerze, poruszając się w trumnach na Wawelu, jak gdyby już godzina zmartwychwstania wybić miała, i dzwon Zygmuntowski niezwykłym, jak na trwogę, odzywa się jękiem; a smok wszystkiemi pa-szczęki ryczy z pieczary przeraźliwie.

Nie tracąc chwili, zdążajmy przedewszystkiem obaczyć, co się tam dzieje?...

Potem zajrzemy na rok cały do cytadelii warszawskiej, a później, hejże na Wschód, w kibitce — gratis!

XII.

REWOLUCYA W KRAKOWIE (POZNA- NIU, 1848 ROKU.

„La servitude, que les rois appellent
la paix, est une paix qui produit
la guerre, car les vrais maux sortent
de faux biens!“

Rok 1848. Wielka, uroczysta iluminacya
w Krakowie. — Więźniowie stanu ze S piel-

berga, Kufsteinu Monkaes, i wszystkich więzień austriackich, powracają tedy do domów. Ogólna amnestya; pociągi kolei żelaznej przybywają z emigrantami z Francyi, Algieru, Anglii, słowem z całego świata. Korkardy narodowe z białym orłem ukazują się na kapeluszach. „Jeszcze Polska nie zginęła“ brzmi w ustach ludu tańczącego ochoczo na rynku: Krakowiacy z podkówkami, a dziewczęta boso.

Rząd tymczasowy i gwardya miejska wprędce się sformowały, ostatnia pod naczelnictwem hr. Moszyńskiego, — niegdyś wygnanica w Syberyi, — z obywateli posiadających kapitał zmysłowy, lub umysłowy — i z oddziału uniwersyteckiego.

Zaprawdę, zajmujący był widok owej siły uorganizowanej, umiejącej z rzemiosła nabić i zabić, złożonej ze szwoleżerów, krzyżujących z ponurem wejrzeniem, szwadronami, tam i nadad po ulicach, a obok niej drugiej siły, siły nie uorganizowanej, złożonej z młodzieży krajowej pospolitego ruszenia, gotowej do poświęcenia i ofiary z siebie, w oczach której malowała się święta radość, a na czołach jaśniał

napis: „A bośwa to jacy tacy?“ Jaśniało rodzinne uczucie, którego nie stłumić nie zdołało.

Rząd austriacki zdawał się być usposobionym okolicznościami do dania konstytucyi, ale młodzież niedowierzając temu, uzbrajała się jak mogła. Kosy robiono potajemnie; broń palną zbierano; starzy wojskowi przybyli z Francyi, służyli za instruktorów ludowi odbywającemu swe mustry, na które sam nawet Chłopicki niekiedy uczęszczał; a gromady rzemieślników wszystkich cechów, jak gdyby na komendę zmartwychwstałego Kilińskiego, ramię przy ramieniu, defilowały w szeregach ze sztandarami po mieście.

Tymczasem Niemcy umacniali się w zamku Wawelu, — gdy powstańcy barykadami zasłaniać się tylko mogli.

Rzeczy atoli odbywały się w porządku. Patrole polskie spotykały się z austriackimi, zawiadamiając się wprzód wzajemnie o swych hasłach, by przy spotkaniu nocnem unikać przedwczesnych nieporozumień i mogących ztąd wyniknąć utarczek.

Żydzi nawet krakowscy, wyznać muszę na ich pochwałę, dawali dowody wysokiego patriotyzmu. Przedmieście Kazimierz miało tak-

że swój oddział gwardyi, wybranych przez się starozakonnych oficerów, swoje wedety.

— Kto idzie? — pyta żydek na straży.

— Swoj! przyjaciel! — odpowiadasz jemu.

Żydek nie dowierza.

— Ny, może cudzy? woła i dopomina się koniecznie o hasło.

Zeby się przekonać o zamiarach rządu, wysłano do Wiednia deputacyę złożoną ze słachty, przybranej w kontusze, z wieśniaka i rabina. Deputacya powróciła z obietnicą cesarza austriackiego, że nie zaniedba zrobić wszystkiego, co uzna za najlepsze dla kraju.

Wtedy chmury brzemienne zawisły nad stolicą Jagiellonów i spodziewać się można było, co chwila, wybuchu rewolucyjnego.

Smutne wypadki Krakowa z roku 1848 są znane.

Nieszczęśliwy grodzie! grało w twych murach niegdyś wielkie życie. Pod swobodą praw Rzpltej mieszkańcy twoi wzrosli w za-
możność europejską. Ich okręty uwijały się po oceanach, ich głos ceniony był w radzie wolnych miast hanzeatyckich.

Najprzedniejszy polski grodzie! w twoich murach zdarzały się fakta, które na losy cy-

wilizacyi wpłynęły. W twojej katedrze odbył się ślub Polski i Litwy; z łona twojego światło akademii rozjaśniało północ. Tyś witał Tarnowskiego, kiedy Polskę od Wołoszy, Sobieskiego, kiedy Europę od Turków ocalił.

Czyż mógł wtedy Jan III. przypuścić że sztyldwach austriacki strzedz będzie jego grobowca?...

Krakowie! na rynku twoim, przed tronem królów polskich, przyklękiwali wasale Rzpltej.

Tyś trzem bochaterom usypał od wieków potężniejsze mogiły i tym wieńcem czci zamknąłeś się, jako relikwiarz narodowości naszej.

Dzisiaj, na głośnym niegdyś grodzie osiadła cisza. O wieże twych świątyń owierają się w przebiegu swym wieki, patrząc z nich, niegdyś na wielkość, dziś na ruinę twoją. Jako serce narodu związany jesteś z jego życiem, kwitnąłeś, kiedy on kwitnął; upadłeś, kiedy on upadł.

Pozostawiłem Kraków w stanie uzbrajania się, wyjeżdżając do Ks. Poznańskiego, gdzie założoną została dla młodzieży polskiej szkoła sztabu, z zamiarem przysposobienia się w niej prędkiego.

Po drodze, w Mysłowicach spotkałem się z kompanią piechoty pruskiej, tylko co przybywającej koleją ponad granicę obwodu Krakowa; a we Wrocławiu odwiedziłem demokratów niemieckich. Dowiedziałem się od nich, że kirasyery pruscy zostali wysłani do Księstwa z rozkazem czynienia rewizyi i zabierania wszelkiej broni, a mianowicie kos, jakich fabryki zakładano onego czasu niemal w każdej wsi w Poznańskiem; z rozkazem także postawienia wart przy dzwonnicach, kościołach, aby odebrać ludowi możność zbierania się z okolic na odgłos dzwonów.

Po takiej informacji, otrzymawszy polecenie i karteczkę z kilkoma słowy po niemiecku, miałem udać się z nią co prędzej do Skalbmierzyc, wsi położonej ponad granicą Polski kongresowej.

Przypinam więc kokardę na pół polską, na pół niemiecką, siadam do dyliżansu we Wrocławiu — i rzeczywiście, doganiam i mijam lśniących się białych kirasyerów, pod samym Ostrowem. W Ostrowie biorę extra-pocztę i przybywam do Skalbmierzyc.

Ale tu, wstąpiwszy do karczmy przy szosie, dowiaduję się od arendarza, że we wsi

pozostali tylko starcy, baby i dzieci — a wszystko co żyło, a zdolne było do oręża, wyszerowało wraz z dziedzicem, czy też dzierżawcą, tej nocy, niewiadomo dokąd. Przypuszczano, że do Pleszewa, w celu połączenia się z oddziałem Białoskórskiego,

Nie pozostawało, jak tylko zabierać się do odwrotu. Wypytawszy się więc o drogę do Pleszewa, powziąłem zamiar tam się udać. Nie dowierzając atoli arendarzowi, umyśliłem pojechać naprzód na wieś i sam się naocznie przekonać o stanie rzeczy. Wychodzę tedy, lecz na nieszczęście, poczytylion pojechał napowrót, nie upomniawszy się nawet o *trinkgeld*.

Nie zauważyłem także, że arendarz z którym rozmawiałem, znikł od kilkunastu minut z karczmy; uderzyły mnie tylko twarze strażników pruskich, stojących przed komorą celną z oczyma ku mnie zwróconemi, uśmiechających się jakimś dziwnym przekąsem. Nie przywiązując do tego wagi, skierowałem się ku wiosce, aż tu widzę gromadę żydów, w której dostrzegłem i arendarza, a która nie najlepszej wróżby mi się być zdała, gdyż za ujrzeniem mię, szwargot żydowstwa się po-

wiekszy!; a gdy zwróciłem się razad, motłoch puścił się za mną w pogoń.*)

Ujrzałem się niespodzianie w położeniu okropnem. Nie od kuli, nie od szabli, ale od żydowskich noży, zginąć bezbronny; a za grobowiec znaleźć kupę nawozu w oborze jakiego pachciarza — oto los, jaki mi się przedstawił.

Potoczyłem wzrokiem na około siebie. Nagie pola nie przedstawiały żadnego schronienia, jedyny tylko, lecz malutki lasek, zobaczyłem o kilka set kroków przed sobą; tam się więc dobieram. Chałastra w pogoni za trzymała się przed laskiem, bo ten należał już do posiadłości rosyjskich; ze drżeniem postrzegłem słupy graniczne; żydowstwo narobiwszy hałasu, obudziło czujność straży, kozaki na koniach zaczęli przebiegać swoje luki.

Gaić zaś mogłem przejrzeć na wylot, chronić się w nim długo niepodobna! Z jednej strony, czekała mię śmierć, z drugiej gorzej jak śmierć, bo niewola, lecz być może chwilo-

*) Żydzi w początkach powstania r. 1848, w Księstwie Poznańskiem, dopuszczali się wielu zbrodni. O ile krakowscy sprzyjali sprawie polskiej, o tyle poznańscy okazali się jej przeciwnikami. Zdarzało się nawet, że napadali na dyblanów w chęci mordowania przybywających emigrantów — dopóki przez powstańców skarceni nie zostali.

wa — ostatnią wybieram, i gryzę szpargały jakie miałem, aby zaś uprzedzić grożące niebezpieczeństwo bycia pojmanym i posądzonym za emisariusza, wkraczającego tajnie w posiadłości moskiewskie, za co w najlżejszym razie Kamczatka pachnęła, wychodzę z lasku i postępuję do nadstrażnika, wyglądającego z budki, z rogatki rosyjskiej.

Czerń, idąca z drugiej strony granicy, towarzyszy mi najgrawając się zdala.

Nadstrażnikowi oświadczam, że będąc poddanym rosyjskim, a znajdując się za granicą w obecnym czasie wszczynających się niepokojów, postanowiłem, jakkolwiek bez paszportu, powrócić do kraju.

Nadstrażnik posyła natychmiast kozaka z raportem do gubernatora Kalisza, odległego o wiorst kilka, i daje do zrozumienia, że od tej pory pozostaje pod nadzorem; nie zaś cierpienie staczonej nadziei służenia czynem świętej sprawie ojczyzny, trawić poczyną. Nie udało się!

Parę godzin zaledwie upłynęło, gdy oficer delegowany przez gubernatora przybywa i zabiera mię z sobą.

W Kaliszu pozostają trzy dni na odwachu.

Czwartego dnia, w skutek rozkazu namiestnika, mam być dostawiony do Warszawy. Żandarm więc i kozak, moi nieodstępni towarzysze owego czasu, siadają ze mną do bryczki — a po upływie jednej doby, pocztillion ostatni raz zatrąbił żalospną piosenkę moym dumaniom i zatrzymał konie przed żelaznymi sztachetami bramy więzienia stanu, w murach cytadeli — gdzie druga epoka, drugie szare pasmo mego żywota na ziemi ucisku, zacząć się miało.

XIII.

CYTADELA WARSZAWSKA.

„Teraz też w gorzkości jest
mowa moja.“

KSIEGI HIOBA, XX. 2.

Obraz więzienia stanu zewnętrzny i wewnętrzny.

Bramę otworzono. Ujrzałem się pośród jedno-piętrowego gmachu, zbudowanego w kształcie kwadratu, którego wewnętrzny dziedziniec był podzielony drewnianym parkanem

dzielącym go na dwa podwórca. Pierwszy podwórzec i oficyny go okrażające, napełnione były żołdactwem, przeznaczonem do pełnienia różnych potrzeb więziennych. Tutaj to przywiedli mię do jednej z izb sklepionych na dole, dokąd przybył kapitan od żandarmeryi, Zuczkowski — znany przez więźniów pod nazwiskiem Moroka, sławnego szarlatana z powieści Sue — i pierwsze słowa, jakie usłyszałem, były:

— Rozbieraj się pan do naga!

Gdy posłuszny rozkazowi przemocy, stanąłem w postaci Adama przedpotopowego, oddalono mię od sukni moich i odbyto najściślejszą rewizyę: szukano między palcami rąk, nóg, we włosach, pod pachami, w ustach. Potem oddano mi bieliznę, obuwie, tużurek, paleto — popruwszy i przetrząsnąwszy je należycie — resztę zaś, jak kapelusz, szelki, chustkę, i t. d. — tudzież wszystkie drobiazgi kieszonkowe, kosztowności i pieniądze, zatrzymano u siebie.

Potem Morok mruknął do żandarmów.

— Numer 44.

I domyśliłem się, że moje nazwisko zmie-

niło się na „czterdzieści cztery“. A gdy mię wyprowadzono, rzekł:

— Na okna się nie drapać; po ścianach nie bazgrać!

— Ale czem? — zapytałem — wszak nie mam nic!

— O, o, o! była jego odpowiedź.

Następnie, na dane hasło, furtka w parkanie się otworzyła. Postrzegłem z drugiej strony sierżanta z karabinem na warcie, i żołdata z kluczem w ręku. Przeszedłszy drugi podwórzec, wstąpiłem do głównego korpusu gmachu, zwanego 10tym pawilonem.

Cichość w nim panuje, bo tu każdy myśli; stąpasz mimowolnie na palcach, z uszanowaniem, by nie przebudzić cieni żyjących męczenników — prz strach ogarnia na wstępie w te miejsca. Po obu stronach na pół ciemnych korytarzy, uderzają oko: rzędy drzwi, jedne przy drugich, numerowane, opatrzone żelaznymi ryglami, z wiszącym na każdym kluczem i z okienkiem zasłoniętem blaszaną klapą.

Są to pieczary wielkiego grobowca, zbudowanego dla myślicieli.

Izdebka 44ta otworzyła swą paszczę przedemną i zawarła ją za mną — rozbrat ze światem.

tem! Co się w ówczas we mnie działo, wyrazić nie zdołam.

Ujrzałem się w małej, zatęchłej celi, malowanej na zielono. Zmrok w niej panował, choć dzień był jasny na Bożym świecie; szczyby dubeltowego okna, acz wielkiego, zamazane były całkowicie grubemi, z obydwu stron, warstwami gipsu, a gęste kraty dodawały ciemności.

Były tu cztery kąty, piec piąty i łoże ze słomianą poduszką, pokryte brudną, flanelową kołdrą. Oto moja kwatery!

Utykając czas jakiś po niej, ległem na twardym sienniku, czując się mocno strudzonym długą bezsennością, myślą i podróżą.

Jaki zaś był stan moralny, ten objaśnię, jeśli się da objaśnić, następującym wspomnieniem:

Parę lat temu, przejeżdżając około Niagary, słyszałem w wagonie opowiadającego Amerykanina, że Indyanin, zapędzony burzą na prąd tego wodospadu, gdy raz się na nim ujrzy, kładzie się spokojnie w łodzi, nakrywa głowę gunią i pędzi wolą wiatrów na złamanie karku, bo już nie ma dla niego ratunku.

Otóż z zimną rezygnacją na wszystko co

mię spotkać może, powiedziałem sobie: kto tu zagrześł, nie powraca — i zmrużyłem obojętnie powieki na przygody losu.

Opiekuńcza władza, zapewne przewidując że nie miałem apetytu, nie znalazła się gościnie, bo mi tego dnia jeść nie dano.

Ale za to wieczorem, gdy na chrzest za-
porów, nagle przebudzony, nie opatrzywszy się
gdzie jestem, zerwałem się z posłania, drzwi
się otworzyły, warta z kilku żołdatów
otaczała je w półkole na zewnątrz, pod prze-
wodnictwem dyżurnego żandarma, a weteran,
posługacz, wszedł do komnaty, nasypał kupkę
piasku na środku podłogi, i postawił na niej
zapaloną łojową świecę, w glinianym lichta-
rzu.

Tego samego wieczora, gdy służba zajęta
była tem roznoszeniem piasku i światła, usły-
szałem z prawej i lewej strony celi, jakoteż z
sufitu, pewne miarowe stukania, zdające się
coś wyrażać: lecz nie mogłem zrozumieć tego
nowego ję z y k a murów — i ze smutkiem
pomyślałem, że zajmąwszy numer po kimś, za-
pewne biegłym w tej sztuce, przeciąłem mi-
mowolnie komunikacyę, jedyną pociechę
nieszczęśliwych.

Na pół rozmarzony, udając się stanowczo na spoczynek, obaczyłem w łóżku prześciera-
dło krwią zbroczone. Na ten widok, do drzwi
zastukałem, żandarm przybiegł, powiedziałem
mu przez okienko, żeby natychmiast dał znać
komu należy, by prześcieradło przemieniono.

Uśmiechnął się tylko, żądanie moje zosta-
ło bez odpowiedzi i skutku.

Zaledwie zacząłem na nowo usypiać, zno-
wu, z podobnemi jak poprzednio formalno-
ściami, drzwi się rozwarły z łoskotem, wete-
ran wchodzi, tym razem z nożycami w dłoni,
aby objaśnić lojówkę, i to, pozostawiając
knot śwędzący w stancyi.

Za Lilka minut znowu taż sama historia.
Patrzyłem na nich, jak na nocne, przeszka-
dzające larwy prześladowania! I proszę sobie
wyobrazić, że przez wszystkie nocy całego ro-
ku mego pobytu w cytadeli, larwy te, co kil-
ka minut, snuły się z operacją około knota,
gorejącego u nóg moich, jak przy nieboszczyku.

Nie piszę tu romansu; pióro moje jest ma-
czane w sumieniu i prawdzie — z tą książką
gotów jestem stanąć na sądzie ostatecznym!

Nazajutrz rano ból głowy męczył mię
niesłychanie. Przyniesiono bułkę chleba i bu-

telkę wody. Później wpada żandarm i woła: „O d i e w a t s i a do komisji! prędko, prędko!“ Jak gdyby tam, Bóg wie co ważnego było. W cytadeli wszystko jest skierowane do sprawniania przestrachu więźniowi.

Gdy się ubrałem co tchu i wyszedłem, jeden piechur z karabinem staje z przodu, drugi z tyłu za mną — dyżurny żandarm przy pałaszu „t a s z c z y!“ woła i pędzi nas przez różne korytarze na pierwsze piętro, unikając wszelakoż, aby z drugim takimże konwojem, prowadzącym innego więźnia, przypadkiem się nie spotkać; aby więźniowie się nie obaczyli. Gdy w innym korytarzu kogoś przeprowadzają, wtedy drzwi takowego zamykają mi przed nosem na czas potrzebny.

Na każdym korytarzu, żołdaci składający wartę, w liczbie równej ilości stancyi więzionych, siedząc oddziałami, powstawali w szeregi za ukazaniem się mojem, trzymając karabiny, wsparte o podłogę, przed sobą. Zdziwił mię nadzwyczajnie ten tryb ich postępowania, zdało mi się, że broń prezentują — że to są jakieś szydercze honory; ale za bliższem przyjrzeniem się, dostrzegłem, że to forma ostrożności — że każdy żołnierz trzyma ręką

za bagniet u wierzchu lufy, jakby przez obawę by mu go nie zerwano.

Ileż w murach tej wielkiej kostnicy zajęść musiało okropnych wypadków, które posłużyły wrogom za lekcyę doświadczenia w ich działaniach a dla nas są pokryte kirem, może wiecznej tajemnicy!?

Gdym przybył przed wielkie drzwi komisyi śledczej, żandarm kazał mi się zatrzymać, a sam przyłożywszy ucho do dziurki od zamku, pomruknął, że nie pora jeszcze. Oczekując, zamknął mię w przyległym numerze, gdzie nic nie było, wyjąwszy mnóstwa brzoźowych pęków.

Nareszcie mię przyzwano. Zmiana dekoracyi. Ujrzałem się w sali, w pośrodku której przy wielkim stole, nakrytym zielonym suknem, siedziała pyszna trójca, a mianowicie: na pierwszym miejscu, błyszczący w złotych naramiennikach i przy orderach, generał Jołszyn, jako słońce — a obok niego pułkownik żandarmów Leichte i major Szwajkowki *), jako dwa niebieskie satelity. Skłoniłem się trójcy na prawo i lewo, a słońce ozwało się do mnie po polsku

*) Wypędzony ze służby za łajdactwo.

— Co pan tu porabiasz?

— Proszę mi pozwolić oznajmić, że wciąż niespełna jednej doby, postępowanie ze mną w cytadeli, pomijając podróż, jaką odbyłem, tak mię znużyło, że nie jestem w stanie, nie mogę odpowiadać dzisiaj na żadne indagacye.

— J jakie postępowanie? — co to znaczy?

— Tak, jenerale. Morzą głodem zaraz na wstępie — dają pościel po jakimś trupie, czy kalece; całą noc wpadają, jak mary, pod pozorem objaśniania świecy — a przytem zachciało się żołnierzom straszyć mię, jak dzieciaka, zamykaniem do składu różeg. „Nie zasłażony, ale szczęśliwy“ — dodałem.

— Pościel ja każę oczyścić; co do innych pretensyi, jak świecy, to jest zwykły tutejszy porządek. A teraz, masz pan tu kilka arkuszy papieru, zacyfrowanych moją ręką. Odpoczywając, pisz sam swój protokół. Zostawiamy mu wolność zupełną.

Skinął głową, zawróciłem się do wyjścia.

A propos, czy pan już po kawie?

— Nie, jenerale.

— To można sobie przynieść a conto

własnych funduszków, jeśli masz z sobą takowe.

— Dziękuję!

Po tej wstępnej rozmowie, powróciłem do mej klatki.

Za chwilę, Morok czyniąc zwykły ranny obchód więzienia, przyszedł z księgą i ołówkiem w ręku.

— Jak się mają? — rzecze, poglądając na kraty i ściany.

— Kto jak się ma?

— Pan.

— Dziękuję; dobrze.

— Czy czego niepotrzebują?

— Kto?

— Pan.

— Kawy, z rozkazu jenerała.

Morok na stronie 44 kawę wprowadził — i niedługo, jakieś fusy, pod nazwiskiem kawy, zjawily się z jego kuchni, za które drożej, jak za moka w kawiarni u Zuzi, zapłacić sobie później kazano

NAPISY NA MURACH.

Popiwszy tedy fusów, zacząłem rozpa-trywać się bliżej w nowem mieszkaniu; a nazwyczajwszy już nieco oczy do zmroku w niem panującego, postrzegłem wyraźnie ściany podrapane w okło i poznałem, że to wszystko były, już to świeżo, już dawniej zacierane napisy, w różnych językach — jakoteż nazwiska osób, które na pierwszym wstępie nie uderzały wzroku.

W zakątkach jednak, jak między kaflami pieca, na nogach łóżka, pod krawędziami okna itd., dostrzegłem jeszcze mnóstwo już to na pół zatartych pyłem czasu, już całkowitych napisów, które zwłaszcza wieczorem, za przybliżeniem świecy stawały się czytelnemi.

Oprócz napisów zwykłemi literami i rysunków, znajdowałem także — podobnie, jak we wszystkich innych celach, dokąd mię później przenoszono — wiele wierszy kropkowanych dziwnym rozkładem. Mniemałem więc, że pod tymi nowoczesnymi hieroglifami utajone myśli spoczywają, i że to jest język piśmienny porozumiewania się między więźniami

— podobnie jak pikanie zastępować im musi ustny.

Ale dójść do nauczania się go samemu?
Oto zagadka.

Oczekując jej rozwiązania, pójdziem odgrzebywać myśli oryginalne i z różnych autorów wzięte, wyrażone po większej części w języku aniołów, w poezyi, a rzucone na martwe mury Pompei, która pochłonęła tylu ziomków naszych. Któraż z polskich rodzin nie oplakiwała tam kogoś blizkiego jej sercu?

Oto jego słowa:

„W lochu ciemnym, wilgotnym,
Więzień na słomie leży;
K' woli chwilom samotnym,
Pamięcią w przeszłość bieży,
I co kochał, co lubił,
Czemu duszę poślubił,
Z czem myśl, życie skojarzył,
O wszystkim — wszystkim marzył.“

„Dulce et decorum est pro patria mori.“

„O luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Łos zajrzał twoim wawrzynom;
Ale im więcej jesteś nieszcześliwą,
Tym jesteś droższą twym synom!“

„Skoro nieszczęście dni twoje zachmurzy.
Uzbrój się cnotą i męstwem zuchwałem;
Cnota prawdziwa nie lęka się burzy,
Rozpacz jest tylko słabych dusz udziałem.“

„A kto wszystko za kraj stracił,
Kto ojczyźnie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze;
Bo część długu już odpłacił!“

„Księżu! Czy ty znasz moskiewskie batogi?
Czy wiesz, że wszelka władza od Boga pochodzi?“

KSIĄDZ.

„Wiem, że i władza szatana od Boga pochodzi.“

„Wszystko mi, wszystko niebiosą wydarły,
Lecz reszty dumy odebrać nie mogą.“

„Skazany zostałem dnia — do ciężkich robót
do Nerczyńska, na całe życie.“

„O! oddajcie mi moje uludzenia stare,
Miłość — nadzieję — i wiarę!“

„Niewinnie cierpiałem.“

„Z prochów naszych powstaną mściciele.“

„Bonaparte powiedział, że gdy dusza jest chora, potrzeba ją leczyć, jak się leczy rękę, albo nogę. Ja krzepię ducha mego jedynie nadzieją.“

„Niech przepadnie świat, a niech istnieje sprawiedliwość!”

Będą ci pokazywać oskarżające cię protokoły z podpisami twych kolegów — nie wierzył — żądał naocznej konfrontacji.”

„Czy ty żyjesz jeszcze Feliksie?”

„Żyć, czy nie żyć?”

„Czyż dane mi życie jest moją wyłączną własnością?”

„Co wolno było Katonowi, nie wolno chrześcianowi.”

„Za przeszłością żale ronić,
W oheoności cierpieć skrycie,
Za przyszłością nie śmieć gonić,
Ach — to jest śmierć takie życie!”

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwie hydrze,
W miłości zdusi Centaury
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.
Hej! ramię do ramienia!”

„Spiaj po mogiłach mężni bracia moi
A do mnie nawet się zbliżyć boi.”

„Bo jadłem świata gorzkie, zatrute kołaczę,
To mi ciężko na sercu i dla tego płaczę;
A jeśli się rozśmieję, to jak za pokutę,
A jeśli będę śpiewał, to na smutną nutę,
Bo w mojej zwiedłej twarzy, zamieszkała bladość;
Bo w mej zdzieczalej duszy, wypłeniono radość.

.

Jest trosków, kółców, bólów nie mało w tem życiu,
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu.
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.“

„I w słowie własnem zaparłem siebie.“

„Na saskim Placu, siedmiu kpów,
Strzegą cztery orły ośm lwów!“

„Poczekajta-no kopulki!
Przyjdą jeszcze z Francyi pułki;
My nie chcemy obcej wiary,
Wrócą nasze i Pijary.“

„Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fali.
W tem go nagle do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile.
I już nie pojechał dalej.“

„Z piekła rodem Katarzyna.
Moskalami nas zalała.“

„Myśl o was, jak trupią woń.
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń.
Ile razy kto was wspomni:
— My nie mieli przodków, nie.
Rzekną, kryjąc wstydu łzę.“

„Nasze zagrody wywracają kury,
I dachy nasze runą nam głowy;
Kamień i glina i piasek gotowy,
Złożmy je w jedno, a ujrzymy mury.“

„Wszelkie królestwo, wszelkie miasto i
wszelki dom rozdzielony w sobie, nie ostoi się i upadnie.“

„Do jedności więc przedewszystkiem Bracia!
do jedności!“

„Komisya czycha, by nas poróżnić i w męt-
nej wodzie ryby łowić.“

„Panie Boże! Ojczy nasz!
Który jesteś w niebie:
Ty potrzeby nasze znasz,
Błagamy więc Ciebie.
Niech będzie wola twa święta,
Przyjdź królestwo Twoje Panie,
Skrusz jarzmiące Polskę pęta
Daj wolności panowanie.“

i. t. d.

Ale następujący wiersz szczególnie mię-
zaintrygował:

„O mes amis! Le retour serait doux!
Je voudrais aimer et vivre encore;
Mais s'en est fait. Ce ciel que j'aimais me devore,
Plaiguez-moi, mes amis, car je meurs loin de vous.“

Byłyż to słowa Francuza umierającego?
Przyniesienie mi objadu o południu, przer-

wało poszukiwania. Siadając do stołu, i na nim spostrzegłem cieniutko wryty napis: „Testament. Wsuń szufladkę, przewróć i odskrob zaschły chleb w szparze“. Łatwo się domysleć, że przystąpiłem natychmiast do odszukania testamentu. Znalazłem stalowy trzpień, podobny do osi wydobytej ze sprzączki, na jednym końcu zaostroszony. Nie mogąc zrozumieć jego znaczenia, z uszanowaniem zachowałem go nazad, w przekonaniu, że wielce użytecznym będzie, skoro mój poprzednik aż testamentem go leguje.

Nie darmo Żuczkowski powiedział „po ścianach nie bazgrać.“ Wzięła mię teraz ochota napocząć jego drugi owoc zakazany: „na okno się wdrapać.“ i u góry w lufceiku, zrobić obserwatorium; lecz że okno było wysoko, a wasser-zupka stygła, wziąłem się najprzód do drewnianej łyżki.

JAK KARMIA W CYTADELI?

Śniadanie, jak powiedziałem, składa się z bułki, chleba i butelki wody: chleb ten ma

wystarczyć i do obiadu; wody na żądanie żandarm dostarcza więcej.

Obiad z trzech potraw:

Jakaś rumfordzka zupa, pod nazwiskiem rosółu — było nazwisko, brakowało tylko rzeczy. Przynoszono ją w cynowej salaterce, do której zamieszał się niekiedy strzępek soldackiej szyneli kucharza, lub kuchty. Na salaterce był wyróżniony numer kazamaty.

Drugą potrawą, do której nie dawano widelca, ani noża, była sztuka mięsa utopiona w rosole, zwykle wybrana z jakiegoś ochłapa, ~~le~~ się tak wyrażę, a to z powodu oszczędności gospodarza Moroka.

Trzecią, jeśli można ją liczyć, był sos na kwaśno do mięsa, mający służyć i za deser. Lecz jeżeli nie sos, to gliniane miseczki, na których go podawano, były wielce ulubione dla więźni; gdyż nie będąc opatrzone numerami, koczując do różnych stancyi, z jednej części gmachu do drugiej, gdzie trafem popadły, przenosiły zazwyczaj na dzień dobry, w dyskretnych na sobie kropeczkach, zakazaną kontrabandę: różnego rodzaju nowiny, zapytania i odpowiedzi — słowem, służyły za telegrafy,

depeszy wewnętrznych naszej więziennej republiki.

Na tym obiedzie diety utrzymywano więźnia, dopóki pierwszych indagacyi z nim nie skończono, co częstokroć długo trwało; później otrzymywał w dodatku kawałeczek pieczeni i trochę jarzyny.

W wigilię Bożego Narodzenia nastąpiła przemiana: zjawiała się śledziowa główka z kartoflami zaprawnymi octem i oliwą, nadto butelka piwa, na całodzienny posiłek.

Główka przynosiła chociaż tę korzyść, że jeśli który z więźni stracił datę miesiąca lub dnia, mógł za ujrzeniem jej sprostować swój kalendarz, już to w głowie, już na ścianieznaczony; a co większa, przenieść się myślą w grono rodziny, lub przyjaciół, łamiących się opłatkiem i zostawiających jedno krzesło próżne przy wieczerzy.

Na Wielką-Noc, zaś święcone było wyśmienite. Z przyniesionego talerzyka, napelnionego kawałkami jajka, różnych ciast i mięs, już nie załatywał zwykły sui generis zapach kuchni morokowej, tłómaczący się przez dzięgieć; ale uderzała powonienie miła woń ciast, w których pieczywie matki

nasze celują; ciast nadesłanych przez dobroczynne Polki, troszczące się o nasze alleluja.

A jednakże kuchnia Moroka dostarczała marcepany, w porównaniu z tem, co dają na pokarm wygnańcowi, gdy go już nazwą sołdatem, tam — po za Wołgą i Uralem; pokarm, którego do ust nieprzyzwyczajonemu wziąć niepodobna, bez zamrużenia oczu.

Co do kuchni prywatnej, jeżeli kto z krewnych lub znajomych uwięzionego, postarał się za pomocą wpływów swoich, o pozwole nie dostarczania mu artykułów do pożywienia, mógł mu takowych artykułów pożywnych dosyłać jako przekąskę raz na tydzień, w poranek sobotni; rozumie się, jeśli się to nie sprzeciwiało widokom komisji śledczej; wtedy wszelkie mięsiwo, czy ciasto, krajano drobno szukając jakiej ukrytej korespondencji. Rzadko się jednak zdarzało, ażeby z odbieranych przez Moroka posyłek, wszystkie dochodziły więźnia — zapewne także przez oszczędność

Myślę, że z powodu częstych ekonomij, musiał on w prędkim czasie przeistoczyć dom swojej żony, na krainę mlekiem i miodem płynącą; dom żony, bo sam na korytarzach więziennych zwykle przemieszkiwał.

Że zaś nie ma reguły bez wyjątku, zwłaszcza u rządu rosyjskiego, jeżeli tedy komisya rozporządziła, że temu, lub owemu z zamkniętych, ma być dostarczona porcja rumu, lub wina — Morok ścisły był w wykonaniu rozkazu.

Może kto zarzuci: „Jakto, trunek więźniowi? — chyba na wiwaty rozpaczy — przecież to się nigdzie nie zdarza“. Otóż dla tego, że nigdzie, zdarza się w cytadeli; bo tam dla komisji wszelki środek jest dobry i prawy, najkrzywsza droga prostą, byle do celu prowadziła.

Lekarz urzędowy bardzo trudne ma tam obowiązki, częstokroć ciężkie na sumienie ołowiu — a biedny więzień, zwłaszcza nowicysz, nie wie, z kąd następuje zmiana w jego mózgu i systemacie nerwowym. I wy, sami Warszawianie, nie wiecie, co się u was dzieje!

Nie mam zamiaru oskarżać medyka, ja nie oskarżam nikogo, cierpienia osobiste zostawiając ubiegłej przeszłości; wyznam tylko, że głęboka ironia pokryta pięknemi słowy, w lekarzu odwiedzającym więźniów cierpiących, jedynie za własne przekonanie i coś daleko świętszego, co prawy Rosyanin zrozumieć potrafi,

bardzo mi się nie podobały. Wyznaję także, mając na uwadze dobro publiczne, że w ciągu uwięzienia, doznałem pierwszy raz w życiu dziwnych paroksyzmów gorączkowo-nerwowych jakich i współ-koledzy moi, których później spotykałem na wygnaniu, doświadczali, i że niektórzy z nich dowodzili, że więźniowie unoszą z cytadeli zaród trucizny, denerwującej zwolna.

Nie mogąc ze skutków na sobie dojść rzeczywistych przyczyn, żadnego w tym względzie sądu wydać nie mogę. To jednak pewna, że choć obecnie stąkam po ziemi wolnej, doznawałem i tu jeszcze, ze starych zabytków jakiejś słabości, przestrachu, acz chwilowego, z którego sobie sprawę zdać nie potrafię. Na wygnaniu zaś, wzbudzał go najczęściej huk jakiś niespodziewany, komenda, groźba, lub bęben mikołajewski, jęk konającego w szpitalu podczas mojej warty, lub piętnowanie kobiet na szafocie.

Czy zaś cytadela tego przyczyną, późniejsze, a zbrojne towarzystwo, przerażające widoki, lub wszystko wzięte? powiedzieć nie potrafię.

Truciciele! okropne to przypuszczenie.

Mniemałbym raczej, że szkodliwa woda z Uralu, że postępowanie rządu z Polakami, oddanymi w soldaty, za tak zwane polityczne przestępstwa rządu, skazującego ich jednych tylko, pod pozorem służby woj-skowej, na gnicie beczwne w koszarach, laza-retach i aresztach, pod nadzorem i ciąglem prześladowaniem barbarzyńskiego żołnierstwa, są pewniejszym, niż wszystkie inne, zarodem trucizny, działającej na ciało i umysł, wytkniętych palcem carskim, ofiar.

P R O T O K Ó Ł.

Dnia następnego Morok, z wielką księgą i swoim: „Jak się mają i czy czego nie potrzebują“ zjawił się. Nic od niego na ten raz nie potrzebowałem, ale on zażądał odemnie protokołu. Przyobiegałem mu więc przygotować nazajutrz, a gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać, jakby w rzeczy samej skreślić ów dokument, na którym losy moje ważyć się miały? Lękałem się, wiedząc jakich mieć będę sędziów, każdego wyrazu, mającego wyjść z pod pióra mego, ażeby w nim nie uprzoatno dwuznaczności i nie wytłumaczono w p r z e -

kładzie rosyjskim wedle swego widzimisie, na moją niekorzyść.

Wszak wiadomo, że Wolter, nawet w najwznioślejszych słowach modlitwy Pańskiej, umiał fałsze znajdować, gdy chciał koniecznie tego — czegoż więc oczekiwać można było od Leichtego, którego szatański spryt i zła wola były geniuszami cytadeli?

Mając arkusze papieru porachowane i nie mogąc nic użyć na brulon, ale pisząc od razu na czysto, obawiałem się czynić najmniejszej poprawki, aby i ta nie dała powodu nieprzyjaciółom do wyprowadzania niepotrzebnych wniosków. Zaprawdę, trudno jest czynić wyznania człowiekowi, który nie ma wiary w poczciwość sędziów swoich. Namyslałem się długo, zanim siadłem do pisania nieszczęsnego protokołu.

Przyszła nawet na pamięć obrona pewnego obywatela krakowskiego, mającego czynny udział w powstaniu w roku 1846 który wyrwał się przecież z matni swych badaczy. Obronę tę, mniej więcej, za wzór prostoty w tłómaczeniu się przyjąć zamyslałem. Szlachcie w tym guście się tłómaczył:

„Jakkolwiek zarzucają mi panowie, że

byłem powstańcem, a to z powodu, że mię widziano z bronią w ręku w liczbie innych, zdanie to mylne jest. A oto, jak się rzecz miała:

„Szedłem sobie najspokojniej ulicą,“ gdy ni ztąd, ni z owąd, napada na mnie jakaś gromada ludu zbrojnego, „chodź z nami!“ wołając. Zrazu nie poszedłem z nimi, lecz chciałem przedłużyć zamierzoną drogę, gdy oni kulą w łeb mi zagrozili. Kula w łeb mości dobrodzieju, to były nie żarty. Chcąc nie chcąc, musiałem iść i patrzeć, jak drugich podobnie werbowano.

„Przechodząc około magistratu, wymknąłem się im przecież z zamiarem zaniesienia użalenia samemu dyrektorowi policyi — ale proszę sobie wystawić mój zawód, gdy cały gmach pusty znalazłem, bo policya gdzieś się podziela — ja zaś wyszedłszy, drugą gromadę w ulicy spotykam, która znowu mię z sobą zabiera.

„Pytam się, dokąd mię prowadzą? Do szarej kamienicy! — odpowiadają.

„Szara kamienica — szara kamienica — wszak tam żadna z władz nie przemieszkuję? — myślę, ale już nie mówię i idę za

drugimi. Przybywam na miejsce aż tam widzę chorągwie popowieszane, i powiedziano mi, że tam jest rząd narodowy. Zapisano mię, dano mi broń i naturalnie, nosić ją musiałem, skoro nowy rząd rozkazał.“

Nazajutrz gdy Marok mię wezwał dla odczytania protokołu, poprosiłem aby mi oznajmić raczono, przed kim stoję: czy przed trybunałem, czy przed komisją śledczą? i kto są ci członkowie, których mam zaezczyt widzieć przed sobą?

Odpowiedziano, że ta wiadomość wcale niepotrzebna. Dodałem, że nie wiem, kto i o co mnie oskarża, a w każdym razie nie znając prawa krajowego i nie wiedząc, na mocy jakiego prawa w cytadeli odpowiadać winienem, w razie czynienia mi zarzutów, z powodu których zapewne aresztowany jestem, prosiłbym o przydanie mi adwokata.

— A cóż to? czy pan zabiłeś, albo zrabowałeś kogo, żeby ci aż mecenasów potrzeba było? odezwał się Leichte.

— Właśnie, że nie poczuwam się do żadnej zbrodni, nie przewidując, czem mogłem wykroczyć przeciw prawu karnemu, spisałem tylko na żądanie, krótki bieg życia; bo nawet

nie rozumiem dostatecznie, co znaczy „protokół”.

Poczem, odczytawszy mój rodowód, wyraziłem, co tu w treści przytaczam:

„Działo się w Warszawie, w 1848 roku. Przybywszy tam, w przedmiocie naukowym, za paszportem krajowym, zostałem zatrzymany w skutek fałszywej denuncyacji, zaniesionej przez złego człowieka, nazwiskiem Brzezańskiego, do ober-policmajstra miasta Warszawy, generała Abramowicza.

„Donos był najnielogiczniejszy w sobie, bo oskarżał mię o szkodliwe wpływy. Jakie wpływy mógł mieć 19-letni młodzieniec, który świeżo opuścił ławę szkolną? — Oskarżał mię oraz o zakazane rozmowy przeciwko rządowi, jakoby prowadzone z donosicielem Brzezańskim; nadto o zamiar udania się tajemnego za granicę i namowę do tego, jego, którego osobiście nie znałem. Wiem tylko, że człowiek mieniący się być tego nazwiska, przychodził często do hotelu, w którym na czas pobytu w stolicy zatrzymałem się, i że usiłował narzucić mi się ze swą znajomością.”

„Oskarżyciel nie złożył żadnych dowodów na swój donos; nie wyraził nawet przyczyn,

dla których miałem jak twierdził, udać się za granicę w charakterze tajemniczym.

„Wskutek tego doniesienia, zatrzymany w hotelu rzeczonym i po kilkudniowym uwięzieniu mię w policyi, zostałem wydalony do Rosyi, bez odbytego śledztwa i sądu nademną; bez powziętego o stanie mego zdrowia zdania lekarskiego, zanim udałem się w podróż; słowem z pominięciem wszelkich formalności prawnych.“

— Musiała być konfirmacya namiestnika; przerwał Leichte.

— Jeżeli była, takowej mi nie odczytano, nie pokazano — nie podpisałem jej; nie mogłem więc i nie mogła, jak tylko uważać ją za nie była — a sam nieprzekonany będąc przez władzę o żaden postępek przeciwny kodeksowi karnemu, uważałem się i uważam za ofiarę jakiejś okropnej pomyłki, jeżeli nie gwałtu publicznego.

— Ale co nam pan tam za androny prawisz! Co nam tam do poprzedniej sprawy jego!... Wreszcie — prozję czytać dalej.

„Opuściwszy Warszawę w gronie złoczyńców, nie wiedziałem za co, dokąd i w jakim celu mię pędzono?“

— Czy słyszy jenerał? A to czyste tysiacy noczy, powiastki arabskie, młodzieniec nam opowiada. Czy i przysięgi także nie wykonałeś? Czyż nie wymawiało się wyraźnie i nie podpisywało, że sztandaru do ostatniej kropli krwi bronić się będzie? Wszak łatwoby wiedzieć, że się nie idzie na księdza, ale na żołnierza.

— Być może, łatwo to było dla kogoś innego. Co do mnie, ja się tego nie domysliłem. Zbyt byłem młody, niedoświadczony kiedy mię przywieziono zbrojno do przysięgi — nie ma się więc czemu dziwić, jeżeli w stanie przełknięcia, w jakim się na stopniach ołtarza znajdowałem, nie byłem zdolny do zastanowienia się nad wyrazami, które mi kapłan po sobie powtarzać kazał. Słyszając zaś niegdyś, że każdy z mieszkańców kraju, winien wykonać przysięgę, tak zwaną homagialną, na wierność nijaśniejszemu panu, przysiągłem w przekonaniu, że po raz pierwszy takową, homagialną przysięgę składam. Mniemałem nawet, że może przyczyna aresztowania mię była ta, że dotąd tej przysięgi nie wykonałem. Zresztą nic się nie podpisywało.

— A czy do przysięgi nie poszło się z włosami ostrzyżonemi; nie we fraczku, ale w uniformie rekruckim?

— Tak pułkowniku — i to właśnie było przyczyną powiększenia mego przerażenia przy akcji uroczystym. Z drugiej strony, że włosy mi ostrzyżono, a nawet golono wszystkim w partyi, do której wcielony byłem, nie wyłączając i okutych w kajdany; jako też, że mi dano szarego koloru opończę za ubranie, na której nie znajdowało się metalowych guzików, numerów, ani kołnierza, lub wypustek kolorowych, co się daje spostrzegać zwykle na wojskowych, to mnie nie przeświadczyło o nadanym mi charakterze wojskowym, jeżeli go nosilem.

— A więc pan nigdy w życiu swoim rekrutów nie widziałeś? Gdzie się pan wychował? — zapytał Jołszyn.

— Wychowałem się tu w Warszawie — tu byłem w szkołach. Wśród wielkiego miasta zajmowały mię inne widoki — może i rekruci przechodzący kiedy około mnie, zwrócili na się me oko, podobnie, jak wiele innych przedmiotów, ale nie uwagę; bo ich sobie nie przypominam.

— Szedłeś pan do wojska. Wszak i my wszyscy, których tu widzisz, nie od razu zostaliśmy oficerami. Każdy początek jest trudny. Nie ma więc co narzekać, jeżeli się popadło pod przepisy konskrypcyi. Wreszcie ta cała historia do nas nie należy.

— Upraszam generała o wysłuchanie końca sprawozdania.

— Słuchamy! słuchamy!...

„Papery, mianowicie: świadectwa szkolne i wywód jedynactwa — z adeptacyi — na mocy którego nie mogłem być oddany do wojska ze zwykłego poboru, jako popisowy, zostały mi przy rewizyi odebrane przez policję i nie zwrócone.

„W ciągu drogi byłem opanowany słabością, która zostawiona bez pomocy, mógł, zamienić się w chorobę. Czując się niezdolnym do wytrzymania ciężkich trudów długiej podróży i zbyt surowego obchodzenia się na stójkach, walczyłem między życiem a śmiercią. Nie mogłem starać się o przyniesienie ulgi, będąc otoczony bagnetami. Poddałem się rozpacz i pod jej wpływem korzystałem, nierozmyślnie, ze sposobności ucieczki, idąc, gdzie mnie oczy prowadziły.

„Później atoli, zastanowiwszy się nad własnym postępkim, nie wiedząc co począć, żałowałem go, ale już zapóźno. Obawa otrzymania kajdan odwiodła mię od powrotu na etap. Przedsięwziąłem dostać się do Warszawy, w celu zanieśienia zażalenia do JO. księcia Namiestnika.

„Błąkając się po lasach, aby nie być schwytanym i związanym, jako nie posiadający paszportu, wyszedłem w końcu na drogę, która mię doprowadziła do Brodów, miasta o kilka mil położonego od punktu, z którego poważylem się uciec. W Brodach dopiero, rozpatrzywszy się, poznałem, że mimowolnie wstąpiłem do posiadłości austriackich.

(Uśmiech audytorów.)

„Raz za granicą, poznałem się z kilkoma cudzoziemcami; nadarzyła się sposobność odbycia podróży po Niemczech i Włoszech, z której jako młody człowiek, powodowany ciekawością zwiedzenia obcych krajów, korzystać nie cmieszkalem; zawsze jednak z zamiarem starania się, po ukończeniu onej, za pośrednictwem jednego z pp. ambasadorów, o sprostowanie krzywdy mi wyrządzonej, jedynie przez dozwole nie powrotu i wolnego przemierzania w kraju.

„Wszczynające się zamieszania w Europie w roku 1848, przyspieszyły ten powrót. Aby uniknąć rewolucyi, przybyłem do kraju zdając się na łaskę jego Cesarskiej Mości, którego jestem poddanym

„Zważywszy, że czyn złej woli, nadużycie, lub pomyłka, w roku 1846 powyżej opisane, były źródłem, z którego wypłynęły wszystkie moje nieszczęścia w następstwie, mam honor upraszać najpokorniej do stojne posiedzenie, aby sprawę tę rozstrząsnąć i zawiadomić władze wyższe raczyło.

„Któż z panów zaprzeczy, że gdybym nie był niewinnie strącony z drogi sobie właściwej na fałszywą, los mój nie wziąłby był innego kierunku? Odwołuję się do chrześcijańskiego sumienia panów.“

Po wysłuchaniu niniejszego, żaden nie wyrzekł ani słowa; ołowiane, bez wyrazu oko suchotnika Leichte, zawisło na mnie Jolszyn dał znak, abym papier złożył na stole, co uczyniwszy, opuściłem posiedzenie.

PORÓWNANIE WIĘZIEŃ AUSTRYACKICH Z ROSYJSKIEMI. SYLVIO PELICCO.

Jakże przykre jest przebudzenie się więźnia i jego zapytanie gdzie jestem? gdy czuł we śnie ciepłą rękę brata, siostry, lub

przyjaciela! Widok kraty spycha go nagle z eterycznego świata do smutnej rzeczywistości.

Ileż to razy, w owem echu gwaru Warszawy, które dclatywało mię, jak żalosne pieśnię, smętna przegrywka myślom, zdało mi się słyszeć zmieszane głosy osób ukochanych, mieszających blisko, a nie domyślających się o mym losie!

Na myśl o matce, przedstawiała się Golgota i łzy Maryi; wtedy, o ile smuciłem się, że widzieć nie mogę sędziwej rodzicielki, o tyle cieszyłem, że oszczędzoną jej została boleść oglądania mię w kaźni.

Upływały dni, tygodnie i miesiące, odkąd złożyłem był protokół; miesiące, jak wieczność długie, najmniejsza zmiana nie zaszła w mem życiu jednostajnem. Myślałem że nawet komisyja zapomniała o mnie.

Może byłby zajmującym opis mych walk wewnętrznych, jako historia człowieka, jego upadku i rozwoju w niedoli; lecz opis podobny przeszedłby zakres pisma tego, w którym jednak mniejbym, bez wątpienia użytecznego powiedział nad to, co już nam wyraził pod tym względem Sylvio Pelicco w swoim hymnie cierpienia, poświęconym Bogu i ludzkości.

Szczęśliwy, że mógł w najcięższych kazamatach cierpiąc znajdować pokarm dla ducha tę mannę go pokrzepiającą, na której mi zbywało; że i tam nawet mógł świadczyć drugim dobro.

„Moje biedne serce — mówi on — ty kochasz tak łatwo i tak gorąco!“

Dla człowieka uczciwego, dla którego miłość jest życiem, jakaż to pociecha móżdż wy-lewać się do podobnych sobie istot? Sylvio znajdował tę pociechę. Więźniowi cytadeli jest ona odmówioną, przez jakieś losów zagniewanie!

Sylvio znajduje głucho-niemego malutkiego przyjaciela w więzieniu w Medyolanie, kształci go i myśli o jego przyszłości; podziwia śpiew czysty jednej z sąsiadek: „Któż odda niejszczęśliwej szczęście, które straciła?“ nuciła Magdalena — rozbraja upór dozorczy Schillera, do tego stopnia, że ten ukazuje czułość serca, jaką starał się ukryć. Wszystkie istoty, które napotyka, mówią, gdy w cytadeli języki są skostniałe pod groźbą Moroka. Jeśli się odegzwiesz do żandarma, lub posługacza, próżne twe słowa, bo struchlały milczeniem odpowiada. Zdaje ci się, że te strwożone postacie, zaparły się nietylko języka, ale i myśli!

Sylvio rozmawia w więzieniu z mieniącym się być synem Ludwika XVI., koresponduje z drugimi, widuje swych współkolegów, ma biblią, klucznicy dostarczają mu książek; bywa w kościele w gronie swych przyjaciół, słyszy pieśń pobożną kobiet przy muzyce organu, staje w listach polemikę, nawraca towarzyszków niedoli do wiary, pociesza i jest pocieszanym, uduchownia się — żyje!

Nawet pod ołowianym dachem w Wenecyi, przychodzą do niego małe dziatki. Naiwna Zanze, córka dozoru, przynosi mu kawę, mówiąc: „To ja tę kawę robiłam“ lub też: „Gdy nie widzę mego narzeczonego, wszędzie mi się nudzi, wyjąwszy tutaj.“

Wizyty Zanny, powiadał, pokrywały rzeczywistym wdziękiem moje nieszczęście i podwajały życie. Jej towarzystwo było dobrodziejstwem, ono łagodziło mój charakter.“

Piekąc się w gorącu, skąsany od komarów, zapytuje siebie: „Czy chciałbyś być wolnym i przejść do innego mieszkania, ochłodzonego miłym zefirem, lecz nie widzieć tej serdecznej dziewczyny?“

„Wyznam — dodając — że nie czułem odwagi, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie.“

O! ileż to zasiłków życia, które dopomagały włoskiemu patryocie do nabierania otuchy, do powstawania z upadku, któremu poddawał się niekiedy, do ukochania bliźniego, więcej, jak samego siebie! Okoliczności powyższe, jak mnóstwo innych, rozwijały błogo jego charakter. Czuł on za milion współbraci, i znajdował szczęście w uczuciu własnem; a postępując tą drogą, wzniósł się do najwyższej potęgi archanielskiej czystości ducha: *nauczył się przebaczać swym wrogom!*...

Ale w cytadeli, wszystko co mogło budzić w człowieku myśl i uczucie, władza usuwa. Tam więzień nie zobaczy uśmiechu małych dzieci, jak nie zobaczy promieni wschodzącego słońeczka. Nikt nie poważy się podejść do jego okna, chyba zapędzona wiatrem ptaszyna — nikt do drzwi, oprócz skradającego się cichaczem żandarma — nikt do jego celi, oprócz milczących mar objaśniających świecę, jak przy nieboszczyku. Tam on męczony, nie mogąc znieść częstokroć przygotowanych sideł, zdrad i piekielnych katuszy, zaczyna się śmiać z Boga, z świata, z ludzi; dziczeje, zamienia się w kamień! a raz znalazłszy się w

tym stanie, trudnym staje mu się powrót do uczuć wzniosłych.

Pellico nawet, mówiąc o uniesieniach rozpacz, powiada: „Przestawałem modlić się, powątpiewałem o sprawiedliwości Bożkiej, przeklinałem ludzi i świat cały i przypominałem sobie wszystkie sofizmata naśmiewające się z cnoty.“

W cytadeli nie ulituje się nad więźniem żaden Schiller dozorca, bo takowego tam nie ma. Tam biedny żołnierz, z brązową twarzą pokolenia mongolskiego, w zbroję okutą, pilnujący ciebie, zmienia się z warty i ucieka ztamtąd; następuje drugi, trzeci i dziesiąty, podobny do pierwszego i ci wszyscy nikną, nie wyrzekłszy i nie przyjąwszy, ani jednego słowa.

Czuła piosenka żadnej Małgorzaty, choćby występnej Magdaleny, zawsze jednak młodszej siostry w Chrystusie, nie ozwie się także, bo i tej tam nie ma — usłyszysz czasami o zmroku, cichym głosem, wydobywającego się z kądsiś, jak z pod ziemi, zanurzone słowo z psalmów Dawida, głosem kapłana, wystawiającego się na karę za przestąpienie milczenia, dla chwały Bożej. Usłyszysz jęk opodal, lub suchy

kaszel piersi, w której ostatnie pękają struny, bo innej melodyi mury tam nie znają.

Żadna Zanze nie zawita z wyrazem pociechy, chociaż jeśli gdzie, to zaprawdę, w rozkrzyżowanej Polsce nie zbywa na podobnych niewiastach; ale zawita raz na miesiąc kometant fortocy, aby zapytać więźnia, czy nie ma powodu do zażaleń i czy mu dobrze?

„Bardzo dobrze!“ — miałem zwyczaj odpowiadać.

Rozumiem, że położenie męża w sile wieku, z rozwiniętym duchem, który cierpi za ojczyznę, za ludzkość, może być znośne, aczkolwiek względnie; może mieć swoje słodcze, chwile szczęścia nawet. Taki spełniwszy posłannictwo, wzniosłszy się nad poziom, staje myślą między ziemią i niebiosami, czuje wielkość ofiary swojej. Wielkim jest w męczeństwie; więzienie, to jego poświęcenie; z pogodą jaśniejącą na czole, z uśmiechem pokoju na ustach, oczekuje chwili skonu — a krew jego użyznia niwę, na której wzrasta ziarno Boże. Tego Człowiek-Bóg, wołający z pod ciężkiego krzyża: „Nie płaczcie nademną, ale nad sobą i nad dziećmi waszemi“ dał przykład.

Ale położenie młodzieńca rozwiniętego, który nie miał jeszcze czasu wszystkiego zgłębić, nie umiał zdać sobie rachunku z cierpień swoich, dla którego cierpienie przedstawia wyobrażenie o obowiązku, jest okropne. Znosi on, jak dziecko, wielkie bóle męża, bez znalezienia ulgi w dolegliwościach.

Andryan, w swoich wspomnieniach więźnia stanu w Austryi, przytacza rozmowy budujące, jakie tam prowadził z misyonarzami, które go, sceptyka, nawiodły na drogę prawdy, światłem ewangelicznem, kładąc balsam na bolesne rany. W cytadeli więźniów cieszyć — i księżom niewolno. Nawet na Wielkanoc duchownego nie widziałem.

Wiele pisano o Bastylii, Spielbergu, dąge rotypowano Botany-Bay, więzienie celularne w Filadelfii, i t. d. Dla czego zaś nikt nie wystąpił dotąd z opisem środkowego więzienia Polski: cytadeli warszawskiej? Wszak dzieło tego rodzaju zajmującym i godnem powszechnej uwagi?

Odpowiedź na to: że Francya, Anglia, Austrya, Ameryka i inne państwa razem wzięte, nie zdołają tak skryć człowieka, jak go skryć i oniemić potrafi Rosya, by nie gło-

sił jej tajemnic — że ten, kogo nie zabiła
cytadela, kto z niej nie wyszedł idjotą, tego
dobiły obszary pustyń, lub katorga, a jeżeli u-
dało się kiedy powrócić ztamtąd jakiemu
znękanemu i okrytemu szronem starcowi do
rodzinnej strzechy, to już nie do pióra było.

Ja należę do szczęśliwych wyjątków,
jestem zdrow, jestem wolny — i mówię!...

Słyszałem, że Mikołaj I., za ukazaniem
się dzieła Sylwii Pelicca w Petersburgu, unosił
się przed jednym z magnatów polskich, nad
poddaniem się bez szemrania tego męczen-
nika.

Tyranom podobają się ofiary, które się nie
bronią; bo zdaje im się, że je łatwiej zgła-
dzić. Mogło się nawet zdawać Mikołajowi, u
którego tylko bagnet, paszcze spiżowe i okru-
cieństwa stanowiły potęgę i siłę, że Polska
co nie splamiła się w dziejach podniesieniem
ręki zabójczej na monarchę, łatwą jest także
do zagłady.

Mikołaj, ani Pelicca, ani Polski nie zro-
zumiał, nie pojmując tak w jednym, jako i w
drugiej, siły wyższej nad żelazo, spiże i
wszelkie męczarnie, siły niezwalczonej: siły
moralnej.

Weź krzyż i idź śmiało do celu — a dojdiesz!

NAUKA JĘZYKA MURÓW.

Znowu upływały dni i tygodnie, zawsze byłem w jednym położeniu; lecz jakaż to dola samotnego więźnia? Zamknięty w ciasnej kazamacie, krąży w niej, dopóki znużony nie padnie na łóżko z westchnieniem. Nie raz zdawało mi się, że mam ogień w głowie; to znowu wycieńczony na siłach, wpadałem w letargiczny spoczynek i godziny całe schodziły mi na gnuśnem leżeniu, z utkwionemi oczyma w sufit, bez zrobienia najmniejszego ruchu ciała.

Czasami uniknąwszy czujności żandarma, wdrapałem się na okno, aby wyrzeć na świat. Słodysz, z jaką wciągałem w siebie powietrze, tylko więzień uczuć może, a żadne pióro wyrazić jej nie zdoła. Wtedy myśl, czyby nie udało się jako wymknąć z fortecy, świeciła w głowie — czyby nie udało się, wychodząc kiedy z komisyi, odziać się płaszczem i furażerką jednego z audytorów?

Próżne złudzenia!

Byłem pod wpływem tych marzeń, gdy

kastaniety — tak nazywałem pukania mych współ-towarzyszy niedoli — odezwały się nademną, bo do mnie przestano oddawna pukać — nie chciano zapewne narażać się, bezkorzystnie.

„Wielki Boże! Ty, któryś zamieszał języki pysznych w Babelu, a ukazał płomie-
niejące nad głowami apostołów, daj mi dar
słowa!“

Po tej modlitwie, postąpiwszy do ściany zapukałem z cicha. Sąsiad odpowiedział podobnym znakiem, i znówu powtórzył to, co już od kilku tygodni czynić zaprzestał, to jest, posunął czemś twardem pięć razy po ścianie, jakby znacząc pięć linii, jedna pod drugą. Cały w słuch się zamieniłem i znówu zapukałem. Wówczas uderzył zwolna 23 razy.

Wydobyłem natychmiast z ukrycia żelazny sztyft — zostawiony testamentem — i w pięciu liniach rozłożyłem 23 głosek alfabetu — następnie, wyszukując potrzebne do składowania wyrazów, w sposób, jak się wyszukuje liczby w tablicy Pitagoresa, zacząłem systematyczne pukanie. Sąsiad zrozumieć mię jeszcze nie mógł, ale w sposobie jego odpukiwania,

przebijając się radość z mego postępu w nauce.

Przypuszczałem, że alfabet przyjęty w cytadeli, jest skróconym, skoro składa się tylko z 23 liter, i że w skracaniu go właśnie była przyczyna mojej pomyłki, ale że dojść do celu muszę.

Z tem mocnem postanowieniem udałem się weselszy na spoczynek. Nazajutrz rano, posługacz przyniosłszy, wedle zwyczaju, miskę z wodą, wyszedł na korytarz — umywając się, postrzegłem krzyżyk wydrapany na jej polewie. Na ten niezwykły znak, podniosłem ją i obaczyłem na boku, skreślone tajemnicze abecadło — prawdopodobnie przez sąsiada — w rozkładzie następującym:

1. 2. 3. 4. 5.

1. a b c d e

2. f g h i k

3. l ł m n o

4. p r s t u

5. w y z.

Zatarłem je, a zaledwie miskę zabrano, aby ją ponieść do następującego numeru, podstąpiłem do ściany i wypukałem „dzień dobry.“ Kolega odpowiedział; „dzięki Bogu!“

Gdyby kto udoskonalił teleskop do tego stopnia, że obaczyłby po raz pierwszy ludzi na planecie, nie ucieszyłby się może tyle, ile ja z mego odkrycia.

Łatwo czytelnik zrozumie zastosowanie powyższego abecadła tak do pukania, jako do pisma. Naprzykład, chcąc wyrazić głoskę i, uważam, że zajmuje ona czwarte miejsce w drugim szeregu; oznaczam ją więc czterema i dwiema kropkami* (::: i t. p.

Imię Jan, wyrazi się więc, jak następuje:

:: :: : : :: ::

O! óż znośniejszą stała się niewola, gdy mogłem o szarej godzinie zamienić słów parę z kolegą.

Lecz w niewoli trudno jest znaleźć czystej uciechy, bo w tym razie podejrzenie zatrutowało onę. A jeżeli sąsiad jest narzędziem podstępnych badań? Myśl ta rozdzierała serce. Jakże smutno domyślać się na każdym kroku zdrad i zasadzek! widzieć w otaczających samych tylko wrogów — czuć ciągle trwogę, nawet na odgłos bratniej, choć niewidomej dłoni — a jednakże trwoga ta, z natury rzeczy, musi

męczyć więźnia i usprawiedliwioną później została podejściami, jakich się na mnie dopuszczała komisya.

Raz mój dobry kolega zapukał: „Ty głodny musisz być, mój bracie kochany. Jeśli już złożyłeś protokół, poproś Moroka o pieczeń i jarzynę. W ich polityce jest, ażeby ich prosić.“

Z razu, nie podobawa mi się ta rada; zastanowiwszy się jednak pojąłem, że rozumie on, ile głód dokuczać mi musi — i jakkolwiek ze wstrętem, zwróciłem się nazajutrz z prośbą, czyli raczej formalnością prośby, do Moroka.

— Zkąd pan wiesz, iż tu pieczeń dają? — zagadnął, utkwivszy we mnie badawczo oczy.

— Codziennie woń sosu mię zalatuje.

— Hm — sosu, bąknął, zastrzaskując drzwi za sobą i już był na korytarzu, a jeszcze: so—su—so—su! słyszeć się dawało.

POTĘGA WYOBRAŹNI W WIĘZIENIU. ROZMOWA PRZESZ DZIURĘ W ŚCIANIE.

Wyobraźnia moja, nigdzie nie była tyle twórczą, samodzielną, ile w cytadeli; ale

pamięć nigdzie nie była tyle, ile tam niedo-
łężną. Płody wyobraźni z różnych okresów
życia, są mi obecne aż do tej chwili; te zaś,
które ożywiały mię wśród więziennej samotni,
opuściły mię niemal wszystkie za pierwszym
niemal krokiem zamtąd: ich rysów nie przypo-
minam sobie.

W cytadeli tak się czułem słabym, bez-
władnym, że chwiejąc się stąpałem. Okazuje
się, że w wątłem ciele silna wyobraźnia za-
mieszkać może — ale jest ona gorączkową.
Gdybym miał był pióro, zdaje mi się, że
kreśliłbym szkice kolorytu żywego, jaskrawego,
uderzające wydatnemi kształty i szatą godową.
Wszak i to winienem po części wyobraźni, że
zdołałem przeniknąć tajemnicze abecadło, na-
rzucony ku temu wątek.

Ale jak głodnemu chleb na myśli, tak
oddzielonemu od cudnej przyrody, stawała ona
przed oczyma. Rzeźbiarz potrzebuje marmuru
na sukienkę dla idei, malarz farby; mnie
potrzeba było błękitnych wstęg i smugów
niebios, na tło do mych marzeń. Rzeczywiście,
czyż te czarowne panoramy, jakich żadna
optyka, żadna latarnia magiczna wydać nie
zdola, kwieciste doliny, ruczaje, jakieś szcze-

śliwe siola, grody całe, nie przesuwwały mi czasem w mózgu, dla tego jedynie, że mi zbywało nawet na powietrzu?

To znowu, jak promienie słońca, odbite od zwierciadła, biegną gdzieś w nieskończoność, tak wyobraźnia, w odbiciu się od ziemi, ulatywała w wyższe sfery, w oderwaniu, nie zależne, istniejące dla nich samych, jak piękność dla piękna, prawda dla prawdy.

Dumania kończyły się zwykle wieczorem, gdy służba zaczyna się krzątać około przygotowania światła, zbierania naczyń i t. p., bo wtedy na zapukanie sąsiada, jak przebudzony lunatyk, powracałem do świata rzeczywistego.

Pewnego razu umówiliśmy się, aby wywiercić dziurę w ścianie, w celu łatwiejszego porozumienia się i zaraz wzięliśmy się do roboty. Ściany pomiędzy numerami są cienkie. Więzienie bowiem zrobione zostało z koszar; podzielono wielkie izby na małe, za pomocą tarcie obitych trzcina i tynkowanych. Miejsce na otwór wybraliśmy między spojeniem kafli pieca wspólnego, bo deska tam do wklęsłości nie dochodząc, nie mogła tamować roboty.

Praca była długa i mozolna, gdyż tylko w upatrzonych chwilach mogliśmy ją wyko-

nywać; a za całe do niej narzędzia, były drewniane łyżki, których trzonki służyły nam za świderki. Co wieczór zatykało się szczerlnie chlebem zaczęta robotę, nie zaniedbując zamałować zalepionego miejsca zebraną ze ściany farbą. Kropła wody kamień przebija — koniec końcem i dziura stała gotowa.

Kolega mój także samotny. Otóż jego meztwo podtrzymywało moje, i wzajemnie, jeśli jeden wpadł w głębokie, przerażające milczenie, drugi go rozweselał, jakąś uwagą uśmiech wywołującą; to znowu z rozmów wspólnych pryskała iskra światła, jak z uderzającej stali o krzemień.

Pewnego razu, wysunąwszy do mnie słomkę: „przytknij do niej usta i ssij“ — rzecze. Przytykam je więc na wezwanie i ciągnę. Poczuvszy smak wina, zdawało mi się, że nektar pokrzepiający rozlewa się po mych żyłach. „A teraz — dodał — powinszuj mi imienin.“

Jakże się ucieszyć musiała matka tego biednego, słabowitego chłopca, siedzącego już czwarty rok w cytadeli, pod sądem wojennym, gdy otrzymała pozwolenie przesłania mu dnia tego szklanki wina, kilku ciastek i cygar!

Ciastami dzielić się mu było niepoдобna; ale cygara paliliśmy wspólnie. Otwierałem usta, a on puszczał mi ze swoich kłęby dymu, przez słomkę — co złapałem, to i połknąłem.

Gdy poznaliśmy się bliżej, opowiadał, jak udała mu się raz sztuka napisania do matki, między krochmalnemi fałdami koszuli odesłanej do prania, także słomkę z siennika, jaka mi służyła za kieliszek i cybuch; kawałek zaś papieru zagryzmołonego, pozostały z przysłanego ze szpitala proszka, spalony i zmieszany ze śliną, miał być wysmienitym atramentem.

Długie częstokroć były nasze pogadanki. Trafny był pogląd jego na cytadelę:

„Szczęśliwys — rzekł — iż sprawa twoja jest tego rodzaju, że sam bronić się w niej możesz na wszystkie strony; ale proces wytoczony tutaj razem kilku i kilkunastu osobom, należącym do jednej sprawy, a rozdzielonym w więzieniu i badanym pojedynczo, wystawionym na zasadzki, jakie chyba piekło wymyśleć zdoła, jakże jest trudnym do przetrwania! Z jednej strony, ciągła trwoga zaszkodzenia innym i całej sprawie, pożera więźnia — z drugiej, trudność walki przeciwko ustawicznym

obwinieniom i podejrzeniom zwierzchności; niebezpieczeństwo zaś wzmaga się jeszcze w miarę nowych odkryć i aresztowań. „A jakże boleśnie, gdy te odkrycia wychodzą z własnego koła stowarzyszonych, podające wrogom nie do kłębka! Są między nimi nawet tacy nie-szczęśliwi, którzy upadając na duchu pod zadawanemi im cierpieniami, plotą niestworzone rzeczy, w nadziei polepszenia sobie losu. Mieszają do sprawy nieznaune im osoby; a komisya cieszy się: raz że potrafiła zdemoralizować świętą sprawę, a słabego człowieka częstokroć do tego stopnia, że ten opamiętawszy się, brzydzi się samym sobą i staje się godną politowania ofiarą; powtóre, że upatrzwszy jakieś najmniejsze prawdopodobieństwo w słowach szalonego oskarzyciela, aresztuje niewinne ofiary, niewiedzące o niczem, z których jednak rzadko kogo nie potrafi zrobić winnym, bo na tem polega jej interes. Wykazując jak najwięcej przestępców politycznych członkowie jej dowodzą przez to samo o potrzebie i ważności swoich urzędów — a że niewinnych Polaków kości spruchnieją na wygnaniu, to się hynajmniej nie sprzeciwia polityce cara. Pozorem zaś nie trudno jej okryć

aresztowanego. Umie zapłatać go w sieć tak dziwnie skojarzonych intryg, że przywiedziony do ostateczności, choć nie wykroczył w niewoli, czego komisya nie zaniedba podciągnąć pod prawo karne moskiewskie, złożone z u k a z ó w różnych carów i caryc, sprzeczne w sobie, dające się naciągać wedle woli sędziów.

„Tutaj mój bracie, podejrzani tyraństwu, staliśmy się wzajem sobie podejrzanymi, bo inaczej być nie może w jaskinie szpiegostwa. Systemat niesprawiedliwości i kłamstwa, tłumi nie w jednej duszy pojęcia dobra i prawdy, uczucie miłości Boga i bliźniego, a wyradza — nienawiści!“

Żałuję, że nie mogę przytoczyć wiele z opowiadań mego kolegi. W całym opisie o-puszczam muszę szczegóły ciekawe, któreby służyły za dowody dla niego — aby nie dać wrogowi możliwości ścigania kogoś, z niniejszem wydaniem w rękę.

Przez otwór mogliśmy rozmawiać o ka-żdej niemal porze, jakkolwiek z cicha, dosyć jednak śmiało, gdyż słuch więźnia, jak wzrok i wszystkie zmysły, tak staje się czujny, że najmniejszy, a złowóżbny szelest w koryta-rzu, nie uchodzi jego uwagi.

Zandarmowi się zdaje, że może więźnia podejrzyć, podsłuchać, a nie wie, że zaledwie poruszy się w krześle, jeszcze kroku nie zrobił, już szmer jego płaszcza spłoszył mię, jak ptaka, od miejsca gawędy; i gdy po cichutku na palcach, skradł się pod okienko, rachowałem jego stapania.

Ale nadeszła ogólna rewizya — dziurę znaleziono — kołkiem zabito — a nas rozprowadzono do innych kazamat.

Wezwano mię do komisyi. Jolszyn wpadł w kaznodziejski zapał: dziurawić mury skarbowe! taka to zbrodnia, że aż Morok oczy przymrószył ze zgorszenia. Pomimo to jednak oświadczone, że mi pierwszy i ostatni raz przebaczą. Przebaczone — jednak pieczeń i jarzyna, która zaczęła mię już dochodzić, od tego czasu cofniętą została.

Od tego także czasu, nie słyszałem nic o losach współtowarzysza.

POGLĄDY Z OKNA. WIĘŹNIOWIE POMIĘSZANYCH ZMYŚLÓW. PODEJŚCIE KOMISYI ŚLEDCZEJ.

Jakkolwiek zmieniono moje naswizko na 72, jakkolwiek głęboki żal mię dręczył po

stracie kolegi, przecież w nowym numerze znalazłem pewną, chociaż smutną rozrywkę. Mieszkanie było na piętrze, okno wychodziło na dziedziniec; wdrapałem się na nie, aby zobaczyć, co się w cytadeli dzieje.

Więzień samotny przechadzał się powolnym, chwiejącym krokiem. Dwaj żandarmi go strzegli: jeden miał utkwiony wzrok w więźnia, drugi rzucał oczyma na okna więzienne. Warty przy bramie parkanu stały swoim porządkiem, nieruchome i milczące, jak posągi. Więzień był blady, jak mury go otaczające.

Po nim wyprowadzono drugiego, a następnie innych. Domyślałem się, że to byli ci, z którymi zakończono śledztwo, skoro pozwolono im wychodzić. Przechadzka każdego trwała zaledwie kilka minut, a dzień cały nie wystarczył dla wszystkich, bo nazajutrz nowe oblicza spostrzegalem.

Niekiedy ukazało się dwóch, a rzadko trzech razem. Nie zajmowali się rozmową wśród przechadzki, bo każdy miał droższe nad wszystkie inne zajęcie: wciąganie powietrza w siebie.

Stosunkowo do liczby cywilnych więźni,

zbyt wielką zauważyłem ze stanu duchownego. Z wojskowych zaś, jednego tylko junkra widziałem, w ułożeniu którego tyle było udatności, a w obliczu potęgi ducha, że nigdy jego rysów zapomnieć bym nie mógł.

Nie zapomnę także pewnego mężczyzny, w sile wieku, na którego czole jaśniał geniusz i nieszczęście.

Nie zapomnę i chłopaka, stangreta w karazyi. Z ruchów jego, przyzwyczajonego do życia czynnego, łatwo było wnosić, ile gnuśne życie więzienne było mu ciężkiem. Widziałem go raz wychodzącego, w czasie poczynającej się burzy; żandarmi chcieli skrócić przechadzkę, wtedy boleść na jego twarzy, którą wzniosł ku niebu, była uderzającą. Zdawał się chcieć zatrzymać jeszcze chwilę, posłuchać grzmotów i napawać deszczem.

Patrząc na tych ludzi, których wiek rókował najpiękniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywateli, wiedniących, jak przesadzone rośliny z pod słońca do ciemnicy, łza wilży powiekę.

Na drugim dziedzińcu, grono kobiet stoi u wrót, smutnie poglądając na mury, zdają się one oczekiwać kogoś. Są to żony, matki i sio-

stry męczenników. Czy nie zebrały się na pogrzeb jednego z nich? Na tę myśl, Józef z Arymatei, Nikodem i orszak pobożnych niewiast, przedstawił mi się w wyobraźni.

Ale Morok nadchodzi, napuszczony, zdaje się sprawować obrzędy cytadeli. Focht, jego pomocnik i posługacze, przyjmują od kobiet posyłki. Był to dzień posyłek.

Gdyby dziecko, nad którego kolebką zamysłona matka śpiewa, mogło zrozumieć jej uczucie, jak je rozumiał Rafael i wyraził na czole Madonny — gdyby mogło pojąć święty ogień, pałający w jej oczach, utkwionych w jego twarzyczkę, nie zniósłoby jego blasku — byłoby to nad jego wątłe siły. Gdyby więzień przejrzał mury i obaczył swą narzeczoną, z obliczem branki bolesciwiej, podstępującą z prośbą do Moroka, nie zniósłby tego widoku.

Moimi nowymi sąsiadami byli: z jednej strony ksiądz protestancki, zazwyczaj zatopiony w modlitwie; z drugiej, dość rozmowny sąsiad; a za nim pod Nr. 74 siedział krogulec.

Historia krogulea następująca:

Pewnej nocy, dano znać Morokowi, że więzień 74, coś drapie po ścianach. Morok

wpada i pyta stojącego na oknie, co to znaczy?

— Co znaczy? a czyż krogulcowi nie wolno drapać u siebie w klatce?

— Jakto krogulcowi?

— A cóż to, czy nie widzisz żem krogulec?

— Więc Nr. 74 umyślił w krogulca się bawić? — rzecze z drwinkami Morok.

— Czujesz moje skrzydła? — zawołał wtedy i skoczywszy na barki Moroka, zaczął go tłuc łokciami.

— I odtąd został krogulcem.

Nie go z tej manii, wywieść nie zdołało. Niekiedy jednak, rozmowy krogulca były rozsądne i warte posłuchania.

Opowiadał mi sąsiad zdarzenie, jednoczesne z naszym w cytadeli pobytem, które może przeszło w tradycję tamieczną. Jeżeli jakie miejsce rozdzielonej, a jednolitej Polski, mogłoby dostarczyć podań do wielkiej tragedji narodowej, to bez wątpienia cytadela. Tam naprzykład, spalenie się dobrowolne rodaka Lewitu, aby nie zdradzić pod mękami powierzonej mu tajemnicy, czyliż nie jest

rysem bohaterskiego samobójstwa, które za-
ćmiło czyn Scewoli?...

Oto opis tego wypadku:

Był na cytadeli sąd na mi a t e ż n i k ó w —

Więc siedli, jak czarci za stołem:

Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,

Ze sercem miedzianem i czolem.

I rzecze adjutant: „Batku jenerale,

Czart chyba się z Lachów co dowie.

Wziął pałki Lewitu, lecz milczy zuchwale.

„Sto palek! pod pałką odpowie.“

Straż stawia Lewita, skutego w kajdany,

I biorą na rozpyt go kaci.

Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany.

A sędzie wołają: „Zdradź braci!“

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej,

Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.

Lewitu wzrok jasny utopił w krzyż pański.

I modlił: „Daj siły o Paniel!“

I poszedł pod pałki wpół nagi, bez lęku —

Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały;

Choć bito go w rany, nie wydał jęku.

I milczał jak skamieniały.

A gdy go złożono na nędznej pościeli,

Rozwahał, czy ciało wytrzyma.

Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli

Sędziowie. I poczuł: „Sił nie ma!“

Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,

Bo stu ich zginęłoby może;

Toż westchnął do Boga o męki ostatnie,

I ognia nasypał pod łożo.

I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,

Gdy jasne płomienie wstawały;

Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku,
I milezał, jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia błysk ognia ujrzeli,
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;
Jenerał i draby wpadają do celi:
Lewitu już skołał w płomieniu.

Więc z grozą ten węgiel rzucili w rogoże,
I w ziemi kazali pochować —
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź Boże,
Bo żywym ją będziesz ratować!

Zdarzenie opowiadane przez sąsiada jest
następujące:

Było to w roku 1849. Przywieziono do
cytadeli 17-letniego chłopca — nazwiska jego
nie pomnę — który przy nacznej konfronta-
cyi, w sali posiedzeń, z innymi, zadziwiał
mocą charakteru, nad wiek swój. Mając świad-
ków przeciw sobie, a nie chcąc dać żadnego
objaśnienia w sprawie, został wzięty na tak
zwane punkciki. Skazanemu na nie,
zaśrubowują głowę, w nowego wynalazku
maszynę, do przyznania; dając niekiedy szcutki
w nos, póki krew z niego nie pociecze.

Podobnie niegdyś w pogańskim Rzymie,
kat nasyczał się ofiarą, zanim przystąpił do
zgruchotania jej kości.

Młodzian zniósł torturę, nie wyrzekłszy
ani słowa, ale wychodząc z pod niej, zanucił
oprawcom zwrotkę: Jeszcze Polska nie

zginęła! Przerażała ona potem przez kilka nocy swym grobowym tonem więźni, dopóki ofiara nie przeniosła się z nią do wieczności.

Z nowym kolegą mogąc tylko znosić się wieczorem, mało więcej dowiedzieć się mogłem i tego w niedługim czasie komisya odemnie oddzieliła, by zastawić na mnie sidła swoje.

Rzecz tak się miała:

Pewnego razu, słyszę zwykłe, jednorazowe stuknięcie w ścianę i odpowiadam tym samym znakiem — następnie, niewidoma ręka zaczyna rozmowę — lecz jak fałszywy pieniądz, który kasyer rzuca między rulonem innych, uderza odmiennym dźwiękiem wprawne jego ucho, tak mię uderzyło na ten raz pukanie. Nie była to już ręka mojego kolegi, nawykła do języka murów; ale zastępowała ją inna, nierównie wolniej i dobitniej pukająca: „Dwóch emisaryuszów dziś powieszono — wojna w świecie — górą nasza!“

Na tę nowinę, odpowiedziałem jednora-
zowem, a silniejszym stuknięciem, dając
poznania, że nie rozumiem; i pomyślałem, że
ponieważ przybyłem z zagranicy, wyraźna to
na mnie zasadzka. Po wyjeździe z cyta-
deli na wygnanie, odczytałem gazety z powyż-

szej epoki, zapytywałem Warszawian, nic nie potwierdzało, doniesionego wypadku o emisaryuszach. Ręki prawdziwego kolegi więcej nie słyszałem, fałszywa także znikła, a numer sąsiedni pozostał pusty. O! więzień z taką łatwością poznaje współ-towarzysza dłoń, z którym już obcował, jak się poznaje dźwięki muzyki, tępa broni, chód, lub głos przyjaciela.

Znowu ujrzawszy się samotnym, oderwałem kawałek obcasa od buta, wydobyłem ćwieczek i tym pisałem po ścianach, dla rozpędzenia nudów. Z początku mi zacierano, a potem pozostawiano. Wśród nocy bezsennych, rozrywałem się oswajaniem myszy, igrających i nie uciekających odemnie.

Ale wielkie było me zdziwienie, gdy raz żandarmi na przechadzkę mnie wyprowadzili — gdy w godzinę potem, historję Rosyi Karamzyna mi przyniesiono jako też fajkę, na długim pieprzowym cybuchu i paczkę tytoniu Żukowa. Coby znaczyło to nagłe udobruchanie się komisji? Zapaliłem fajkę mówiąc sobie: Trzeba się mieć na baczności.

KOMISYA BIERZE MIĘ W OBROTY.

Gdy po dniach kilkunastu zostałem przy-

wołany do komisji, malowała się na twarzach członków pewna życzliwość ku mnie. Przy jenerale Jolszynie stał próżny fotel, na którym kazał mi usiąść i oświadczył, że po odczytaniu mego protokołu, zdaje mu się, iż nie należę do liczby owych półgłówków, którym się roi, że 500,000 bagnetów zwalczyć kiedy potrafią. Ale że, ponieważ przedstawienia komisji o aresztowanych, względem wyjednania dla nich uwolnienia u władz wyższych, muszą być poparte dowodami, aby nie były odrzucone; danie więc tych, odemnie samego należy. Że jeśli tylko w zeznaniu mojem dowodów, okaże się szczerą prawda, to mogę być pewnym że powrócę do domu.

Pewność tę zaręczył słowem honoru.

Potem, zaczął oglądać leżący przed nim protokół, potrząsając głową nad niektórymi jego ustępami, z wyrazem współczucia.

Przez ten czas, cichuteńko było w sali — nikt się nie odzywał. Portret Mikołaja wisiał na ścianie: a wszystkich czy były spuszczone na zielone sukno stołu, na środku którego stał krucifiks. Zimne tylko oko Leichtego, było na mnie zwrócone.

— Musiałeś bardzo cierpieć młodzińcze,

rzecze nakoniec Jołszyn. W tym wieku i już tyłeś się tyrał po aresztach. Piszesz, iż na etapach walczyłeś między życiem a śmiercią. Pierwszy jesteś, który nam powracasz z etapów i który możesz opisać, co tam postrzegłeś i co ci się najwięcej uczuć dało. Zapewne krzywdzono cię nadużyciami, które cię skłoniły do ucieczki, nieprawdaż? Ale cesarz jest miłosierny. — Proszę nam opisać to wszystko; nie będzie to dla pana bez korzyści.

Otrzymaawszy kilkanaście arkuszy papieru, powróciłem do celi.

Wyznaje, iż byłem tyle rozbrojony łagodnością komisyi, że zapytywałem: czy podobna aby ludzie, chociaż zepsuci, byli do tego stopnia złymi, iżby, jak tygrysy rzucać się mieli na drugich bez przyczyny? Gdy ty mczasem gorące wytknięcie cierpień w mym opisie gdzie etapy były schwyczone, jak na dagerotypie, posłużyły tylko wrogom na moją niekorzyść.

Winienem tu nadmienić, że cytadela ma swoją oddzielną literaturę, swoich pseudofilozofów, sofistów, podobnie, jak Sybir i Kaukaz. Może kiedyś wyjątki z ich plodów, będą umieszczone na kartach historyi narodu

polskiego, jako dowód dla następnych pokoleń, przez jak ciężkie próby naród przejść musiał, zanim odzyskał samodzielność.

W tej tam warowni, rząd proteguje piśmiennictwo i talenta, chcąc mu służyć. Skazuje jednych na samotność i bezczynność, uważając ich za straconych, a nieprzewiduje że w tej surowej szkole milczenia, rzeczywiste zdolności same się rozwijają: drugim, dopomaga do czytania, do nauki: dla tego, jedni z nich piszą historię, inni odpowiadają na ważne kwestye w polityce, ekonomii, administracyi, i t. d.

Moje pióro widać na nic się nie zdało, bo mi już nie więcej pisać nie kazano — znowu dni mi upływały na rozpamiętywaniach.

Parę tygodni przeszło.

Wezwany do komisji, zostałem przyjęty z podobną, jak poprzednio względnością. Tym razem Leichte przemawiał. Oznajmił nawiasowo, iż powinienbym zrozumieć, że lepiej jest dziesięciu niewinnych wydać, aniżeli wpuścić jednego szkodliwego — że komisya przychylając się do opinii, na moją korzyść wyrzeczonej, przez JW. generała prezydującego posiedzeniu, chcia-

łaby poprzeć mię w obec rządu, lecz, że zbywa jej jeszcze na potrzebnych ku temu dowodach z mej strony. Po tych i tym podobnych oświadczeniach, podstąpił do szafy i wydobył *Almanach de l'Emigration polonaise*, kazał mi go czytać i mówić, czy znane mi są niektóre osoby w nim umieszczone, lub przynajmniej, czy o nich co słyszałem. Następnie wziął książkę i sam zapytywał, czy znam tych, lub owych. Mało kogo z nich znałem, o niektórych słyszałem i mówiłem mu o tem. Pytania Leichtego o rzeczach publicznych, uważałem za wyraźne mię próbowanie.

Z toku, zapytał mię, czyli nie znałem niejakiego Mroczkowskiego za granicą.

— Z tym rozmawiałem tamtędy kilka — rzekłem.

— A gdzie on się teraz obraca?

— Nie umiem panu powiedzieć — podobno w Niemczech.

— Zdaje się, że on należał do partyi demokratycznej?

— Tak jest.

Następnie Leichte spisał zeznania i podał do potwierdzenia. Podpisując je, myślałem:

pokiwajcie palcem w bucie tamtym, co są za granicą.

Ale zbieg okoliczności dał mi w krótkce poznać, że byłem w okropnym błędzie niedoświadczenia i że właśnie wtedy, gdy się uważałem bezpiecznym od zewnętrznych wpływów na sprawę moją, wpadłem znienacka w zastawioną matnię. Może sobie czytelnik wystawić moje przerażenie, gdy w kilka dni potem, przeglądając wedle zwyczaju miseczki przy obiedzie, na jednej z nich postrzegłem wykropkowaną, pierwszą połowę nazwiska Mroczkowskiego.

Powziąwszy przekonanie, że i on jest w fortecce, że go jakieś fatum rzuciło na drogę życia mego, byłem jak piorunem rażony. Zginęliśmy obadwa, mówiłem sobie. Teraz te hydry przedstawia moje zeznanie tamtemu — może zdołają poróżnić nas — wymogą jego zeznanie przeciwko mnie — rozgałęzią sprawę na lat kilka — i kto wie, czy obadwu nie oddadzą pod sąd wojenny.

Chciałem wleźć na okno, w nadziei ujrzania go na przechadzce, lecz jak na złość, popadł na deżurstwo żandarm niezmordowany w zaglądaniu do okienek. Brakło mi cierpliwo-

ści. Nie mając na kim się zemścić za podstęp komisyi, zemściłem się na żandarmie w sposób następujący:

Wydobywszy sztyft z obcasa, włożyłem go wieczorem w zapaloną świecę przy samym knocie. Sztyft rozgrzewając się, opadał i świeca szybko, topiąc się, spłonęła. Widziałem, że żandarm drugiej świecy znikąd nie dostanie, bo jest zamknięty wraz z wartą w korytarzu na noc, przez Moroka. Słuch zawiadomił mię także, że Morok zwykle o godzinie czwartej z rana czyni obchód korytarzy. Gdy więc świeca zgasła, pospieszyłem wyjąć sztyft z lichtarza i oczekiwać przybycia Moroka. Godzina czwarta wybiła a wkrótce potem pięści Moroka zaczęły się odbijać o policzki żandarma.

Na drugi dzień, strzegł on mię jeszcze gorzej, a ja pałałem jeszcze gorętszą żądzą obaczenia Mroczkowskiego, lecz niestety, na próżno. Na okno wleźć nie mogłem.

Następnej nocy, znowu taż sama historia z żandarmem o zgasłą świecę, lecz tym razem myślałem, że go Morok zabije. Zrobiono też u mnie natychmiast rewizyę, ale

sztyfta nie znaleziono; schowałem go pod język.

Nazajutrz, z żandarmem spojrzeliśmy sobie oko w oko. Moje zapytało go: „A co, czy będziesz mię szpiegował?“ a jego odpowiedziało: „Farmazon! czort z tobój!“ I odtąd byliśmy przyjaciele i niemal całe dwa dni z rzędu na oknie przepędziłem; lecz Mroczkowskiego w liczbie przechadzających się więźni nie postrzegłem.

W takim razie, ułożyłem plan naprędce aby jego i siebie ratować, oddając wet za wet komisyi, przy zdarzonej sposobności.

Sposobność też ta wprędce się nadarzyła. Wezwano mię i oświadczone, że Mroczkowski, którego podałem w zeznaniu za mego znajomego, znajduje się w cytadeli; że mi go nawet widzieć pozwolą natychmiast, lecz że powinienem, za ujrzeniem go, powitać wyrazami: „Jak się masz kolego?“

Bardzo dobrze, odpowiedziałem. Posłano po niego. Kilka minut upłynęło, usłyszałem zbliżające się kroki; opanowała mię trwoga, aby pierwszy, za wejściem, nie zechciał mię przywitać. Drzwi się otworzyły, spuściłem oczy. Nie słysząc przywitania, ośmielony, po-

dniosłem je i dostrzegłem, jak potoczył wzrokiem po sali, i mnie widział, nie patrząc wprost na mnie; miał w sobie coś imponującego. Zaledwie go poznałem.

Upłynęła chwila w milczeniu.

Leichte zniecierpliwiony, „No!“ mruknął, zwracając się ku mnie. Wtedy spojrzeliśmy się na siebie z Mroczkowskim, nie powiedziawszy ani słowa. Twarz jego zdała mi się być zwierciadłem myśli moich — ale widać i Leichte, Salomon cytadelski, zajrzał w te zwierciadło, bo zrywając się ze wściekłością z krzesła:

— Łotry! oczyma gadają — jeden od drugiego lepszy — za drzwi! — wrzasnął na całe gardło.

Jak oparzony, poskoczyłem ku drzwiom.

— Gdzie idziesz? gdzie? ani się rusz ztąd, Mroczkowski za drzwi — a ty stój tutaj! — wołał, ukazując palcem na podłogę przed sobą.

Gdy sam zostałem, zapytał:

— Dla czegoś go nie powitał?

— Kogo pułkownika?

— Czy nie wiesz kogo!? Mroczkowskiego, któregoś widział przed sobą.

— Dla tego, że go nie znam. Ten jest o głowę wyższy od tamtego, którego znałem.

Śmiech szyderczy, pogardliwy, piekielny, rozległ się po sali. Jołszyn zadzwonił, Morok się zjawił; Jołszyn skinął, Morok wyszedł. Za chwilę mię wyprowadzono; nie zastałem już w celi, ani Karamzyna, ani fajki, ani żadnej rzeczy, która pochodziła ze szczodrośliwości komisji — na przechadzkę nie wypuszczono — w nocy, ktoś na strychu drzewo mi rąbał nad głową. Nazajutrz szczekotałem zębami, bo była zima, a w piecu nie napalono. Dnia trzeciego było zbyt gorąco i swąd nadzwyczajny; zupa także niesłychanie słona — pragnienie mię paliło, a żandarm więcej nad butelkę wody, przyniesionej zrana, dostarczyć jej nie chciał.

Przypominam sobie, że tego dnia feralnego wezwał mię także pomocnik Moroka, wpisał mój rysopis do sznurowej księgi i że znajdował się podówczas w sali jeden z członków, pakujący do teki mnóstwo protokółów więźni, z przypiskami różnokolorowemi, wybierając się na sesję do gubernatora Warszawy.

JAK LECZAĆ W CYTADELI CHOROBY MORALNE?

„Bez utieszenij ja pogibał:
Moj złoibnyj genij torżestwowal.”
Poleżajew — „Wieżień.”

Nie będę się rozwodził nad procedurą komisji — by nie powiedziano, że chcę piekło czernić. Nie mogąc się skąpać w rzece z a p o m n i e n i a starożytnych, kreślę te kilka rysów. Nie ograniczam się częstokroć na prostem opowiadaniu faktów, bo każda historia najczęściej zajmuje, gdy w niej przeważa osobistość historyka.

Ktoż nie przyzna, zapatrzywszy się na wzory doskonałe, że Tytus Liwiusz, Kwintyn Kurcyusz, jako opowiadacze, pod względem stylu, są wyżsi od Tacyta? Dla czegoż więc ostatni, tak wielki wywiera wpływ na nas? Oto że w dziełach jego przebija się jego ja, jego dusza, jego sąd; że zstępuje on do źródła złego, a wzruszywszy czytelnika wyłożeniem treściwem okrucieństw cesarskich, niesie mu słowo pociechy i często kończy ustęp wykrzyknikiem boleści i oburzenia. „Jeśli nie ma bogów opiekuńczych, są bogowie zemsty!” woła ten uczciwy poganin, rozdrażnio-

ny widokiem zbrodni, zasiadłej na tronie, a wzywający kary na występnych.

Wszystko pochodzi z góry. Ten, kogo biją, bić także będzie, gdy mu się sposobność nadarzy; drażniony, zemstą zwykle pała — bo to są naturalne następstwa. Niewola nie krzewi miłości. Wróg i zawiść chodzą z sobą w parze. To smutno, ale tak jest! Słowa znakomitego Rosyaninia, Hercena: „w naszej miłości mieści się nienawiść“ łatwo jest zrozumieć.

W cytadeli dostrzegłem na małą skalę to, co później w Rosyi w wielkich rozmiarach przedstawiało się oczom moim. Leichte gniece Moroka, Morok wali żandarma, żandarm szyldwacha. Biedny szyldwach odwołuje się do artykułów wojennych mu czytanych mówiąc, że on na warcie przedstawia osobę samego cara — żandarm mu odpowiada, że artykuły są napisane dla Europy, a nie dla niego — i łupi go jeszcze bardziej. Tam, dyżurny oficer nie śmie zajrzeć do okienka więźnia, choć to niby jest jego obowiązkiem — zmuszony trwogą dowierzać wyuczonej smyczy: żandarmeryi. Z kaskiem w ręku, podstępnie pa palcach do wart swoich, mówi

półgłosem, a spuszcza oczy przy spotkaniu się z konwojem prowadzącym więźnia.

W cytadeli wszyscy się wzajem szpiegują. Żandarm inwalidę posługacza, inwalida żandarma; prezes komisyi: plac-majora, komendanta twierdzy, audytorów sądu wojennego; doktor felczera, felcher doktora; i ci co się podglądają, najczęściej chodzą z sobą w parze.

Im więcej mi dopiekała komisya, im więcej mię podciągała pod kary: nie przepisane żadnym kodeksem na świecie, ale wyszłe, jak promienie, z mądrej Leichtego głowy — kary, niby nierozmysłne, przypadkowo dotykające, za które trudnoby się prawnie upominać — tem więcej tryumfowałem! I mamże wyznać, że głównie dla tego, iż zdołałem przywieść do złości mych inkwizytorów. Ale, jak płomień dogorywającej lampy buchnie ostatecznie razy kilka i gaśnie, podobnie było z mojem uczuciem zemsty.

Następujące okoliczności wprowadziły mię w stan osłupienia:

Pewnego razu wyprowadzono mię na przechadzkę — aby wygodniej zrobić rewizyę w stancyi. Spotkałem na dziedzińcu komendanta i byłego dyrektora gimnazyum lubelskiego, a

później członka komisji śledczej Sijanowa. Byłem wtedy w tak dziwnem usposobieniu, że patrzyłem na wszystko co mię otaczało, ale nie nie zwracało pilniejszej uwagi. Minąłem więc tych panów, nie skłoniwszy się żadnemu. Komendant, generał hr. Simoniez, chodzący na kuli, który w niczem nie dokuczał więźniom, zdawał się tego nie uważać — ale ex-dyrektor, wyprowadziwszy go za wrota, powrócił i zaczął mię łżyć słowami, odgrażając podziemnym lochem. „Czy mnie nie znasz?“ — Spojrzałem mu w oczy i poszedłem dalej. Na jego oskarżenie, łóżko mi na całą noc wyniesiono.

Nazajutrz, jeszcze mię kości bolały od leżenia na wilgotnej podłodze, gdy Morok wszedł z zapytaniem: „Jak się mają?“ „Jak pies na łańcuchu!“ rzekłem. Tego dnia odebrano mi szachy z chleba zrobione.

Przewidując, że sprawa miała się ku końcowi, gdy spojrzałem na wytarte suknie, przyszło mi na myśl, że Moskale cieszyć się będą skoro mię zobaczą wychodzącego obdartym. Chcąc zachować paletę, tarzające się na łóżku od zupełnego zniszczenia, odprułem kawałek brytu od prześcieradła, skręciłem go w

sznurek, z zamiarem przywiązania nim paleta do kraty, umieszczonej w małej framudze nad drzwiami. Działo się to w nocy. Zaledwie zacząłem robotę, usłyszałem idących świecących objaśniać. Zdażyłem tylko ze stołu zeskoczyć i odstawić go, gdy weteran wszedł i zaczął głową o obwisły sznurek. Zrobiono alarm, sądząc że chciałem się powiesić, dano znać Morokowi, ten wpadł zaspany, czyniąc jakieś, niezwykle łagodnym tonem perswazyje, które dziwną stanowiły sprzeczność z jego tonem zwyczajnym — a odchodząc, kazał okienko w drzwiach odsłonić i wartę przy niem w korytarzu postawić.

Odtąd, wąsata twarz żołdacka z wytrzeszczonemi oczyma, oprawna w ramki okienka, dzień i noc bez przerwy zwróconą ku mnie była, za każdym moim ruchem, jak na sprężynie się obracając. Gdy podstąpiłem do ściany w sposób, że widzieć mię nie mógł, przyzywał konwoj: drzwi otwierano i zaglądano, chociażby to co chwila powtarzać się miało.

Wezwano mię nazajutrz do komisji. Sznurek już leżał przed prezesem. Na zadawane pytania niewyraźnemi mono-syllabami, odpowiadałem, z których mało co, lub nic dowiedzieć

się nie mogli. Byłem już wówczas w stanie melancholicznego nastroju jakiejś choroby, nieznanego nazwiska, która mię obojętnym na wszystko czyniła. Od tej pory raz tylko, pamiętam, jeszcze się uniosłem i schwyciwszy inwalidę za kołnierz za to, że zostawił knot swędzący na podłodze, za drzwi go wypchnąłem. Komisyja wartę z korytarza przeprowadziła mi do celi.

Nieraz ocknąwszy się, miałem szczerą ochotę pogawędzić z żołdatem, myśląc, że ludzie, gdyby się znali lepiej, gdyby porozumieli się wzajem, możeby się też i między niemi i zaufanie znalazło, ale wszystkie me usiłowania w tej mierze były bezskuteczne. Uderzyło mię atoli, szczególniejszego rodzaju wpatrywanie się we mnie niektórych. Długo nie wiedziałem jego znaczenia. Gdy jednak dośłyszałem, jak raz szyldwach zdawał następnemu słowo: *sumaszedszyj* — waryat — zrozumiałem bezecny wybieg komisyi jako dodatek do srogich przykazań milczenia, dawanych żołnierzom.

Dzięki Bogu zmysły moje ocalały, ale choroba sercowa wzrastała. Pragnąłem, aby zmieniła się w śmiertelną. Niekiedy rzewną

improwizacyę duszy wyrażałem świstaniem. Orfeusz szukał w lutni ulgi dla siebie — Szopen na fortepianie — Bajron na papierze — ja — w niebardzo estetycznem świstaniu.

Powzięto zamiar uleczenia mię, bo od-tąd szyldwach co kilka minut podchodził do mnie z pięścią i wykrzyknikiem: „Nie d u m a j!”

Sam Jołszyn raczył przyjść raz pod moje okienko, zajrzał, zastukał, a gdy nie powstawałem z łóżka, ukazał, pochyliwszy się, swój złoty epolet. Napróżno. Ja go i bez epoletu poznałem, pomimo tego leżąc, świstałem sobie. Jołszyn i wszystko, co się koło mnie snuło, zdawało mi się być jakąś marą, nie mającą żadnego związku ze mną, i soldackie: nie d u m a j! żadnego na mnie wrażenia nie robiło.

Stan ten trwał parę tygodni. Przysłano mi książki, fajkę na długim pieprzowym cybuchu z piórkiem, prowadzono na przechadz-kę i przyszedłem nieco do siebie. Gdy się miałem lepiej, wezwano znowu do komisyi. Po raz pierwszy ujrzałem ją w komplecie. Był tam i sędzia inkwirent w czarnym fraku,

ze swoim protokółistą; był i pułkownik delegowany przez namiestnika, jako asystent ze strony obwinionego. Rzuciwszy okiem na te urzędowe twarze, przeczułem, że ostatni raz stoję przed niemi i przytomność umysłu wróciła.

POŻEGNANIE I KAZANIE.

Po spisaniu zwykłym trybem rodowodu, oświadczone, że protokół moją ręką poprzednio skreślony, na nic się zdał — że ponieważ sam nie jestem w stanie pisać językiem urzędowym, protokółista mię zastąpi, a sędzia moje odpowiedzi dyktować mu będzie. Oznajmiono przytem, że co do oddania mię do wojska, rzecz ta już była roztrzygniętą, że ponawianie jej do nich nie należy i że śledztwo ograniczy się na mojej ucieczce z wojska.

Odpowiedziałem, że ponieważ obrona moja i co do ucieczki znajduje się w zeznaniu; że opisany tam jest gwałt, wskazane źródło, które było jej przyczyną, dosyć więc jest oddzielić tę obronę od całego protokołu, bo nic więcej do tego, co raz napisałem, do-

dać, ani też ująć nie mam. Prawda jest tylko jedna, rzekłem.

— Ale tam są nabazgrane fałsze, przerwał Leichte.

— Ażeby je zarzucać, potrzeba ich do wieść.

Po tej przemówce, wzięto mię na py-tania.

Wszystkie niemal odpowiedzi obracałem jak na osi, na pierwszych zeznaniach, i nie w nich więcej nie wyraziłem nad to, co już czytelnikowi wiadomo. Różnica była tylko w słowach, wyrażeniach, rozwlekłości i mnóstwie drobnych kwestyi, nie mających wprost związku ze sprawą, a wtrąconych umyślnie przez komisję, aby nagromadzić jak najwięcej odpowiedzi przeczących: nie wiem, nie pamiętam i t. d., a utrudzających zrozumienie rzeczy i wzbudzających podejrzenie.

Postrzegłszy się na tym fortelu, odwo-
łuję się do sumienia pańskiego,
rzekłem do sędziego w białym halsztuku.
„Nie masz mię pan potrzeby o to upominać
— jestem przysięgły“, odrzekł, i już mniej
kładał podobnych pytań, jak n. p.: o ulicę,
przy której mieszkałem za granicą, o datę

jakąś, o ilość mianych wtedy pieniędzy, i t. d., i t. d., postrzegłszy się znowu z swej strony, że już na nie zamiast przecząco, na chybi trafi odpowiadałem, w chęci nadania protokołowi cechy dokładności i prawdy.

Wspomniałem, że wyraziłem w nim to co w pierwszym, lecz o ile tamten własnego pióra był treściwym i jasno rzecz malującym, o tyle ten rozwlekłym, ciemnym i wymagającym cierpliwości do wyszukania w nim istoty rzeczy. Język urzędowy umiał drobnostki wyprowadzić na widok i wystawić w złem świetle, a główne punkta i energiczne wyrażenia właściwej obrony, już to opuszczać, już na usilne domagania się moje, wpisać, lecz to sposobem dziwnej retoryki, której sekret zna tylko cytadela — retoryki mogącej uspić sędziów, zamiast zwrócić ich uwagę. Winienem tu przypomnieć, że protokół miał być jeszcze tłómaczony na język rosyjski, a przekładu już zeznajacemu nie pokazują.

Bezczelność komisji dochodzi częstokroć do tego stopnia, że targuje się ona z więźniem, mówiąc: „pozwolimy ci umieścić na twoją obronę to lub owo, lecz pod warunkiem, że my w tem, a w tem miejscu, dodamy to a

to“ — jeżeli widzą, że to co dodadzą będzie szkodliwszem, aniżeli to, co pozwolą umieścić, obraniającem. Jakżeby potrzeba być samemu biegłym śledcą, ażeby się w tej grze z nimi nie oszukać.

Sędzia wraz z Leichtem wynosili się za drzwi w celu uradzenia pytania, aby mię pokrzyżować w zeznaniach. To im się jednak nie udało dzięki mej dobrej pamięci.

Potrzeba było zachować zimną krew przy tej nieszczęsnej obronie, by mimowolnie nie wypowiedzieć tego, na co sidła naprzód były zastawione. Do tego chłodu wiele, wiele mi pomogło osłabienie ciała i owe niezważanie na nich. Wszyscy razem krzyczą, każdy o co innego pyta, ażeby cię zmieszać, nie dać się zastanowić, lub zbić z drogi, na jaką w obro- nie popadłeś. Najlepiej wtedy czekać, dopóki jeden nie zacznie gadać.

Gdy dałem do zrozumienia tym ich- mościom, że nie jestem na giełdzie, ale w obec ludzi, którym powierzono wymiar spra- wiedliwości:

— Będzie ci wymierzona z pod sądu wo- jennego, jako dezterterowi — ozwał się Leichte.

— Pod tym względem jestem zupełnie

spokojny, zawołałem. Nastąpiłoby to chyba gdyby J. O. ks. namiestnik zgodził się, aby a jednej ze mą ławie sądzono generała Abramowicza.

— Bredzi, jak gdyby w parlamencie. — Czy bywałeś na zgromadzeniach ludowych? zapytał z szyderstwem.

Dopytywano się usilnie, co znaczy podkowa wisząca u mej łaski, i nie chciano wierzyć, że to był wymysł rękodzielnika.

Gdy, pod względem Mroczkowskiego, zacząłem się tłumaczyć tak szczęśliwie, że odpowiedź mogła mi posłużyć za punkt wyjścia do zupełnego usprawiedliwienia się w kwestyi, Leichte powstał i powiedziawszy sędziemu, aby zrobił nawias w protokóle, podyktował mu wyrazy:

— Komisya mając sumienne przekonanie, że obwiniony chce odpowiedzią niniejszą w błąd wprowadzić władze, zebrania mu jej dokończenia.

Zwróciłem się do pułkownika, mego asystenta. Ten muskając sobie wąsy, wybrzdąknął słów parę, niby wstawiając się za mną, które jednak tyle mi pomogły, ile umarłemu kadzidło; a dały tylko Leichtemu sposobność

do popisania się z perorą nad procedurą śledczą i sądową. Mówił, że adwokaci i zbrodniarzy uwolnić potrafią wybiegami prawnemi — z czarnego białe; ale że oni, członkowie komisy wojennej, wojskowi, ludzie zasłużeni i dobrej woli, gotowi do przelania krwi dla dobra kraju, noszą broń dla przecinania nią wszelkich nici do złego prowadzących — i ukazał na swój pałasz.

Lecz nie tyle Leichte, z całym swoim cynizmem, gniewał mię, ile major Szwajkowski, który w przeciwnej mu występował roli. Gdy odmawiałem podpisu, udawał mego przyjaciela, patrona, uśmierzającego niby swym wpływem uniesienia komisji i jednającego mię z nią. Wyrażna to była komedia.

„Ale zwróćcież szanowni współkoledzy uwagę na młodość, niedoświadczenie, dobre wychowanie człowieka, z którego kuzynem służyłem w wojsku,” i t. d. Słowa tego faryzeusza były nieznośniejsze, aniżeli wszystkich krzykaczy saduceuszów.

Podpisałem protokół, by się wyrwać co-prędzej z jamy piekielnej.

Przy odejściu, nikt mię nie pożegnał, wyjąwszy Leichtego. Podstąpił do mnie, i

głaskał z miną kota, po raz ostatni igrającego ze swoją zdobyczą, moje w sznurki polepione włosy.

„Tobie się może zdaje, rzeczy nakoniec, żeś wielki człowiek — a tyś dureń; ale mógłbyś mieć syna, lub wnuka, jeszcze większego durnia, któryby nawet był szkodliwym krajowi, to lepiej, że sobie pojedziesz. Szczęśliwej podróży!”

I pojechałem!...

A teraz przychodzi mi na myśl, jakże biednymi są chełpiące się płazy, o których Brodziński wyrzekł:

„Zamknęli się w twierdzach najeżonych działami, a oto drżą na widok chmur, które się nad ich głowami gromadzą; niosą światło w rękę, a zaćmieni niem, dnia jasnego nie widzą. Gdzie jest prawda i potęga nie wiedzą, bo zmylili z drogi miłości.

„A oto sprzymierzeńcy umęczyli cię teraz w imię religii i prawości, żeś się zastawiał za prawo twoje najświętsze, i burzycielem zwą naród, że wolną, przygotowaną mu śmiercią nie chce w cichości umierać.

„Nad tem ci wrogowie nasi pracują, aby nas niedobitych w obcy naród przemienić. Oni

najwięcej przeszłość naszą usiłują zatracić i wyniszczyć nasze pokolenie; tak jak niegdyś, gdy Sławianom niewolę na krzyżu przynoszono, głoszono, iż wolni ich niegdyś ojcowie, wszyscy w piekle goreją, ale oni rzekli: więc nie chcemy zbawienia, jeżeli ojców naszych widzieć nie będziemy, i wolimy goreć z nimi w otchłani. Tak dla ojców chrztu odstępując, raczej mordować się dali.“

O! natura ludzka ma swoje prawa, których zniweczyć wszyscy Leichtowie, wszystkie cytadele nie potrafią. Napróżna walka szatana z Bogiem. Niechaj piekło całe uzbroi się przeciwko armii z Niebian złożonej, siła szatańska, materyalna, ustąpić musi przed potęgą siły duchowej!

Choćbyście nie tylko tysiące, ale miliony z ognisk domowych przesiedlili, to wolnego od wieków narodu nie zabijecie. Napróżne groble przeciw postępowi tego narodu, który party brzemieniem świetnej przeszłości, musi posuwać się naprzód.

Im twardsza grobla, tem silniejsze wód uderzenie.

Wasze wschodnie uragany rozproszyć i w niwecz obrócić mogą dziewięć ziarn siejby,

ale dziesiąte, cięższe od innych, padnie na uprawną niwę naszą i dwadzieścia zrodzi.

Zdaje się wam, że budujecie niewzruszone bastiony na wieki, a nie rozumiecie, że w dzisiejszej epoce przejścia, szalały by wam tylko dla siebie stawiać wypadło. Nie zdążyście położyć kamień na kamieniu, gdy już fale daleko je od was uniosą i zostaniecie bez schronienia. Czyż nie czytacie historyi.

Wtedy, gdy Mojżesz, sam jeden mądry, prowadził tłumy ciemnego ludu, cuda się zjawiały — a wy, w XIX stuleciu ery chrześcijańskiej, gdy już wiedza jest rozsianą, w masach śmiecie głosić jeszcze wolę cara przy pałaszu, za nieomylną? niby papieża z Bożkiego ramienia! Czemuż już lepiej nie nazwać się synami słońca?

„P o k o r i t i e ś j a z y c y , i b o s n a m i B o h !“ — Upokorcie się narody *), bo z nami Bóg — słowa mikołajewskie w manifestie i na medalach, z czasu wojny węgierskiej. „Ruś święta“ jak swój kraj nazywacie; „wielki ruski Bóg,“ czyż to nie są bluźnierstwa

*) Jazycy, wyraz stary słowiański, znaczy narody, cudzoziemcy — najwłaściwsze jego znaczenie: pogaństwo.

wasze?! Wasz Bóg wielki, a węgierski ma-
ły!...

Nabożeństwo wasze w dzwonach i pokło-
nach, znaczenie w odzieży, a przemysł w kra-
dzieży. Chinczycy, których staracie się demo-
ralizować, są wyższymi od was.

O! na tej drodze cerkiewno-azyatyckiej
niedaleko zajedziecie. To wam powiada, wasz
były żołdat, który wam się przyjrzał i nie
mógł się nie przyjrzeć, boście nie uważali na
niego.

Drżycie na widok tego ludu, pośród któ-
rego żyjecie, a który nazywacie czernią nie-
proświeszczenią. Lud cierpliwy do
czasu. Zdaje się wam, że stąpając po rozpalo-
nym cyferblacie, niezdolny jest dojrzeć maszy-
ny pod spodu; że stąpa, jak koń na deptaku.
Zgubne wyobrażenia!

Poruszenia cząstkowe, mianowicie w Pe-
tersburgu i Moskwie, któreście jeszcze potra-
fili uśmierzać powrozami i krwi rozlewem,
niech tylko przyjmą rozmiar ogólniejszego wy-
buchu, w tedy nie ma, nie ma dla was prze-
baczenia i ratunku i czeka was śmierć sro-
motna!

Lada chwila wystąpi olbrzym — imię je-

go będzie Puchaczew II. — przydomek: p a ń
ż y c i a i ś m i e r c i. Nie wystąpi, jako car,
jako samozwaniec, ani panslawista, lecz jako
powstaniec-niewolnik, który zerwał sobie kaga-
niec i idzie w imię zemsty, w krwi utopić
krzywdy. Na odgłos jego drgnie żyłka ludowa
— rozhula się hajdamacka drużyna po stepie
— mordy robespierskie zbledną — car oczy
zamruży — zaświeci łuna pożogów — k o ł o -
k o ł londyński zadzwoni!

„Widok jaki stan Rosyi przedstawia obe-
cnie, napisał książę Dołgoruków, smutny jest
i bolesny dla każdego człowieka z sercem, a
tem więcej dla Rosyanina. Kraj obfitujący w
bogactwa przyrody, dotąd jeszcze w większej
części nie tknięte, naród obdarzony zdrowym
rozsądkiem, licznymi zdolnościami, szlachetnym
charakterem, dobrocią duszy: naród ten i kraj
ten, pomimo darów tak obfitych, w jakże o-
plakany i poniżającym znajduje się stanie!

„Cóż widzimy w Rosyi?

„Sądownictwo bez prawa. Z paczką bile-
tów bankowych w ręku, trzeba przejść przez
dziesięć instancyj, aby w jedenastej spotkać
się z carskim ukazem, który podług upodoba-
nia rozporządza majątkami i osobami swoich

niewolników, swoich tak zwanych, przez ironię, p o d d a n y c h.

„Administracyi rządowej, rozsądnej, nie masz wcale; administruje fantazya i łupieżtwo. Horda urzędników i tajua policya rządzi się samowolnie i wszechwładnie na obszarze, zajmującym dziewiątą część kuli ziemskiej; obdziera i uciska bezkarnie prosty i zacny lud rosyjski.

„Szlachta w stanie niewolniczym. Szlachcie nie jest czem innem, tylko chłopem uprzywilejowanym; jego majątek, wolność osobista, zasługa, zależą od carskiego widzimisie, od grabieży urzędników i od arbitralności tajnej policyi.

„Klasa kupiecka bardziej jeszcze od szlachty przyciśniona, skrępowana przepisami niegodnymi z duchem wieku. Mieszczanie wystawieni na największe krzywdy i upokorzenia. Włościanie, którym przyobiecano polepszenie bytu i którzy mają niezaprzeczone prawo nie tylko do lepszego bytu, ale i do wolności, oczekują dotąd na ziszczenie przez cara danego im słowa, a tymczasem projekta komisji przygotowawczej wyraźnie już skłaniają się ku robocie obowiązującej, ku pół-niewoli, która jest

mniej podobną, w tej zwłaszcza epoce krytycznej, przez jaką Rosya przechodzi.

„Duchowieństwo kierowane według kaprysu dygnitarzy cerkwi, którymi z kolei rządzi i kaprys ministra. Wolność wyznań religijnych nie istnieje; brak jej obfitym jest źródłem dochodów dla tajnej policyi i bandy urzędników, u których sekciarze okupują pieniędzmi swoją spokojność.

„Wojsko, nasi waleczni żołnierze, nędznie utrzymywane, bez ustanku okradane i na domiar nędzy, cielesnemi karami znieważane. Monopol wódki psując i znikczemniając lud jest zarazem jakby zwierciadłem systematycznie uorganizowanej grabieży rządowej, prawie niesłychanej w kronikach narodów.

„Finanse w rozprzęgnienu, kredyt państwa w zupełnym upadku, w budżecie ciągły deficyt; a pomimo to pieniądze skarbowe, krwawy grosz rosyjskiego ludu, rozpraszają się w podarunkach dla faworytów niegodnych, niezdolnych i powszechnie wzgardzonych.

„Cenzura ostatecznie przytłumia wszelką myśli swobodę. Pozostaje forma rządu despotyczna, azyatycka, pod którą jęczy Rosya.

„Jakże wydobyć się, dodaje znamienity

autor, z tak okropnego, z tak haniebnego położenia?

„Jadra złego nie trzeba szukać w narodzie, ale w formie rządu. Zmiana zupełna niezbędną jest w Rosyi. Dwie drogi rozchodzą się przed nami: droga spokojna i świetna, to jest zmiana systemu rządowego z góry przez samego cara dokonana; druga burzliwa, pełna niebezpieczeństwa — droga rewolucyi!“...

JAKI KONIEC LEICHTEGO.

Gdy kto mieczem wojuje, to od miecza ginie; Leichte wojując więzieniem, w niem też i koniec swój znalazł.

Doszła mnie o nim za granicą pogłoska następująca:

Aleksander II. uwolniwszy, po wstąpieniu na tron, niektórych wygnańców z Syberyi, w ich liczbie pomieścił pewnego żyda, nazwiskiem Rosengold, niewiadomo za co zesłanego, bo w confirmacyi jego nie powiedziane nie było nad to, że go się naznacza na przesiedlenie w skutek najwyższego rozkazu. Confirmacya tego rodzaju nie była nowiną, z tem wszyst-

kiem, żyd później ułaskawiony, szczęśliwie powrócił do Warszawy. Ale za powrotem podał skargę na imię carskie, udowodniając swoją niewinność i strat jakie wskutek wygnania poniósł, jakoteż wszystkich nadużyć, niegodziwości Leichtego, Grasa, Jołszyna, Bogatki, Dobronokiego, sędziego Bruszewskiego i przekupstw, którym ci podlegali, a które tolerowane być miały przez nieboszczyka namiestnika.

Podanie było tak pełne uderzających faktów, że car rozkazał naprowadzić, jak najściślej śledztwo, pod którem żyd się utrzymał. Całą winą jego miało być, że służył za ślepe narzędzie do niecných czynów Leichtego, a wcieliwszy się mimowolnie w tajemnicę, gdy już okazał się niepotrzebnym, został posadzony w kibitkę.

Śledztwo ciągnęło się długo i jak się zdawało, zawikłano by go na czas nieograniczony, przez intrygi towarzyszków Leichtego, gdyby ten nie miał był, na kilka miesięcy wprzód, procesu kryminalnego w sprawie następującej:

Udarowany dobrami skonfiskowanemi, przejeżdżał tam na polowanie — ale tak był nie-

cierpiany przez sąsiadów, że skoro gończy pies jego zabląkał się za granicę nadanych posiadłości, inni myśliwi strzelali do niego. Leichte, jednego ze strzelców pochwycić i tak przy sobie skatować kazał, że na pół umarły, odwieziony do szpitala, wkrótce życie zakończył. Nic sobie z tego nie robiąc, odzywał się że przeciw rosyjskiemu pułkownikowi, wrogi jego nic nie wskórają.

Dwie te sprawy, jednocześnie przedstawiono nowemu monarsze, o którego wolnomysłności głoszone i pułkownik do cytadeli odsłany został.

Opowiadający mi o tem zdarzeniu, nadmienił, że było ono jednym z powodów, do zniesienia z urzędu głównego dyrektora komisji sprawiedliwości, hr. Skarbka, jako podejrzanego przez Muchanowa o tolerowanie żądania prokuratora, aby winowajca, wedle prawa krajowego na drodze kryminalnej odpowiadał.

Jeżeli rzeczywiście Salomona cytadelskiego posadzono w cytadeli, nic mu tam złego nie zrobią.*)

*) Zastrzelony przez powstańca w r 1864 w nadanym mu przez cara majątku, gdzie gospodarował.

KONFIRMACYA. BĄDŹ ZDROWA WARSZAWO!

Żandarm przybył z golibrodą. Włosy mi ostrzyżono, paznokcie obcięto — które zapuściłem był, aby służyły w miejsce grzebienia — odebrano skarbowe obuwie, a moje, podarte w cytadeli zwrócono; zaprowadzono do Moroka, który mi rzeczy oddał, pieniądze zaś żandarmowi do dalszej przesyłki wręczył, i podpisać kazał, że nie mam żadnego do komisji zażalenia.

Wyszedłem na dziedziniec, ostatni raz obejrzałem się na okna zabielone — żandarmi szanowali chwilowe me rozmyślanie — księżyc oświecał massy kamienne.

Dorożka czekała przed parkanem, wsiedliśmy i potoczyła się, mijając fosy i wały. Też same ulice Warszawy, te domy, ci ludzie uwijający się po chodnikach, wszystko tak jak było; ale tego wieczora zdawało się piękniejsze, odzwyczajonemu od podobnego widoku. Patrząc na owe miejsca, świadki mego dzieciństwa, gdzie niegdyś byłem szczęśliwy, zapomniałem, że mię uwożą — rozczarowanie nastąpiło, gdy dorożka zatrzymała się na Sa-

skim placu, przed biurem komendanta Warszawy, generała Tuczka, z którym już zapoznałem czytelnika w pierwszym rozdziale tej książki.

Mieliżby i na ten raz, przez jakieś lekceważenie, nie przedstawić mi wyroku? chcieliżby dać znowu powód do obrony, w razie nowej ucieczki? —

Przybył kapitan od inwalidów i odczytał przedstawienie komisji, treści następującej:

„W odpowiedzi na reskrypt J. O. Ks. Namiestnika, i t. d. — okazało się:

1. Że obwiniony już raz był oddany za karę do wojska w roku 1846 za — tutaj wyrażono, słowo w słowo, to, co szpieg Brzeżański doniósł policmajstrowi, a nie powiedziano przez kogo mianowicie byłem oddany do wojska.

2. Że z drogi na Kaukaz, dokąd był przeznaczony, z pod straży dezertował.

3. Że skarbową rekrucką odzież mu daną utracił.

4. Że czas dezercyi przepędził na tularctwie za granicą.

5. Że w roku zeszłym, 1848, przybył z Księstwa Poznańskiego na granicę Królestwa

Polskiego, bez żadnego poprzednio zawiadomienia ambasadora o swoim zamiarze powrotu, i oznajmił, że powraca dobrowolnie, w chęci uniknienia wszczynającego się rokoszu, zdając się niby na łaskę Najjaśniejszego Pana. Komisya jednak, po uczynionem śledztwie, powzięła sumienne przekonanie, że powrót jego nie był dobrowolny, ale zmuszony okolicznościami — że wstąpił w granicę Królestwa, nie mając się gdzieindziej schronić przed grożącym mu niebezpieczeństwem, podpadnięcia losowi jaki spotkał wielu m i a t i e ż n i k ó w.

6. Że był w stosunkach z emigrantem Mroczkowskim, i sam to zeznał. Przy naocznej jednak konfrontacyi, zeznanie swoje powołał — ojcowskie napomnienia i przestrogi komisyi, nietylko skłonić go nie zdołały do stanowczego wyznania prawdy, ale przeciwnie, starał się jeszcze w błąd wprowadzić komisyę.

Zważywszy powyższe szczegóły, komisya uważa go za źle myślącego — z ł o u m y s z l e n n i k a — co stwierdził całem zachowaniem się podczas śledztwa“.

Na sprawozdaniu, potwierdzonem przez

bie zostawiając — nakoniec i ta ustąpiła światłu księżycy.

Ujrzałem się na szosie wiodącej do Brześcia, którą już przebywałem z czytelnikiem i zacząłem gawędę z żandarmem to o tem, to o owem. Nic nie wiedziałem, że w 1848 cholera grasowała w Warszawie.

Zaledwie kilka wiorst ujechałem, byłem opanowany przez gorączkę, której każdy więzień podlega, gdy nagle na wiatr jest wystawiony; słabość ta atoli, podobnie jak choroba morska, jest przemijającą.

Na pierwszej stacyi pocztowej, w Miłosny, gdzie Polki zazwyczaj oczekują na przejeżdżających więźniów, żadnej z nich nie zastałem; nikt w Warszawie o mnie nie wiedział, to też nikt i nie czekał. Po tem, utrudzony wzruszeniami, odurzony świeżem powietrzem, zasnąłem i przy przymianie koni na następnych stacyach, senny z bryczki do bryczki przesiadałem.

Skoro brzask dzienny ozłocił doliny, skowronki swiegotały mi nad głową — miryady niedościgłych okiem owadów brzęczały na żdźbłach trawy; wszystko nuciło hymn wszechstworzenia. Wtedy modliłem się, modliłem

Wychodząc z kancelaryi, zastałem w pierwszej izbie kilku oficerów, którzy mię wyprowadzili na dziedziniec. Asystencye podobne są u Moskali zwyczajem. Skłoniłem się na pożegnanie tym panom, ale żaden mi się nie odklonił, wyjąwszy atamana kozaków. Przemówiłem jeszcze do Tucza, prosząc, aby mi pozwolił kupić obuwie na drogę. Odpowiedział, że będę mógł załatwić to w podróży — wreszcie, że on mi każe wydać skarbowe buty. Lecz zarazem i cały uniform rekrucki. Podziękowałem, oświadczając, że chciałbym jak najmniej narażać skarb na wydatki dla mnie i opuściłem zgromadzenie.

Bryczka pocztowa już stała i za kilka minut ujrzałem się na Krakowskiem przedmieściu. Patrzyłem w okna domów, w nadziei ujrzęcia rysującej się na szybie sylwetki, jakiej znajomej twarzy. Po latach kilku, ileż tam zmian przejść musiało! Brała ochota nie do jednych drzwi zapukać.

Konie skreśliły na Bednarską ulicę. Zniknął za mną wkrótce most na Wiśle, a za nim nadobna Warszawa, od strony Pragi; znikły jej gorejące światła, bladą lunę po so-

bie zostawiając — nakoniec i ta ustąpiła światłu księżycy.

Ujrzałem się na szosie wiodącej do Brześcia, którą już przebywałem z czytelnikiem i zacząłem gawędę z żandarmem to o tem, to o owem. Nic nie wiedziałem, że w 1848 cholera grasowała w Warszawie.

Zaledwie kilka wiorst ujechałem, byłem opanywany przez gorączkę, której każdy więzień podlega, gdy nagle na wiatr jest wystawiony; słabość ta atoli, podobnie jak choroba morska, jest przemijającą.

Na pierwszej stacyi pocztowej, w Miłosny, gdzie Polki zazwyczaj oczekują na przejeżdżających więźniów, żadnej z nich nie zastałem; nikt w Warszawie o mnie nie wiedział, to też nikt i nie czekał. Po tem, utrudzony wzruszeniami, odurzony świeżem powietrzem, zasnąłem i przy przymianie koni na następnych stacyach, senny z bryczki do bryczki przesiadałem.

Skoro brzask dzienny ozłocił doliny, skowronki swiegotały mi nad głową — miryady niedościgłych okiem owadów brzęczały na żdźbłach trawy; wszystko nuciło hymn wszechstworzenia. Wtedy modliłem się, modliłem

głęboko; ale modlitwa ta nie dałaby się wyrazić. Jakże świat ten jest piękny i w szczęście obfity! Niebo przezroczyste, rozrzucone tu i owdzie wioski, stary kościółek przy drodze mchem porośnięty, skrzętne pszczołki brzęczące około ulów, głosy oraczy krających ziemię w skiby, śmiechy i piosenki dziewcząt w ogrodach, zatarły w pamięci więzienie i uczyniły nieogłędnym na przyszłość. Taka jest radość więźnia rozkutego!

Znowu przybyliśmy do stacyi, ale pocztmajster oznajmił, że koni nie ma i że czekać musimy, dopóki zkład nie powrócą. Ucieszony tą zwłoką, kazałem zrobić herbaty, zapaliłem cygaro i wszcząłem rozmowę z poczmistrzem. Gdy żandarm oddał się na chwilę, podstąpił on do mnie z prośbą o powiedzenie mu mego nazwiska; potem wyjął książeczkę z ukrycia i wpisując je, ukazał poczet przejeżdżających tamtędy wygnańców. Między tymi byli tacy, którzy na dwa dni przedemną przejeżdżali.

Widząc przed sobą pocziwca, rozprawiałem mu o wszystkim, co zauważałem najwięcej u derzającego w cytadeli. Przy żandarmie przybrał minę, wpatrując się w swoje papiery,

niby niewiele zwracającego uwagi na me słowa — a żandarm wyraźnie był zakłopotany; bo dwukrotne jego przestrogi, zachęcające mnie do milczenia, nie nie skutkowały, a konie znikąd też nie powracały — ja zaś chodząc po pokoju, gadałem, bo potrzebowałem się wygadać, chociażby przed sobą samym.

Jednakże miałem słuchaczy: w przyległym salonie byli goście, którzy cichutko się sprawiali; lecz przy wyjeździe usłyszałem szelest naraz kilku osób, i krzyk w korytarzu, który na wskroś mnie przeniknął, bo w wyrazach: „Mamo, mamó, już go wiozą!“ cała uczuciowej Polki ozwała się dusza.

Gdy obejrzałem się z bryczki, dorodna dziewczica stała nieruchoma na progu z rękoma na krzyż złożonemi. Patrzyłem na nią chwilę i z żalu odwróciłem głowę — gdy znowu spojrzałem, już jej nie było...

XIV.

PODRÓŻ W STEPY KIRGIZKIE.

Podróż czekała mię długa. Orenburg, miejsce mego przeznaczenia, był w odległości 3000 wiorst. Potrzeba było przebyć całą w poprzek Rosyę, i zatrzymać się dopiero tam, gdzie Ural toczy swe nurty. Ileż to nowych krain, nieznanych mi ludów miałem w przelocie obaczyć? z tem wszystkiem zdało mi się, że koła zbyt szybko się toczą.

Im dalej posuwałem się ku wschodowi w prowincjach Polski, tem więcej postrzegałem oznak prawdziwego współczucia pomiędzy ziomkami. Ogrzewany niem, zapominałem o mojej przeszłości, atoli dwugłowe orły u każdych drzwi pocztowych, przywodziły bolesne wspomnienia. W piersi Prometeusza przykutego do skały Kaukazu, jeden tylko sęp zatapiał szpony — na łono ojczyzny napadło ich kilka; a każdy szamocąc się z nią, pozostawił pierza swego i krewią się splamił!

Przejeżdżając przez Sielce, spotkałem studentów idących w porządku z nauczycielami z gimnazyum do kościoła. Kilku poskoczyło na

pocztę; jeden chciał koniecznie ze mną rozmawiać, ale żandarm go nie dopuścił. Młódzie nie ten nie był mi znany, patrząc na niego wszelakoż, o mało nie zawołałem; wszak Potocki jesteś? syn powieszzonego w tem mieście!...

W ogóle na pocztach urzędnicy i ich familie dawali mi dowody przyjacielskiej życzliwości, szczególnie na Litwie. Zwróciłem tam uwagę na suty objad, który mi zastawiono, a za który tak mało policzono, że się żandarm zdziwił; lecz gdy zapytałem o nazwisko dziedzica posiadłości, postrzegłem, że pierwsza litera tegoż znajdowała się na łyżce, którą jadłem.

Pewien urzędnik pocztowy był tyle śmiały, że gdy go zapytałem, co znaczą wojska, które spotykam po drolce, „a czy to pan nie wie o wojnie węgierskiej, rzecz z uśmiechem, czy mu nie wiadomo, że Bismarck walczy obosiecznym pałaszem?“ — i byłby mówił dalej, gdyby żandarm nie był stanął na przeszkodzie. Przybywając z cytadeli, jak z innego świata, nic o tem wszystkiem nie wiedziałem i znaczenie obosiecznego pałasza zrozumiałem dopiero, gdy wyczytałem

z gazet o bochaterskich bitwach Bema z Rosyą i Austryą razem.

Wojska maszerujące, rozstępowały się na odgłos dzwonek bryczki, zostawiając wolny przejazd środkiem; żołnierstwo piechotne złożyło, rotmistrze zaś od ułanów pozdrawiali mię uprzejmie; a nawet na stacyach prosili, jakkolwiek daremnie, anioła stróża, o dozwolenia mi przepędzenia godziny w ich kole.

Ta wydatna różnica w usposobieniach wojsk rosyjskich pochodzi ztąd, że w ułanach służy najwięcej Polaków i że ci nie zostaną Moskalami, jak Włosi i Węgrzy nie zostali Austryakami. Zaślubiny dwóch ludów, sprzecznych w chęciach i dążnościach, miejsca mieć nie mogą. Nie potrzeba Tailleranda, aby to zrozumiał. Republikański Rzym wywarł wpływ na Polskę, Grecya bizantyjska na Rosyę. Elementa wolności i niewoli nie dadzą się zjednoczyć— mocarz nigdy Polaków na prawdziwych obywateli moskiewskich przeistoczyć nie zdoła; strzegą mu oni, parci żelazną rękawicą, Czerkiesów z fortec Kauka-

zu, Czerkiesi strzegą Warszawian, bo car jest nadzorcą więziennym!

Trudnoby wyliczyć wszystkich oznak współczucia, widomych lub tajnych, jakimi mnie darzono w podróży. Często przejeżdżający powóz zawrócił się, by mi towarzyszyć wiorstę lub pół wiorsty; ale żaden wyraz politowania pięknej damy, nie wzbudził tyle wdzięczności, ile jakakolwiek przychyłność człowieka okrytego rosyjskiem mundurem. Zaprawdę, jeżeli wszystkie są piękne cnoty, to litość, dobrze pojęta, wszystkich cnót duszą.

Było to na Litwie. Dozorca poczty, gdzie na noc się zatrzymałem, był rodowity Moskał. Żandarm, mając w nim więcej, niż w innych zaufania, pozostawił mnie pod jego nadzorem, a sam udał się do dziedzica wsi, w celu otrzymania dwóch włościan, do pilnowania mnie, gdy spać będzie. Zaledwie wyszedł, nadjeżdżająca karetka zatrzymała się przed pocztą, a dozorca — smotrytiel — wybiegł obaczyć podróżnych, a potem wpadł do sali i kazał mi się z niej wynosić czempredzej do przedpokoju, oświadczając, że generał Hurko

przejeżdża z Kaukazu. W tę chwilę gdy smotrytiel śmiał mię przed nim nazwać politycznym przestępcą: idź precz! ofuknął tupnąwszy. Smotrytiel, jakkolwiek urzędnik, lecz urzędnik niewolnik, wyprostował się przed adjutantem, w sposób żołdacki, skłonił się i odszedł. Adjutant też postąpił za nim, wołając o prędkie przepręg koni, a Hurko przybył do sali. Byliśmy sami. Zapytałem go, czy obecność moja nie przeszkadza mu w czem. Bynajmniej, rzecze po polsku, i proszę sobie nie robić najmniejszej subjekcyi. W wyrażeniach jego malowała się, słodycz, znikł rosyjski generał, pozostał człowiek.

— I daleko też pana wieżą? — zapytał.

— Do Orenburga.

Westchnął w cichości.

Zdarzenie mieć chciało, abym w kilka dni później napotkał p. Paca, wracającego z Kaukazu w skutek ulaskawienia, na mieszkanie do jednej z gubernii, bliższej granic Polski. Temu gdy wspomniałem o spotkaniu się z Hurkiem: to mój dobrodziej, zawołał — u niego na Kaukazie

mieszkałem i jemu winienem tranzlokacyę.

Ale w samej wiosce, wiosce A., gdzie poznałem generała, zaszła też komiczno-dramatyczna scena, godna wspomnienia.

Wkrótce po wyjeździe generała, wpada mój żandarm zadyszany, czerwony jak burak wołając:

— Ha szlachcic! zawadyaka! ale ja jemu dam! Polaczyszka! myśli, że był kapitanem gwardyi, to mu już wolno kandydata na oficera żandarmskiego za drzwi wyrzucać!

— Może pan sierżant obudziłeś szlachcica?

— Nie, nie! był w szlafroku, jeszcze nie spał — Polaczyszka!

— I o co wam poszło? Gotowicie się wyzwać — od szpilki do armaty.

— Nie żartuj sobie pan — i proszę się zabierać, pojedziemy.

— Wygodnie mi tu pod tą kołderką. Dobranoc waćpanu!

Stróżę nie przychodzili, ja zasnąłem.

Przejeżdżając przez wioskę, o rannej zorzy, postrzegam mężczyznę wysokiego wzrostu, z dubeltówką na ramieniu i smyczą psów

w ręku. Żandarm obaczywszy go, głowę odwrócił. Na mój ukłon, nieznajomy przyjacielskim gestem odpowiedział, a do niebieskiego zawołał:

Wiesz, że nie miałeś prawa nocować z aresztowanym w miejscu, gdzie nie ma wojskowej komendy. Jak mi tu jeszcze raz zajedziesz bałwanie, każę cię związać i do miasta odstawić!

Żandarm oblany żółcią bełkotał:

— Dobrze, doniosę ja o wszystkim księciu namiestnikowi.

— Idź do szatana z twoim namiestnikiem! pfu!...

Wrażenie podróży!

Po przejeździe Polski kongresowej, żandarm mniej mnie miał na baczności i zostawiał w salach dla podróżnych, gdy sam szedł do kancelaryi opłacać podróż. Otóż, w jednej z tych sal zastałem dwóch obywateli, z których młodszy zrobił uwagę, że zastanawia go ta łatwowierność mego stróża.

Na następnej stacyi znowu ujrzałem się sam — było to, nie dojeżdżając do Słucka — stróż mój poszedł przemienić koszulę do

stajni. Wyszedłem na dziedziniec otoczony wałem, następnie postąpiłem za wrota; a ujrzawszy się bez nadzoru, uczucie osobistej wolności, myśl ucieczki, wstrząsnęła mną całym — choć nie miałem ani grosza i nie wiedziałem gdzie się obrócić.

BĄDŹ CO BĄDŹ.

Obejrzałem się do koła, nigdzie nie dostrzegłem żadnej istoty ludzkiej; wzrok zatrzymał się na lasach otaczających dolinę, ale do lasu było daleko. Obaczyłem także na stronie mury spustoszonego zamczyska, czy kościoła: tam skierowałem kroki. Najprzód szedłem wolno, oglądając się, czy kto za mną nie patrzy, i czy nie pozostawiam tropów na murawie; potem puściłem się cwałem. Byle dobiedz do zwalisk! myślałem że tam, może gdzie w jakiej framudze wśród gruzów, w jakiej piwnicy, lub pieczarach, znajdę schronienie do nocy.

Ale osłabionego więzieniem, siły w biegu opuszczały; kaszel zakrztusił, i zwątpiłem a-bym zdążył na czas do celu.

Uglądał na prędce innego schronienia, lecz nadaremnie — przed rozpoczęciem wiosny, krzaki były ogołocone z liści, pola ze zboża, łąki z trawy.

Napotkawszy cmentarz wiejski, tam szukał jakiego wydrążonego posągu, jakiegokolwiek miejsca, gdzieby się mógł ukryć; lecz kapliczki, które zdala nęciły moje oko, były pozamykane.

Spocząwszy trochę, puściłem się dalej; bo znowu wiatrak w niewielkiej odległości, zwrócił moją uwagę. Skrzydła się jego nie obracały, wniósłem ztąd, że nikogo w nim nie ma. Podstąpiłem pod wiatrak z nadzieją schowania się chociażby między kamienie młyńskie, lub worki zboża, jeżeli je tam znajdę; lecz i wiatrak był zamknięty i nie było w nim żadnej szczeliny, przez którąbym mógł być do niego się wcisnąć.

Wtedy zachwiałem się w postanowieniu — trwoga wzrastała — ale powracać na pocztę zdawało mi się za późno. Już mię tam szukać muszą! i znowu zdążyłem do zwalisk. Był to wielki klasztor po Kamedulach, jak się

później dowiedziałem, otoczony sadami, murem i na każdym rogu wyniosłą, spiczastą wieżycą.

Stałem przecież u najbliższej z nich. Przez gotycki otwór, gdzie były drzwi niegdyś, wszedłem do niej i spojrzałem do góry. Wieża zdawała się być bezpieczniejszem od innych schronieniem. Z dołu na pierwsze jej piętro schodów nie było; ale ztamtąd na drugie prowadziły schodki; piętra zaś były poprzedzielane kilkoma na pół przegniłemi deskami, porozrzucanemi na belkach i dach był przezroczysty jak sito. Cisza zupełna panowała jeszcze około poczty.

Powziąłem zamiar wleźć na poddasze i położyć się na szerokim murze. Chodziło tylko, jak dostać się najprzód na pierwsze piętro. Do uskutecznienia tego, wiele ułatwiła framuga od wielkiego niegdyś okna, wspólnego parterowi i pierwszemu piętru. Oparwszy kawałek drzewa o mur, po nim się do framugi wdrapałem; następnie drzewo odepchnąłem, a uchwyciwszy się oburącz belki sufitu, wysiłonym podskokiem, że aż kości we mnie zachrupały dostałem się na górę, z kąd po schodkach postą-

piłem wyżej; lecz na poddasze wleźć było niepodobna, bo dalej już żadnych schodów, framugi, ani wiązań z belek nie spostrzegłem. W takim razie, upatrzywszy najmocniejszą deskę, rozciągnąłem się na niej w oczekiwaniu co dalej będzie.

Kwadrans upłynął w ciszy — potem szmer i głosy w oddaleniu słyszeć się dały — później znowu nastąpiło milczenie. Nagle dzwonki pocztarskie uderzyły. Sądziłem, że chcą mnie gonić gościńcem; ale odgłos metalowy coraz się stawał wyraźniejszym.

Nie ma wątpliwości, ku mnie się zbliżają. Wydobywam medalik z Matką Bożką i cisnę go do łona. Dzwonki ucichły przed zwaliskami. Słyszę zmieszane głosy kilku osób — w zwaliskach odbywa się poszukiwanie — zbliżają się i do wieżycy — poznaje głos żandarma — wchodzi z jakimiś chłopcami — przynikam jak patrzy w górę — zatrzymuję oddech, a serce mi bije. Wyszedł przecież ze słowami: „Tamby wleźć nie mógł.“

Upłynęła godzina czasu — głosy te się zbliżały, to oddalały, to całkowicie nikły. A-

toli znowu ktoś stąpa na dole; zanim nadchodzi jakiś chłopiec, bo głos ma cienki; rozmawiają po rusku — głos gruby czyni uwagę, że kurz na framudze zdaje się być starty, cienki mu przeczy, a potem niknie. Ale ktoś powoli drapie się na mury — już, już jest na pierwszym piętrze — przepadłem! — leżę jednak ciągle. — Następuje powolne, ciężkie stąpanie po schodach, a potem wyrasta mi przed oczyma czarna brodata głowa w baraniej czapce — pokazała się, i opuściła.

O! jeżeli człowiek ten ma choć cokolwiek serca, to mię nie zdradzi, myślałem i nie opuszczałem stanowiska.

Próżne złudzenie!

Okrzyki ozwały się i gromada ludu zdążyła do wieży. Powstałem, zszedłem na pierwsze piętro i oczekiwałem na przybyszów. Brodata głowa, niebieski żandarm i kilku żydów, byli najpierwsi goście; za nimi ukazał się młody oficer od artylerji. Kazano mi złazić. Łatwo było kazać: wleźć mogłem, ale zleźć nie potrafiłem; posłano więc po drabinę, a gdy zszedłem, żandarm chwycił mię za rękę i o-

dezwał się, że mógłby mię zabić i nie by mu za to nie było — młody oficer kazał mu się uspokoić.

Po tym wypadku, gdy wyszedłem na pole, rzesza pospólstwa postępowała za mną, jedni bluźnili, drudzy mię żalowali. Żołnierze artylerji konnej, we wsi kwaterujący, kłusowali ku lasom; a w pewnej odległości od zwalisk stał ich pułkownik. Zbliżyłem się roztargniony ku niemu, i poprosiłem o chwilową protekcję. „I cóżbym ja dla pana mógł zrobić?“ — rzekł zaambarasowany, czysto po polsku. Powiedziałem, że naigrawanie się z nieszczęścia przykre na mnie robi wrażenie. Krzyknął na zgraję i rozpierzchnął się.

Właśnie też pocztmajster ubrany w mundur, podjechał: gdy wsiadłem do bryczki, objął mię wpół. „Czy się pan nie wstydzisz, rzekłem, wszak nie jesteś policyjnym sługą!“ Opuścił rękę i zaczął się tłumaczyć, że to się stało na jego stacyi, że byłby odpowiedzialnym i t. d.

Zalewie przybyliśmy na pocztę, nadjechał i pułkownik. Zostawszy ze mną sam, nie

wspominał o ucieczce, lecz wypytywał łagodnie o przeszłość moją, o przyczynę zsyłki i t. p., potem wyszedł do pokoju, gdzie żandarm oczekiwał i wyrzucił mu niedozór, jako powód wszystkiego. Odtąd pułkownika nie widziałem, gdy zaś żandarm przybył z oznajmieniem, że wedle danej mu instrukcyi, służy mi prawo okucia mię w kajdany, ale że jeżeli mi raz je włoży, już mu ich zdjąć nie wolno, ale okutego winien będzie oddać władzy za przybyciem do Orenburga; radziłem by dał sobie pokój i zaniechał tego środka ostrożności, za który i sam by zapewne na drodze śledztwa odpowiadać musiał, wskutek nienadzoru z jego strony i że lepiej wszystko ukończyć po cichu, zgodą. Wreszcie dodałem, coś się tak wielkiego stało, że poszedłem zwieździć ruiny?...

— Jesteś człowiek bez litości! — wołał. Chciałeś mię pozbawić rangi oficerskiej, której oczekuję za pomyślnie odstawienie kilku przestępców. Okuję pana, okuję, lub mi daj najświętsze słowo, że w myśli twojej nie po stanie ucieczka.

— Słuchaj sierżancie! wyznaję, że mocno

żałuję mego kroku, ale żałuję dla tego, że mi się nie udał. Widzisz jak jestem otwarty. Z tem wszystkiem, daję ci słowo, że już dojadę na miejsce.

Żandarm się nieco udobruchał.

Ale jakże przykre znowu odebrałem wrażenie, gdy siadając na ten raz do krytej bryczki, czarna głowa jeszcze mi się ukazała. Zdrajca który był oficerskim sługą, przyszedł z przeprosinami, mówiąc, że i on jest katolik a nie prawosławny, lecz ponieważ przysięgał carowi, wiernym mu więc pozostaje. Nic boleśniejszego, jak widzieć w blźnim. wiarę nie oświeconą, która go wiedzie do złego, często-kroć do zbrodni nawet.

W okolicy już wiadzano o przygodzie: grupy rozmaitych osób oczekiwały przy drodze.

Żandarm rozwodził się nad niepodobieństwem ucieczki, oświadczając, że gdybym wiedział, ile on ma przy sobie osobnych instrukcyi, wezwań, rozkazów, gończych listów na rozliczne wypadki, tobym zadrżał ze strachu. Dodał, że jeżeli uciekać, to najlepiej do lasu; lecz że i tam by na mnie obławę zrobił, i do tego z psami.

Kazałem mu milczeć.

Tymczasem kaszel mój wzrastał, ból piersi dokuczał, oznajmiłem mu, że służy mi prawo pozostania w najbliższym szpitalu. Przeczył temu, jednak instrukcyi pokazać nie chciał. Lecz odtąd, był usłużnym, uprzedzającym, byłem tylko nie myślał nigdzie zostawać. W Słucku wezwałem miejskiego lekarza, który przyniósł mi ulgę.

Przybyliśmy do Bobrujska. Poglądałem na wąską Berezynę, która pogrążyła w sobie około 36,000 Francuzów, gdy drugie ich tyle śmierć na jej brzegach znalazło. Na poczcie jadłem obiad z oficerem od inżynieryi i z córką gospodyni domu, zaproszony przez nich. Inżynier mówił, że z żalem przepuszcza rodaków na wschód, przez drogę, która zostaje pod jego dozorem. Panna oświadczyła, że największą jej boleścią jest, iż matka jej poszła za mąż za poczthaltera Moskala! ale że ona nigdyby tego nie zrobiła, choćby miała starą panną zostać. I inżynier się uśmiechnął, jak gdyby chciał powiedzieć, że tak źle nie będzie.

Biedne doprawdy te panny w Polsce. Młodzież krajowa ginie w obszarach Rosyi, a za Moskala rzadko też której chce się wyjść

i chrzcić w dodatku dzieci na obcą wiarę, wedle ustanowionego prawa. Przejeżdżając kiedyś w Sandomierskiem około karczmy, postrzegłem mnóstwo tańczących dziewczek, a za ledwie kilku między niemi wesołków. Na chłopcach wam zbywa dziewoje, rzekłem: „A c u s p r o s e p a n i c a, k i e j M o s k o l n a w o j a c k i e i c h p o g n o ł” — odpowiedziała jedna śmielszej natury.

Nie wiedziałem, że kraj nasz ma swoje bobry, atoli w Bobrujsku pokazywano mi kołnierze bobrowe, upewniając, że pochodzą z Berezyny. Ustępują w dobroci sybirskim; za to cena krajowego wynosi za ledwie kilka rubli, gdy sybiryjskiego dochodzi do pięciuset.

Z Bobrujska, przez Mohilew, przybyłem do Orszy po nad Dnieprem.

W Orszy dziewięć kościołów w gruzach!

Przeprawiwszy się na promie przez Dniepr, ukazuje się zupełnie inna, równa, tęskna kraina. Twarze w tej tam małoludnej stronie, są smutne. Od razu poznałem, że to przedsiębiornek Rosyi...

Żaden kraj Europy nie posiada tyle spławnych i tak wielkich rzek, ile Rosya; ale w żadnym cywilizowanym kraju, komunikacya

wodna nie jest tyle, ile tam zaniedbaną. Napatrzyłem się, jak tam wszystko pod względem budowy jest tylko pozorne. Powodzie były ogromne, całe więc oszukaństwo w konstrukcyi mostów, szluz, w sypaniu grobli, wyszło na jaw. Rzadko gdzie nie byłem zmuszony przeprowiać się czołnem przez rzekę, rzeczułkę, chociaż mosty stały obok; sterczały one bezużyteczne pośród wody, jakby szczątki przedpotopowe. Miliony kapitału pograżone w błoto!

M O S K W A.

Droga wypadła na Moskwę, przez Smoleńsk, Drohobuż i Wiazmę.

Mur otaczający Smoleńsk, oddziela nakształt chińskiego, to najbliższe Polski gubernialne miasto, od cywilizowanego świata. Nie ma w niem życia publicznego, nie ma miejsc schadzek, żadnej kawiarni, dokądby zająć można dla odczytania gazet; mieszkańcy siedzą w domach, cisza panuje na ulicach.

Nieprzyjemne robi wrażenie miasto, pozbawione gwaru miejskiego. Zżółkłe mury oświecone promieniami słońca, gdy się jest sa-

motnym pomiędzy niemi, smętny przedstawiają widok. Przy wjeździe tylko bazar był nieco ożywiony, i dwie mniszki rosyjskie, tam się uwijające, zwrócili moją uwagę: w ich gadatliwości, ruchach, zatrzymywaniu się i oglądaniu uderzała pewna lekkość, różniąca je od innych kobiet.

Uderzyła mnie także, przy wyjeździe z tego polskiego niegdyś miasta, bójka uliczna mieszczan unitów, z mieszczanami grecko-rosyjskiego wyznania. Prawosławni nazywali pierwszych Polakami bez mózgu; a ci tamtych Moskalami.

W Drohobużu, zamiatacze ulic błotem za mną rzucali, wołając: Sybir jedzie! Drohobuż sławi się kwasem; kwas jest zwykłym napojem w Rosyi, jak piwo w Niemczech, a wino we Francyi.

Wiazma rozsyła swoje pierniki po całym kraju, które drogo kosztują, a ustępują w dobroci toruńskim. Lecz więcej jak pierniki zajęła mnie rozmowa pewnego pocztmajstra za Wiazmą. Był to sędziwy staruszek, którego zastąpił pijącego herbate wraz ze swą połówicą. Zaproszony do stołu, pierwszy raz obaczyłem zwyczaj picia herbaty w Rosyi tak zwaną

przekąskę. Raczący się nią, trzyma w zębach kawałeczek cukru i przepuszcza przezeń nieosłodzoną herbatę. Kawalek ten wystarcza mu tym sposobem do osłodzenia kilku filiżanek napoju.

Pocztmajster zapytywał, z jakiego powodu jadę z żandarmem? Staralem się zaspokoić jego ciekawość; ale słuchając z miną powątpiewania, rzekł: „Nie ta to przyczyna być musi, lecz prędzej ta, że wy tam w Polsce chcecie równości; a nie baczycie, że nawet święci w niebie nie są sobie równi.“ I zaczął wyliczać całą hierarchię świętych, pół-świętych i błogosławionych. Nie wiedziałem, że Rosya posiada oprócz armii zbrojnej, tak liczne zastępy świętych.

Im więcej zbliżałem się ku Moskwie, tem więcej cerkwi we wsiach i miasteczkach, obrazów świętych w domach i przed domami napotkałem. Gdy raz ocknałem się po podróźnej drzymce, gród malowniczy, któremu podobnego nie widziałem na kuli ziemskiej wyrósł przedemną.

To Moskwa.

Wieżę, kopuły i dzwonnice, różnej wielkości, różnych form i rozmiarów! Różnoko-

lorowe, owalne dachy obsypane gwiazdami; szpice, minarety, seciny złocistych bań i po-
dwójnych prawosławnych krzyżów, migocą w
obłokach!

To Moskwa, miasta tradycyi, poglądająca
ze swymi 300,000 mieszkańcami, na nierównie
ludniejszy, nowy Petersburg, zowiąc go z a-
m o r s k i e m g n i a z d e m, cudzoziemskim —
uważając narzuconą oświatę, przez cieślę
petersbuskiego, Piotra W., jako cios dla na-
rodowości, która się mogła była rozwinąć wła-
ściwym narodowi postępem.

Rzeczywiście, z Petersburga o Rosyi wydać
sądu nie można: Moskwa jest jej sercem.
Palona przez Tamerlana, zajęta przez Polaków
w roku 1611, zniweczona przez Francuzów,
znowu się odbudowała na dawny sposób i
dziś znowu błyszczy i zadziwia oryginalnością
cudzoziemca, przybywającego z zachodu.

Izwoszczyk zatrzymał konie na rogatce,
z kąd przydano kozaka, aby nam towarzyszył
do komendanta miasta, w celu zawizowania
paszportu. Komendant mieszkał w Kremlinie,
starożytnej ufortyfikowanej siedzibie carów, w
środku miasta. Tam się udając, poglądałemi
na cerkwie. Są to po większej części pięcio-

kopułowe w bizantyjskim stylu, zmieszanym z tatarskim i fantazją czysto moskiewską, z jaskrawym kolorytem po na zewnątrz w pasy i prążki, ze złożonymi dachami, mozajkowymi gzymsami. Z tą pstrocizną przedstawiają się jako jasełka z pierników. Nie budzą myśli poważniej.

Gdy spojrzysz na wspaniałą katedrę strasburską, lub na Notre Dame w Paryżu, olbrzymie, gotyckie mury, okopcone wiekami, jedyne świadki dziejów kościoła tryumfującego, zdają się przemawiać. Gdy wpatrzysz się w te przybytki pełne piękności w szczegółach i proporcji w całości, poznasz w nich geniusz wielkiego narodu — poczujesz w nim Boga! Po wysmukłych, ażurowych, jakby uwitych z koronki, piętrzących się wieżyczkach, myśl twoja się wznosi. Wnijdź do przybytku, ujrzysz wdzięczną harmonię w rozkładzie filarów, łuków architektonicznych i jak Bozka muzyka Hajdena lub Mozarta, tak tam architektura wpłynie na ciebie, bo go naród artysta budował, a stulecia oświeciły. Zmrok w nim panuje, czasem słońce rzuci, z różnoszybnych okien, w kolorach tęczowych promieni, obraz zmartwychwstania, przed oblicze cierpiącego śmiertelnika.

Taki przybytek, może być dla każdego wyznania, byle tylko było ono godne ludzkości i Boga. Tam szczytne płody budownictwa rzeźby, malarstwa, muzyki, poezji lirycznej, zdają się współubiegać z westchnieniem modlącego.

Cerkwie w Rosyi przeciwnie, zniżają myśl do ziemi, jak rozkoszne świątynie pogańskie.

W cerkwi nie ujrzysz żadnego posągu ani płaskorzeźby, bo te uważają Rosyanie za bałwany; nie usłyszysz poważnego organu, ani żadnego iustrumentu, bo powiadają, że w kościele tańcować nie można; chór śpiewaków zastępuje organ. Chór ten składa pienia religijne z dwóch wyrazów, ciągle na różne tony powtarzanych: „Hospodi pomyśluj!“, to całe nabożeństwo zewnętrzne odbywa się w języku słowiańsko-cerkiewnym, częścią rosyjskim. Kazania i nauki miejsca nie mają — i to właśnie jedna z przyczyn do licznych odszczepieństw.

Po nabożeństwie, w pewne dni świąteczne, pop wybrały z najsilniejszym głosem, odczytuje przekleństwo na wszystkich po szczególności swych ziomków, uznanych przez rząd za byłych wrogów Rosyi, jak na cara Dymitra

Samozwańca — od czasu panowania którego Rosyanie tchną zawiścią ku Polakom — na Pugaczewa i t. d., jakoteż na narody nieprzyjazne, nie wyłączając Polski.

Śpiewacy kościelni składają, że tak powiem, oddzielną klasę społeczną. Jest to klasa ludu próżnującego, ciężar publiczny, jak trutnie, karmiące się owocem pszczoł pracowitych, i roznosząca zgorszenie po wioskach i miasteczkach. Śpiewacy ci, po większej części, oddają się pijaństwu; dla tego, w czasie liturgii, bas przepity, zbyt ochrypły, często fałszywie wtoruje czystemu dyszkantowi dziecięcia chóru.

Gdy wnijdiesz do cerkwi, na pierwszy rzut oka uderzają carskie wrota, bo car rozgospodarował się i w kościele. Jest to rodzaj parkanu z wielkimi drzwiami we środku, dwoma mniejszemi po bokach, zasłaniającego wielki ołtarz, ozdobionego obrazami na tle złocistem. Wielki ołtarz dojrzeć ledwie można w pewnych tylko chwilach, w czasie obrzędu, gdy popi carskie wrota otwierają. Schronienie za nimi, które służy im za zakrystyę, zdaje się być jakimś cymboryum tajemniczych magów. Popi w czarnych kołpakach, ze spada-

jącymi welonami na plecy, przypominają kapłanów Niniwy.

Zapytywałem, dla czego w obrazach nie daje się postrzegać pędzel artysty, cecha estetyczna; lecz są one jednostajne, tuzinkowe, przedstawiające twarze świętych, zwykle oliwkowego koloru, bezwzględnie na sztukę; i że zdobi je tylko bogata, lśniąca się od srebra i złota draperya, dana za ubiór świętemu. Powiedziano, że wizerunki świętych w kościołach katolickich są niewierne, bo pochodzą z wyobraźni artysty, gdy u nich są prawdziwi święci.

Wszystkie te świecidła cerkiewne rażą oczy zbytnią jaskrawością i mogą sprawić tylko pewną uludę dla gminu. Dodajmy tysiące jarzących świec, któremi są oświetlone, a które lud znosi, sądząc przez to oddać największą cześć Bogu, a poweźmiemy wyobrażenie blasku tam panującego.

Zwykle najwięcej goreje światel przed obrazami: cudownego Świętego Mikołaja i Świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, bo ci, przyjęci za patronów Rosyi, najwięcej posiadają zaufania publicznego.

Nagle, dźwięk niesłychany, jaki trudno-

sobie wyobrazić kto go nie słyszał, słowem dźwięk tysiąca dzwonów razem, rozległ się w powietrzu, jakby na komendę. Zdziwiony, zapytałem żandarma, co znaczy to wielkie larum? Oznajmił, że wjechaliśmy do Moskwy w dniu uroczystości, z powodu święta dworskiego, dnia galowego; a ten dzień, z dowodu rocznicy urodzin, czy też imienin jednego z dzieci carskich; i że święta dworskie są świetniej obchodzone w Rosyi, niżeli kościelne.

W rzeczy samej, działa odzywały się salwami. Urzędnicy, dygnitarze, obsypani orderami, cywilni i wojskowi, szwadrony wybrane wojska, uniwersytet umundurowany, pensye płaci obojej, wszystko to zdażało do cerkwi a szeregi dzwonów, dzwonków, dzwoneczków, kołysały się pod wszystkimi kopułami.

Dziwna, zaprawdę, ta muzyka dzwonkowa! Żadne miasto na świecie, oprócz Moskwy, takiego koncertu dać nie potrafi.

Cerkwie napełnione — tłumy ludu biją czołem o posadzkę krużganków, a dzwony na różne tony, zmieszane z echem, zdają się między sobą kłócić, pisać, narzekać, godzić, to znowu prowadzą jakąś wrzawę, dziką rozmowę, na którą inne zdala stłumionym gło-

sem odpowiadają — a wszystkie olbrzymi dzwon Iwanem carem zwany, hukiem poskramia. Potem naraz ucichły i znowu ozwały się chórem. W spiżowego cara takż żelaznem sercem uderzono; gdy małe dzwoneczki od upręgu mych koni, podrzeźniały wszystkim.

Przyznam się, że na tym, którego ucho nie nawykło do podobnej serenady, robi ona wrażenie trwogi; nie wywołuje tego melancholizno-religijnego uczucia, którego się doznaje na poważny jęk samotnego dzwonu zygmuntońskiego w Krakowie, lub na odgłos dzwonka, wzywającego na modlitwę do wiejskiego kościołka. Religia trzyma się serca; tkliwe uczucie nie cierpi nakazującego huk. Potrzebaby sobie wyobrazić Stwórcę, nie jako Boga miłości, ale jako groźnego Jehowę, na imię którego drżeli izraelici, lub jako Jowisza piorunującego, aby na modlitwę do niego przyzywać gromami.

Wśród takich to gromów i grzmotów, wjeżdżałem do Kremlina, gdy ktoś zerwał mi z tyłu czapkę z głowy — o mało co nie z głową. Obejrzawszy się, postrzegłem iskrzące oczy jakiegoś moskiewskiego kupca.

W Moskwie, tylko cywilna arystokracja

nadziewa frak lub paletto — przeważająca zaś klasa kupiecka nosi strój narodowy. Mężczyzna ubiera się w czerwoną koszulę, rozpuszcza ją w rodzaju bluzy i przepasuje tasiemką, do której przyczepia kluczyk do szkatułki — pod koszulą nosi niezmiernej szerokości pantalony z czarnego pluszu, które mu wpadają w cholewki od butów, wyłożone czerwoną obwódką — a gdy jest chłodno, przyodziewa się delią, podbitą barankami.

Tak chodził w życiu prywatnem Suwarów, tak też był ubrany mój napastnik, ukazujący groźnie na sklepienie bramy Kremlina.

Spojrzawszy w górę, obaczyłem stary obraz, przed którym płonęła lampa. Woźnica objaśnił, że to obraz cudowny, który zbawił Moskwę od Francuzów; że brama zowie się spaskije worota — zbawienne wrota i, że nigdy zbawienia nie dostąpię, jeżeli obraz rozgniewa.

Dowiedziałem się później, że gdyby żołnierz stojący na straży odwachu opodal bramy, był spostrzegł to nieuszanowanie dla obrazu, byłby alarm uderzył, aby mię ścigano.

Jeżeli Moskwę można nazwać Jerozolimą Rosyi, to Kremlin jest bezwątpienia jej świątynią

czyli raczej grupą świątyń, stojących nie w szeregu, jak zwykle budynki w Rosyi, ale rozrzuconych bez planu i porządku, skupionych w jednym miejscu, otoczonym grubym murem, które wydaje się zdala, jak wspaniały cmentarz, pełen piramid i krzyży.

Jeżeli dzwon, carem Iwanem zwawy, imponuje uchu, to drugi, także car Iwan, któremu podobnego pod względem wielkości nie ma na całym świecie, imponuje oku przybysza ogromną masą bronzu. Wartość jego przechodzi 2,000,000 rubli. Oberwał się z dzwonnicy, wyszczerbił i zapadł w ziemię, lecz podjęty przez Aleksandra I. i postawiony na piedestale do dziś dnia błyszczy, jako relikwia, klejnot, i chluba Rosyi.

Uderza także oko mnóstwo dział, z epoki francuskiej kompanii 1812 roku, złożonych tam na placu, jako trofea zwyciężkie; nad którymi jedno, car puszka, fabryki rosyjskiej, podobnie panuje, jak dzwon car Iwan nad innymi dzwonami. Leży ono bezużytecznie, na postumencie, jak car wyszczerbiony.

Dzwon i działa, są dwa główne, kruszcowe pomniki Kremlina.

Wszystkich dział ma być 2200, pomiędzy

temi tylko cztery polskie: dwa z herbem Sapiehów, jedno Potockich i jedno koronne. Wszystkie cztery zagwożdżone.

Weszliśmy do biura komendanta, podpisanego paszport — podróżne. Nie było w nim wymienione me nazwisko, ale tylko powiedziano: żandarm z będącym przy nim służącym. Potem udaliśmy się do gubernatora Zakrewskiego — tam przepisano papiery, dano żandarmowi pokwitowanie z odbioru mię i odesłano go z powrotem do Warszawy; a nowy się zjawił i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nowy żandarm ukazał mi w Moskwie ową osobliwą cerkiew Wasilego błogosławionego. Przyszła też Iwanowi Groźnemu fantazja zbudowania jakiegoś pałacu arlekina, którego opisać niepodobna, na mieszkanie świętemu. Czy widział kto kiedy kościół w guście pagody chińskiej, urozmaicony pstrokacizną kolorów mnóstwem wieżyc i wieżyczek gruszkowato zakończonych? Tradycja o tej cerkwi jest równie ciekawą, jak i ona sama. Gdy była wzniesiona przez włocha Fioraventego, ten zapytany przez Iwana, czyby nie zdołał utworzyć jeszcze coś doskonalszego, odpowiedział, że postrzegając niektóre usterki w budowlu,

zdaje mu się, że mógłby to uczynić. Zazdro-sny Iwan kazał mu wyłupić oczy. Cerkiew-pagoda została poświęcona zbrodnią.

Niedawnymi czasy, oświecona przez angli-ka turystę, błyszczała, jak iskrzący się brylant wśród cieni wieczora, z podziwieniem Moskali. Pagoda odpowiedziała godniej zabawie, niżeli nabożeństwu.

Nowy żandarm ukazał mi także Dziewiczy Monaster w dali, gdzie znajduje się grób Zofii owej ambitnej siostry Piotra W., która całe życie spiskowała przeciw niemu. Tam wraz z nią byli więzieni spiskowi, a bijący co minu-ta zegar, przypominał im o blizkiej śmierci. Zegar ten naprawiono z rozkazu Mikołaja I; dziś jeszcze przechodzień zbliżający się do mo-nastynu, słyszy dźwięk przypominający o katu-szach jego ziomków.

Moskwa jest to muzeum cerkwi i dzwo-rów; niechaj znikną kopuły, a pozostanie źle zbudowana mieścina, ze złymi brukami, pustymi placami, nieregularna i brudna.

Wedle marszruty, mieliśmy się udać na Kazań — coraz częściej po dredze zasypy śnieżne napotkałem. Wyjechałem z Warszawy w dzień wiosenny, a po ośmiu dniach podró-

ży i przebyciu około 2000 wiorst, ujrzałem się wśród zimy, wieczorem wiatr ostry przenikał, w południe słońce piekło; na zdrowiu coraz więcej słabłem. I nie mogło być inaczej, pędząc dzień i noc bryczką bez resorów, często-kroć o głodzie, bo na wielu pocztach, pomimo ogromnych cen, jakie tam zwykli za pożywienie naznaczać, nic ciepłego na prędcę dostać nie mogłem.

Za każdym prawie uderzeniem bryczki o kamień, lub bryłę grudy, zdało mi się, że się wnętrzności we mnie obrywają — a izwoszczyki, świeży żandarm i konie stepowe byli bez litości. Żandarm komenderował prędką zmianę koni na stacyach, izwoszczyk wzięwszy raz cugle, najczęściej drzymał, a bieguny uprężone w hołobli, raz puściwszy się cwałem, nie zatrzymywały się aż u następnej stacyi; gdyby był stworzeń pękł, bylibyśmy zostali na gościńcu, konie jednak z przodkiem o dwóch kołach stanęłyby same u kresu, będąc przyuczone do tego sposobu jazdy.

Cała tajemnica pospiechu żandarma, że miał naznaczoną nagrodę od rządu nie stosunkowo do liczby dni, ale do secin wiorst przejechanych. Pospieszał więc, by skorzystać

na czasie i móżdż skutecznie z powrotem sprawunki, których się podejmował u pocztmajstrów. Jakżeż zazdrościłem aresztantom idącym pieszo pod konwojem etapów, jakkolwiek etapy tak mi się niegdyś dały we znaki! Nie ręczę, czybym nie był padł ofiarą męczeństwa tej podróży, gdybym na jednej stacyi nie był się poznał z oczekującym tam, na jakiś nowy rozkaz feldjegrem.

Feldjegier, nazywa się w Rosyi goniec carski zazwyczaj w randze oficera, wyższej lub niższej, stosownie do ważności depeszy, którą wiezie, a które lecą, jak grad z Petersburga do Warszawy, Kamczatki, Gruzji, Persyi, Archangielska i t. d. Feldjegier jest to żyjący telegraf carski, wśród stepów, na kilkanaście tysięcy wiorst rozległych, człowiek zrodzony do życia i śmierci w kubitce. Tylko Rosya może okazać podobne indywidua, na które nie bez smutku się patrzy.

Jadąc w czasie wojennym, napotykałem feldjegrów galopujących w różne strony cesarstwa. Jednego z nich widziałem dolatującego do stacyi z wykrzyknikiem: „Mleka, mleka, podawajcie!“ Na twarzy jego malowało się okropne utrudzenie. Wychylił duszkiem poda-

na mu szklankę, konie w oka mgnieniu stanęły z nowym wózkiem — przeskoczył do niego z portfelem, decydującym o losach państwa i popędził dalej.

Feldjegier, mój nowy znajomy, widząc moją bladłość i usłyszawszy słów kilka, zaraz mię zrozumiał — a wydobywszy z torby szeroki pas, rodzaj gorsetu, brzuch mi nim podwiązał, przez co trzęsienie mniej szkodziło. Oznajmił także, że mlekiem pokrzepiać siły winienem.

Nimeśmy się rozstali, opowiedział charakterystyczną anegdotę o jednym ze swych kolegów, która rzuca światło na stan feldjegra. Kolega jego przybył po długiej podróży z ważną depeszą do przedpokoju carskiego. Kazano mu czekać, bo car był wielce zajęty. Zaledwie mógł się trzymać na nogach z utrudzenia i bezsenności; sparł się o kolumnę i zasnął stojący, tak twardo, że go dobudzić nie mogli, choć car już zadzwonił; nikt też nie poważał się odpiąć teki od rzemienia jego. Dano znać o tem Mikołajowi. Ten wyszedł z bratem, W. księciem Michałem i z uśmiechem zadowolenia wpatrywał się w chrapiącego sługę — ale Michał podszedł do biedaka i krzyknął mu nad uchem:

konie gotowe! Feldjegier skoczył obudzony.

Rys wielkości i cierpienia człowieka!

O kilkaset wiorst za Moskwą, kraj ukazywał się pustym i bezludnym — wegetacya martwa, dzikie brzozy, przeważne mieszkańce; góry, ani wzgórze nie zatrzymywały oka — płaszczyna i ciągle płaszczyna — niebo ołowiane wzrok utrudzające; wstęga długa, jednostajna, piaszczystej drogi, którą się przebywa dzień i noc, a z każdym porankiem znowu się ją postrzega i znowu poczuwa nudę. Zdaje się, że się jest na miejscu; zawsze też same pola nieuprawne, cisza zaledwie przerywana rżeniem konia, lub wiatrem nucącym dziką pośród karłowatych drzew piosnkę. Gdy ujrzysz przechodnia, radbyś poskoczyć ku niemu z radości.

Wśród ciszy na oceanie, chociaż delfin pluskający się ukaże grzbiet swój, morskie ptastwo krąży nad okrętem, złudzenie mirażu obudzi wyobraźnię. Wśród skał i gór, postrzegasz w ruchomych chmurach i formach kamienia rozliczne obrazy; przejeżdżając wieczorem przez lasy, wierzchołki drzew przedstawiają ci fantastycznie mitologię. W nagim stepie nic! Kraina spetryfikowana. Skała,

wyraz poetyczny — step ma inną poezję — tęsknoty.

Wśród takiego to stepu, kopiąc się w jednym miejscu przez zaspę śniegową, wiatrem naniesioną, z żandarmem przy boku i grążącymi końmi po brzuchy, postrzegłem karete zawieszłą. Podeszłego wieku dama wydawała rozkazy służącym do jej wydźwignięcia. Kazałem natychmiast izwoszczykowi wyprządz konie od kibitki i założyć do ciężkiej karety podróżnych. Żandarm przemilczał ten rozkaz, izwoszczyk był posłusznym, a dama Rosyanka, podziękowawszy mi za przysługę, zawiązała rozmowę. Wedle jej zdania zawierucha polityczna z zachodu Europy była przyczyną, że car wysyła młodzież polską, godną lepszego losu, na wygnanie — ale skoro burza minie, młodzież tę powrócić on raczy na łono rodzinne. Niepodobna się było nie rozśmiać na te w dobrej wierze czynione a płonne nadzieje.

Minawszy Niżny-Nowogród sławny jarmarkami i zbliżywszy się ku Kazaniowi, po nad brzegi Wołgi, największej rzeki w Europie, okolice górzyste, pokryte gęstymi lasami, ukazują się niespodzianie. Żandarm, świadomy

miejsowości, coś spoglądał na strony; w lasach tych nieustannie odbywają się obławy na zbrodniarzy, dezterterów wojskowych, zbiegów włościan poddanych szlacheckich i uciekających wygnańców z Syberyi. W guberni kazańskiej porozstawiane przy wielkich drogach pikiety kozackie — podejrzane — przerażają raczej, niż dodają otuchy. Na Wołdze łupieztwa powtarzają się często i rząd tamy położyć im nie może, gdyż wielu z obywateli albo tolerują napady poddanych swoich na barki kupieckie, lub biorą czynny w nich udział, dzieląc się łupami.

Droga z Moskwy na Kazań jest drogą sybirską. Byłaby ona trudniejszą do przebycia, jak pisze Custine, ciekawemu podróżnemu, niż pielgrzymka do Mekki chrześcianinowi. Głównymi tam wędrowcami są nieszczęśliwi pędzeni ze wszystkich krańców Rosyi do kopalń podbiegunowych. Mówię nieszczęśliwi, bo trudno ich nazwać zbrodniarzami. Wielkie pytanie: kto jest zbrodniarzem pod rządem despotycznym? czy ofiara skazana do min arszenikowych, czy ten, który ją tam skazał? ...

Gdy kibitka pędzi na drodze sybirskiej,

wtedy powózki wojskowe i prywatne, karawany, karety z podróżnymi, poczty, jeźdcy i piesi, słowem wszystko co żyje, ustępuje jej z drogi — śmielsi się jej przyglądają, inni uciekają od niej, jak przestraszone gołębie, które spostrzegłszy punkcik czarny na horyzoncie, przeczuwają ptaka drapieżnego.

Smutny przedstawiają widok ludzie przeznaczeni do ciągnięcia statków na wybrzeżach Wołgi. Zdaje się, że to są stworzenia należące do jakiegoś innego, okropnego świata. Ich plugawe, na pół futrzane kaftany, włosiste twarze, głos chrapowaty od trunków, zgięcie się w pałąk od dźwigań, sznury na plecach, kindżały za pasem, czynią strasznymi te istoty — ale jeszcze straszniejsze są ich tradycye o rozbójnikach i mordach.

IWAN GROŹNY. KAZAŃ. TATARZY. OBLÓCZYNY — POSTRZYŻYNY.

Iwan Groźny, wielkim zwany! —

Czy za wyłupienie oczu Fieraventemu?

Czy też za zanurzenie we krwi republikańskich Nowogrodzian, oskarżonych fałszywie o zdradę na korzyść Polaków.

Albo za zabójstwo jednego z synów swoich, a uwięzienie drugiego?

Czy nakoniec, że kazał zadusić pierwszego patryarchę w Moskwie, podobnie jak Piotr Wielki zdusił patryarchat?

— Nie.

Został wielkim za ostateczne oswobodzenie kraju od jarzma Tatarów; bo zawsze jest wielkim ten, kto wypędził wroga z ojczyzny!

Kazań, niegdyś stolica Tatarów, zdobyta przez Iwana, dziś jest miastem gubernialnem rosyjskiem; groźne reduty panują nad niem — a z pomników tam po Tatarach, jedna tylko baszta tam pozostała. Od strony Wołgi majestatyczny przedstawia widok. Atoli, gdy ujrzałem się wśród pokoleń mongolskich, tak się czułem być daleko od rodzinnego kraju, iż zwątpilem o oglądaniu go kiedykolwiek.

Przybywszy na pocztę, rzuciłem się na sofę — żandarm prędzej jak zwykle wołał o konie. Dowiedziawszy się, że gubernatorem miejscowym jest książę Barjatyński, należący do świty J. C. M., napisałem do niego poda-

nie po francuzku, prosząc o dozwole nie spoczynku w mieście.

Zandarm na wspomnienie o gubernatorze, przestał nalegać z obawy o pospiech. Przybyliśmy na ulicę Zmartwychwstania, przed dom Barjatyńskiego: prośbę wręczyłem kozakowi na stójce. Na odgłos dzwonków pocztowych kilkanaście twarzy ukazało się w oknach. Powozy i kolaski stały przed domem, przedpokój był pełen służby galonowej — książę miał gości. Wyszedł adiutant z oznajmieniem, że gubernator mając na względzie stan mego zdrowia, dozwala pozostać w Kazaniu, póki mi się podobać będzie.

Zandarm dostał czkawki!...

Łaskę niesłychaną przypisałem dobremu humorowi księcia i obecności pięknych pań — ale gdy adiutant dodał, że wybór miejsca na spoczynek zależeć będzie od policmajstra, któremu mię odda pod opiekę, nagle się rozczarowałem.

Udaliśmy się do policmajstra.

Policmajster, pułkownik, był to Niemiec z rodziny baronów. Oświadczył, że chyba każe mi przygotować mieszkanie w więzieniu szlacheckiem.

Podziękowałem, nie przyjmując.

Kazał pokazać żandarmowi papiery; ten przedstawił zapieczętowaną ekspedycję, pod adresem gubernatora oremburskiego, mówiąc, że oprócz instrukcyi, to jest wszystko co posiada. Wtedy posłał po księgę ustaw moskiewskich, a gdy ją przyniósł pisarz, wyszedł z nim do pobocznego pokoju, z kąd dochodził mię głos pisarza czytającego artykuły: jak się obchodzić powinno z aresztowanymi, okutymi i nieokutymi, szlachcicami i nie szlachcicami, z ogoloną i nieogoloną głową i t. d.

Tymczasem pani policmajstrowa pokazała się na chwilę we drzwiach, a za nią pokojówka, niosąca mi herbatę.

Ostateczna decyzja była, że jeżeli chcę, mogę pozostać w kancelaryi policyjnej, bo innego, stosownego miejsca nie ma.

Podziękowałem przyjmując.

Na nową kwaterę baron przysyłał od siebie obiad, a wieczorem herbatę i cygara; raz mię odwiedził i pozwolił wyjść na przechadzkę; przyjął także przygotowany list do mych krewnych, którego jednak nie otrzymali.

Wychodząc do miasta ucieszyłem się przedewszystkiem że choć na kilka godzin

pozbędę się natrętnego towarzystwa, urzędników policyjnych, którzy co chwila składali mi nieproszone wizyty, zarzucając niedorzecznościami pytaniami. Na ulicy miejski policyjant przyczepił się o to, że paliłem cygaro. Nie wiedziałem że rząd zabrania nie tylko w Polsce, ale w całej Rosyi, palenia cygar i fajek na ulicach. Assystencya atoli żandarma, uwolniła mię od służbowego napastnika.

Kazań, mieszczący jeszcze niemal połowę ludności wyznania mahometańskiego, nie ma cechy wschodniej, lecz moskiewską.

Minąwszy główne ulice, postrzegłem prawie po na zewnątrz miasta, gdzieśniedzie meczet i ludność tatarską, jakby kryjących się w nędznych drewnianych domach. Cześć oddawana Bogu i prorokowi przez potomków potężnych: Dżengizkanów, Tamerlanów, Amuratów, Batych, owych groźnych hanów, którym wielcy książęta moskiewscy przynoszący haracz, z pokorą trzymali strzemiona u koni, jest zaledwie dziś tolerowaną w ich stolicy. Meczety ich są małe, ubogie, drewniane, podobnie jak ich domy — a sami są także powierzchowności bardzo mizernej; widać na ich obliczach piętno trwogi i chytrości, które mi-

mowolnie wzbudza wstręt, ku tym nieszczęśliwym. — Poglądanie ich z pod oka zdradza podejrzliwość i nieufność. Mają dużo podobieństwa do żydów, uciemnionych w rozproszeniu, i podobnie jak ci, zajmują się po większej części handlem i włóczęgostwem. Brodate ich twarze i golone głowy nie są powabne, jednakże ze wszystkich pokoleń mongolskich, rasa tatarska jest najpiękniejszą.

Kobiety w mieście już nie noszą zasłon na twarzach; wychodząc na ulicę, zarzucają szlafrok zwyczajnego kroju męskiego na głowę; łatwo jest dostrzedz ich rysy, lecz są one pokryte tak grubemi warstwami bielidła i różu, że zdaje się, iż noszą maski. Zęby farbują na czarno.

Gdy po raz pierwszy postrzegłem znie-nacka na zakręcie ulicy te, jakby ulane z wosku oblicza ze lśnięciami oczyma, zrodziły one we mnie wrażenie straszydeł, od których usuwałem się na stronę.

Patrząc na biednych Tatarów, nasuwa się myśl, że historia jest świętą księgą, że jest usprawiedliwieniem wyroków Opatrzności, że dzieci, wnuki i prawnuki, pokutują za tych ojców, w których czynach nie było miłości

bliźniego, ale pycha i samolubstwo, chęć grabieży i ujarznienia drugich w pęta niewolnicze, i cóż pozostało z owej wielkiej najezdniczej, potężnej jedynie ciałem, Złotej Hordy, grożącej światu zaborem? Oto marnie ginące wyrzutki społeczeństwa, którym i piędzi ziemi na grób nie zostawiono; bo potęga hordy wspierała się na gwałcie i na niesprawiedliwości!....

Powróciwszy na kwaterę rozpaniętywałem historję Polski, jako krwawego przedmuru od napadów dziczy na zachodnią Europę, gdy wieczorem zrobiono mi niespodziankę. Panny fartuszkowe, ośmielone zapewne gościnnością barona, zebrały się pod moim oknem i zaczęły nucić piosenki ludowe moskiewskie — zauważałem w tych dwie ostateczności: niektóre były tęskne, drugie nazbyt śmieszne i rozwolnione. Jedna tak się zaczynała:

„Jechał czyżyk w łódeczkie, w generałskim czynie,
Wypijem my wodoczki, po etoj. przyczynie,”
(Jechał czyżyk w łódeczce, jeneralskiej miny,
Napijemy się wódki, z tej ważnej przyczyny.)

Rzuciłem dziewczętom rubla na wyspiwany truneczek, z czego się bardzo ucieszyły.

Za Kazaniem, wschód coraz się wyraźniejszym staje — pustynia coraz więcej przeraża-

jąca. Kibitka tam pędzi, niby jaskółka samotna, a ziemia zdaje się niby uciekać przed tobą. Kraj tęskny, dziki i ponury — tajemnica przyszłości!

Za Kazaniem są wioski zamieszkałe, jedne przez Tatarów mahometan, drugie przez świeżo przechrzczonych powierzchownie na greckorosyjską wiarę; inne przez Rosyan, inne przez Baszkirów, tj. Tatarów, postawionych na stopie wojennej, czyli kozaków tatarskich; jakoteż przez różne pokolenia mongolskie, jak: Czeremissów, Wodiaków, Tieptiarów, itd. Widziałem także wsie, z których jedna strona składała się z ludności mahometañskiej i pokoleń fińskich, druga z Rosyan, przybyłych w tamte puste krainy, z rozmaitych gubernii, dla osiedlenia się z rodzinami. *)

Za Kazaniem okna w chałupach z pę-

*) Cesarstwo rosyjskie nie jest państwem jednolitem — jest to miazga, złączona ze stu pokoleń różnych. Cywilizacya europejska, znana tam tylko wysokiej arystokracji, którą większa część przyjęta powierzchownie, nie podzielać zasad.

Sekcyarze religijni, składają już obecnie w Rosyi ósmą część ludności — fanatycy jako ludzie przywiązani do swej wiary prześladowanej i ponoszący codziennie męczeństwa. Niechno kto ogłosi wolność sumienia, dziewięć milionów sekcyarzy, towarzystw jawnych i sekretnych, stanie z jego strony! Zastęp silniejszy, niżli świętych prawosławnych. (Przyp. aut.)

cherzy bydłych i półksiężyc na wieżach piramidalnych meczetów, ukazują się podróżnemu; śpiew *muezyna*, wzywającego na modlitwę ze szczytu minaretów, z rana i po zachodzie słońca, słyszeć się daje. Śpiew ten jest smętny, przeciągły; trudno by Europejczykowi naśladować go. Nie słyszałem Tatarzyna śpiewającego na wesołą nutę, nawet w domowym ustroniu — śpiewającego bez smutku. W śpiewach najłatwiej jest poznać naród uciemiężony.

Na pocztach wdawałem się w rozmowę z Baszkirami, utrzymującymi konie. Niektórzy z nich byli w Polsce, i z tego zapewne powodu, okazywali mi całą swą gościnność. Jeden z nich zaprowadził mię nawet do tylnych izb domu swego, gdzie się znajdowały jego żony i córki, siedzące na wołojku, z założonemi na krzyż nogami, zajmując się szyciem i przędzeniem wełny.

Za przybyciem mojem, zarzuciły zastony na twarze, ale Baszkir zdjąć im je kazał, i każdą z osobna nazywając po imieniu, przedstawiał. W tem ich zastanianiu się przebijало się więcej zalotności, niżby zdołały ją słowami wyrazić. Jedna z nich spostrzegłszy złożoną

frędzlę u kapciucha mego, ukazała na nią z uśmiechem — widząc na niej mnóstwo świadcideł; odprułem natychmiast ów szych i ofiarowałem jej w darze, za co wszystkie Tatarki wyrażały swą radość, nieznanym mi językiem.

Na obiad zrobiono zupełną ulubioną przez Tatarów, s a ł m ą zwaną, za którą nieprzyjęto zapłaty.

Salma, jest to po prostu rosół z łazankami, zaprawny kwaśną śmietaną i drobno pokrajanymi kawałkami mięsa; nie wiedziałem, że jadłem mięso ze źrebięcia. Było słodkawe i ilkowate; placek owsiany do zupy nie bardzo mi też smakował.

Napój ten zowie się k u m y s. Wyznawcy alkoranu nie mogąc się upijać wódką ani winem, zakazanymi trunkami, zagrzewają się kumysem. Jest to kobyle mleko, doprowadzone do fermentacyi; utrzymują go w workach z koziej skóry, włosem po na wewnątrz. Mnóstwo Rosyan przyjeżdża latem do Baszkirów — opuszczających w tej porze roku swe wioski, a rozbijających namioty wśród gajów, po nad brzegami rzek i ruczajów — ażeby się u nich leczyć na suchoty — bo kumys jest na tę chorobę najskuteczniejszem lekarstwem.

Cała kuracya zależy na jedzeniu dużo mięsa baraniego, popijaniu kumysem, wystrzeganiu się wszelkiego trunku i przechadzce. Przyjmujący ją, tyć zaczyna, czego sam niejednokrotnie naocznym byłem świadkiem.

Mylne zawsze wyobrażenie miałem o urodzie Tatarów, których wielu podróżnych opisało, jako mających policzki wklęsłe, z wystającymi kośćcami pod oczyma, nosy spłaszczone, oczy czarne, małe, zapadłe, cerę połyskującą się, brunatną, a zarost szeroki kędzierzawy. Wprawdzie jest to typ w ogóle mongolski; takimi później znalazłem Kirgizów, takimi Kałmuków, którzy swemi małemi oczętami wyglądającymi z oprawy ocznej, jakby z wąskiej szparki, widzą przecież na stepie niezmiernie daleko, ale rasa tatarska w Rosyi jest ze wszystkich pokoleń mongolskich, jak mówiłem, najczystsza, poprawną, tak co do rysów twarzy, jako i całego ciała; brudna tylko z powodu niechlujstwa.

Napotykałem twarze, mianowicie kobiet tej rasy, mogące być policzone pomiędzy piękności azyatyckie, podobnie jak Gruzinki i Czerkieski. Kruche ich włosy były miękkości jedwabnej, udatne kibicie, śnieżna białosc, czar-

ne, wielkie oczy, pełne ognia; lecz zbywało w nich na wyrazie który tak zdobi wzrok kobiet europejskich. Oczy Tatarek nie są to mówiące oczy Francuzek, ale raczej zwierciadła namiętnej, a drzemiącej duszy.

W ogóle, o ile mężczyźni w środkowej Rosyi są piękniejsi od kobiet, o tyle Tatarki przewyższają wdziękami ciała swych mężczyzn.

Zapytałem pewnego Tatarzyna, czy nie bywa buntu w jego haremie?

— Ażeby zaradzić złemu, odpowiedział z powagą, trzeba być przedewszystkiem sprawiedliwym.

— Pod jakim względem?

— Potrzeba równe zachowywać względy dla wszystkich żon, inaczej bieda, wielka z niemi bieda. Uważać także należy, aby dzieci otaczały ich własne matki.

Rzadko który z Tatarów poprzestaje na jednej żonie, chyba bardzo ubogi; najczęściej mają po trzy. Zapytałem raz jedną z pojedynczych małżonek, czy jest szczęśliwą bez rywalek?

Kiwnęła głową.

Rzekłem, że gdyby mąż jej był bogaty, miałaby bez wątpienia towarzyszkę, lecz z dru-

giej strony, możeby za to była nagrodzoną lepszym bytem, wygodami. — Odpowiedziała zepsutym rosyjskim językiem, że woli być wyłączną gospodynią w biednej chacie, aniżeli mieć współniczki w bogatej. Poklepałem ją po ramieniu, czem obrażona pogroziła mi nożem.

Niech gjaur nie dotyka heroicznych Tatarek! —

.
.

Ale otóż i Orenburg wygląda jak oaza wśród pustyni!

Na ten widok, sprzęża niewymownych uczuć mię objęła.

Kibitka stanęła przed pałacem gubernatora — żandarm oddał papiery

Oczekujemy w przedsionku — drzwi się otwierają z łoskotem; postać mała, z marsowatym wejrzeniem, obciążnięta w kozacką kurtkę stanęła w progu.

— Jak się w drodze sprawował? zawołała.

— Bardzo dobrze! odpowiedziano.

Postać w kurtce, rzuciwszy szkiełko pod oko, wpatrywać się we mnie raczyła, ale to

w taki sposób, jak zwykło się patrzeć na jakie zwierzątko w menażeryi. Coś mruknęła pod nosem, zawróciła się i znikła.

Miałem honor widzieć jego wysoką przewoschodność, generała korpusu wojennego gubernatora Obruczewa, przyszłego senatora.

W sztabie przenocowałem. Nazajutrz rano nastąpiły moje postrzyżyny i obłóczyny; dano szyniel z ponsowym kołnierzem, cynowemi guzikami, niebieskimi epoletami, opatrzone mi żółtym numerem 23, i powiedziano „że jestem odtąd żołdatem dwudziestej trzeciej piechotnej dywizyi, i że mam służyć wiernie Bogu i C a r o w i“.

Potem kazano, nadspodziewanie, wsiąść jeszcze do kibitki, batalion bowiem, do którego przez jego wysoką przewoschodność naznaczony zostałem, stał w Uralsku, o 400 wiorst dalej.

XV.

K I R G I Z I.

Ural oddziela Europę od Azji. Jadąc po nad brzegiem tej rzeki, ku morzu Kaspijskiemu, spojrzenia moje zgubiły się w ogromnych

pustyni obszarach. Żadnego tam wzrok nie napotyka punktu oparcia dla siebie; żadnego step nie przedstawia spoczynku dla utrudzonego oka, nie ma wzgórza, ani lasu, zgoła żadnego pomnika natury, ani sztuki. Kraina pretryfikowana! naga, równa, milcząca, wyludniona, jaką być musiała na początku stworzenia. Gdzie niegdzie tylko po nad rzeką, kępa dzikich, białoliściowych topol, lub innych drzew karłowatych, smętnym szelestem przerywa martwej przyrody milczenie.

Równina stepowa przedstawia niekiedy fenomen optyczny, jej wyłącznie właściwy. Przedmioty w pewnej odległości zdają się być przybliżone i w nierównie większych rozmiarach, niżeli są w rzeczy samej: ludzie, gdyby obeliski, a obładowane wielbłądy, gdyby góry ruchome. Naturaliści przypisują ten fenomen wyziwom pary. — Częstokroć spragniony podróżny ujrzy tam jezioro, zdąża ku niemu, lecz w miarę zbliżania się jeziora ucieka.

A jednakże obszary te, jak dowodzą historycy, miały niegdyś mieścić w sobie olbrzymie miasta, liczne sioła, kwieciste łąki i gaje.

Wszystko to znikło, śladu po sobie nie zostawiwszy.

Potęga cywilizacyi, przemysłu, handlu rolnictwa, możeby wskrzesić zdołała te krainy niegdyś mlekiem i miodem płynące.

Obecnie, przedstawiają one próżną stronicę globu ziemskiego, na której Bóg umieści żywe słowa miłości bliźniego i poświęcenia, jako kamienie fundamentalne dla przyszłych pokoleń — albo też, ów odwieczny, pyszny nieprzyjaciel Stwórcy i wszelkiej zasady zasad, zapisze okropne słowa: niewola, knut i nienawiść.

Obecnie na tej pustej stronicy przedzielonej Uralem, postrzega podróżny: z jednej strony co kilkadziesiąt wiorst, i to tylko przy wielkiej drodze, stanicę kozacką, złożoną z domów i ziemianek, zbudowanych w rzędy jakby pułku szeregi; po nad stanicą wznosi się drewniany dom starszyny, z galeryą na której stoi pikieta kozacza, poglądająca jednym okiem ku zachodowi, drugim ku wschodowi.

Na przeciwnej stronie Urala, podróżny widzieć może, jak Kirgiz, z arkanem zarzuconym na plecy, upędza się na dzielnym rumaku za antylopą lub za wilkiem stepowym którego póty okłada kańczugiem, dopóki zwierze nie stanie się jego łupem. — Widzi gromady

namiotów koczującego ludu, stada koni i owiec, tudzież mnóstwo wielbłądów, których jedne stoją, drugie leżą, a trzecie na klęczkach oczekują juków, które mają ponieść do sąsiedniej Rosyi. Jeśli zbliży się do mostu unoszącego się na łyżwach na Urału, w Orenburgu lub Uralsku, ujrzy karawany kirgizkie z ludzi i wielbłądów.

Zajmujący widok, gdy seciny tych zwierząt jednogarbnych i dwugarbnych, różnej maści, postępując sznurem poważnie, jedno za drugim, niosą na garbach kiwających się Kirgizów, ich połowice, pacholeta i majątki — ostatnie, na wymianę za towary u kupców rosyjskich.

W Orenburgu jest wzniesiony ogromny budynek, kosztem rządu, zwany mienownyj dwor, gdzie przybywający Kirgiz zostawia surowe produkta kraju swego, a w zamian za skórę końską naprzykład, lub barana, bierze od kupca malowaną szkatułkę; za cetnar łożu, trochę herbaty, cukru, lub zwierciadełko; za worek puchu łabędziego, kawałek czerwonego sukna, wiązkę zasuszonych obwarzanków, miarkę soli, lub krawaj czarnego chleba żołdeckiego; za wojłok, w różne wzory szyty, ręką

dziewczyny przybywającej z karawaną, lub za tuzin różnobarwnych safianownych mesztów jej roboty, stuczkę perkalu kraszonego na niebiesko, na koszulę dla biednej — bajguszki.

Ileż stepy nie dostarczają bogactw handlarzom z powołania tudzież urzędnikom i dygnitarzom, wprost i nie wprost ich dozorującym! Miana idzie, złodziej na złodzieju je dzie, złodziejem pogania!

Stepy Kirgiz Kajsackie zajmują ogromną przestrzeń między rzeką Uralem, morzem Kaspijskiem i Aralskiem, i rozciągają się aż pod Chiwę. Częściowo są pokryte piaskami, już to stałymi, zawierającymi w sobie okruchy muszli, już ruchomymi; częściami są piaszczysto gliniaste, porośnięte chwastem, dzikim piołunem lub zupełnie nagie; w ogóle, suche, bezleśne, bezwodne, z wyjątkiem zatęchłych jezior, które się tam napotykać dają, i mnóstwa pasów błotnisto-słonnych i trzęsawisk.

Rzadko gdzie znaleźć można wodę nie zatruwającą, znośną do picia dla człowieka, jakkolwiek jest ona mętną, białą i słonąwą. Gdzie nigdzie są krynice, które koczujący Kirgizi mają zwyczaj zręcznie sitowiem, lub trzcinaą zakrywać, zostawiając ich użytek, pod sekretem, wyłącznie dla siebie.

Miejscami znajdują się tam łąki, wyglądające jak żyzne oazy, rozległości dochodzącej do kilkunastu wiorst kwadratowych, służące na pastwiska dla trzód, stanowiących jedyne bogactwo i sposób do życia Kirgizów. Bogactwo to składa się: z wielbłądów białych, szarych i brunatnych; z bydła rogatego; tabunów koni, z których tak zwane *ardamaki*, pochodzące ze zmieszania ras kirgizkiej z arabską, są najprzedniejsze, tudzież kóz i owiec lichej wełny, lecz odznaczających się pospolitą wielkością i ogromnym narostem po nad ogonem, napelnionym sadłem. Gdy karmy w jednym miejscu niestaje, Kirgizi przenoszą się na drugie.

W bliskości każdej wody, miriady rozlicznej wielkości much, bąków, niesłychanie uprzykrzonych komarów, w porze letniej bujają w powietrzu.

Stopień temperatury średnio proporcjonalny do rozległości kraju, wynosi w lecie około 45 stopni, a w zimie około 30, termometru Reaumura. Deszcze bardzo rzadko skrapiają pustynie. Wiosny prawie nie ma — wprędce po zimie następuje skwarne lato; wtedy noce są krótkie; za ledwo słońce zaszło, za parę go-

dzin już brzask jutrzeńki oświeca równinę. Uragany panują w każdej porze roku.

Straszny bywa uragan gdy się rozhula po stepie, i nader niebezpieczny: w zimie zasypuje częstokroć całe stada trzody; w czasie gorącym unosi wysoko gęste tumany spieklonego piasku, podobne do chmur brzemiennych zaciemniających widnokrąg. Biada temu, kogo uragan zimowy samotnego w podróży zaskoczy; umrzeć wtedy musi.

Mieszkaniem Kirgiza jest namiot zwany kubitką. Nie jest to żaden wózek, ani namiot na wózku; Kirgizi na wozach nie jeżdżą. Ale jest to obszerny, okrągły namiot, mogący mieścić w sobie całą rodzinę, przytwierdzony do ziemi, zrobiony z prętów wystruganych z giętkiego drzewa, splecionych w kratkę, pokryty całkowicie grubym wojłokiem tak mocno zbitym, że go żaden wichur nie przewieje.

Przenosiny Kirgiza są łatwe: zwija wojłok w wałek, składa pręty w pęk, przyczepia wszystko na wielbłąda, i tak z całym domem, rodziną i dobytkiem, puszcza się w podróż.

W pośrodku namiotu tli zazwyczaj ognisko z kupy kiziaku — suszonego nawozu — przy którym gospodyni kucharuje. Kiziak jest

jedynym opałem i oświetleniem u Kirgizów, bo im zbywa zarówno na drzewie, jak na węglach, torfie i słomie.

Ruchomości domowe składają na ziemi; w niedostatku mebli: parę skrzynek, kilka pierzyn, kocieł, kilka drobnych naczyń; koryto napełnione kumysem u bogatszych, a kwaśnem mlekiem rozrzedzonym wodą, powszednim napojem u biedniejszych; łuk i strzały zawieszane na kołku; stara, popsuta gwintówka powiązana sznurkiem — oto wszystko, co ujrysz w namiocie, oprócz człowieczych brudnych indywiduów i psów. Bogaci zdobią kibitkę po na wewnątrz w perskie kobierce, i rozumie się, mają kuchnie osobne.

Ubiorem i językiem Kirgizi mało się różnią od Tatarów. Jak tamci są wyznania mahometańskiego; atoli liczba mullahów — kapłanów — pomiędzy nimi jest zbyt mała, stosunkowo do ludności. W ogóle, mniej są religijni od Tatarów.

Za pokarm używają mięsa baraniego, jeżdżą bez chleba. Jedzą także mięso końskie, a pieczone źrebię, lub ciepłą krew z niego, świeżo zaraniętego, używają za przysmak.

Są gościnni, szczególnie dla swych roda-

ków. Przybyszowi zaproszonemu do biesiady, Kirgiz podaje z gołej ręki kawał mięsiwa, co tamten winien poczytywać za wyświadczony sobie zaszczyt. Tem on większy dla gościa, gdy mu gospodarz sam wtykać łaskawie raczy do gęby kawałki tłustej baraniny, której posoka ścieka po palcach. Względem cudzoziemca są chciwi; starają się zawsze wyludzić coś od niego. W kubitce wprowadzie Kirgiz i dla cudzoziemca jest gościnnym, lecz to nie przeszkadza, aby go nie zabił, lub nie zrabował, bez skrupułu, za pierwszym krokiem ztamtąd skoro mu się sposobność ku temu nadarzy.

Wielonośstwo mniej we zwyczaju u Kirgizów, niż u innych pokoleń mongolskich. Na Kirgizkę idącą za mąż za żonatego krzywo patrzą jej towarzyszki i nie odwiedzają jej. Mężczyzna bezżonny rzadkiem jest pojawem; zostaje on w pogardzie. Za pannę trzeba płacić jej rodzicom wiano z wielbłądów, kóz i t. d. Wielkość wiana jest względną do wdzięków narzeczonej. Tym sposobem u Kirgiza córka stanowi kapitał rodziców; im piękniejsza, udatniejsza, tem większy kapitał; na przymioty jej moralne mało zwracają uwagi. Wdowa nie ma żadnego waloru.

Każda żona czyli raczej niewolnica, musi mieć osobną kibitkę, jeśli ich jest kilka przy jednym mężczyźnie; co się rzadko zdarza.

Zaręczyny, ślub i weselisko, odbywają się razem, pomiędzy biedniejszymi bardzo po prostu: zjedzie mułła do państwa młodych, powie im perorę, potem zjedzą razem w gronie familijnem porządną porcyę tuczonego żrebaka, popiją kumyse — i hymen zawarty.

Ale za to wybór panny młodej, umizgi do niej, są trudniejsze dla kawalera, podlegają pewnej formułce. Gdy młodzieniec poczuje wolę Bożą do stanu małżeńskiego, krążąc po stepie, upatruje żywego przedmiotu dla kipiących uczuć; a znalazłszy nakoniec swoją miłość chodzącą, wyszedziwszy jej a u ł i kibitkę, pewnego pięknego wieczora zjawia się do niej, niby z niechcenia, i biedak, zapytuje skromnie, czy nie widziała, lub nie słyszała, o jego ulubionej, zabłąkanej w okolicy, owieczce, której właśnie szuka.

Naturalnie, następuje odpowiedź przecząca panny Kirgizki — zwykle uprzedzonej o jego przybyciu. — Potem idą zapytania: zkład

młodzian, czemu tak smutny, czy nie głodny? Następnie ugoszczony, oczarowany młodzieniec, wraca do swych rodziców, którzy z kolei, także niby przypadkiem, niby zbłąkani po pewnym przeciągu czasu, odwiedzają kibitkę, gdzie serce chłopca uwięzło. Odwiedziny te powtarzają się razy kilka i kończą swatami.

Zaloty bogatych są nierównie świetniejsze i oryginalniejsze. Panny na wydaniu, dochodzące lat czternastu, zbierają się na oznaczone miejsce, w świątecznych ubiorach, każda na najdzielniejszym ardamaku z tabunu ojca swojego. Za nimi przybywają, także konno, konkurenci do dziewczic, z rodzinami i drużbą.

Hasło jest dane, w rożki zatrabiono, zaczynają się gonitwy. Jedna z młodych Kirgizek — najczęściej na imię jej Mardża — uzbrojona kańczugiem, puszcza się cwałem, a za nią wszyscy pretendenci do jej ręki. Każdy z nich usiłuje dogonić amazonkę, w największym pędzie schwycić ją, pocałować, i na swego bieguna posadzić. Któremu się sztuka uda, ten staje się jej mężem.

Ale nie łatwa z dziewczyną sprawa! bo ta, wedle przyjętej reguły, batoży potężnie po łbach i konia i jeźdźca ją dopędzającego —

koń pod razami odskakuje na stronę; a jeździec czasem karku nadkręci, wywróciwszy koziołka. Jednak, jak wszędzie, tak i tu niesprawiedliwość się wkrada — małe wybiegi kobiece: jeden rumak nielitościwie dostaje bizuna, a drugiemu, niosącemu szczęśliwego śmiertelnika, zaledwie grzywę otrzepano. Dziewoja dała się złapać.

Kirgizki są bardzo wprawne do władania batogiem, termometrem ich uczuć!...

O pogrzebach Kirgizów nie powiedzieć nie umiem, wyjąwszy, iż zakopują zwłoki zmarłych, podobnie jak u nas. Nie mogę tu jednak nie wspomnieć o wzruszeniu, jakie na mnie wywarła pewna Kirgizka, opłakująca kogoś, drogiego jej sercu, na jego mogile. Siedziała na niej długo zamysłona — u nóg jej małeńka dziecina obierała gałązkę dzikiego piołunu. Byłem milczącym, niewidzialnym świadkiem tej grobowej sceny. Kirgizka nagle zapłakała. — Przebóg! jakież to płacz! tęskny śpiew z narzekaniem! rozdzierające kwilenie! — Potem ucichła — potem całowała dzieciaka, tuląc go do łona. Następnie robiła dziurki w mogile drewnianą pałeczką i przytykała do nich ucho — dosłyszałem

tkliwych szeptów i szlochań — zaczęła się tajemnicza z nieboszczykiem rozmowa.

Kirgizi są przywiązani do swej pustyni, podobnie jak górale do skał np. alpejskich. Europejczycy, przywykłymu do miast wielkich, nudnym być może pobyt między nimi. Co do mnie, w prostocie życia ich pasterskiego, znalazłem wiele powabu, który prędejj uczuć, niż opisać potrafię.

Konie stepowe posiadają przymiot towarzyski. Nic boleśniejszego, jak gdy jednego z nich uprowadzają z tabunu. Jak on się biedny prosi! to się spina, broni, kąsa, wierzga, wydaje rżenia rozpacz, tak mu żal opuścić czworonożnych towarzyszy, z którymi się wychował. Konie te są przytem wielce ciekawe: gdy ktoś w europejskiej czarnej odzieży zawita do ich dziedziny, a tabun go postrzeże, pędzi ku niemu gromadą, zatrzymuje się przed nim, popatrzy na niego, postrzyże uszkami, parsknie, i puszcza się napowrót. W porze zimowej, same odgrzebują śnieg, szukając pod nim paszy. Siano stepowe jest grube; koń europejski rychło od niego zdycha.

Owce kirgizkie są najzaciętszymi wrogami skorpionów. Jakkolwiek ostatnie kryją się

w piasku, umieją ich wyszukać, a znalazłszy, natychmiast pożerają. Aby się zabezpieczyć śpiącemu od skorpionów, dosyć jest leżna wołoku ubitym z wełny tych owiec; uciekają od niego, jak pies od wilczej skóry.

Wielbłąd lubi się czasem zemścić, skoro mu dokuczają. Długo nieborak cierpliwy — za to zemsta jego jest nader dowcipną. Gdy Kirgiz zbyt wiele zadaje mu bólu, przez pociąganie za rzemień, przywiązany za rzemień, do drewnianego kołka, wsadzonego w nozdrze wielbłąda, aby nim kierować, zniecierpliwiony zwierzę zaczyna przeżuwać w milczeniu pokarm, a nagromadziwszy go w pysku i upatrzwszy sposobną chwilę, tak silnie plunie w twarz tyrana, że mu ją całą przeżuwiniami oblepi. Niepodobna wyrazić miny zadowolenia, z jaką po dokonanej zemście podnosi głowę, i ogląda się jakby mówiąc: patrzcie na mnie!...

Cały naród Kirgizów dzieli się na pokolenia, rządzone despotycznie przez sułtanów. Ci wywodzą ród swój od Dżengizhana, o którym jednak wiele powiedzieć nie są w stanie. Ród ten arystokratyczny nie łączy się związkiem krwi z innymi rodami.

Pokolenia dzielą się na auly, czyli osady,

złożone z kilku tylko kibitek, co jest dogodnie dla życia pasterskiego; każda kibitka obejmuje zwykle całą rodzinę.

Kirgizi koczujący na pograniczu Rosyi są mirni zawojowani — pozornie sprzymierzeni rządowi najezdniczemu. Ludność ich wynosi przeszło 110.000 dusz. Ich chan najwyższy z sułtanów, jest protegowany przez rząd rosyjski; do niego należy zarząd pastwisk i koczowisk. Arcy-kapłan hordy mirnej, muffy, mieszka w Orenburgu, gdzie znajduje się i korpus kadeci dla dzieci kirgizkich. Elewy wychodzący z niego, w stopniu oficera kozackiego, powracają do hordy na rządców i urzędników.

Gubernator orenburski, do którego należy naczelny zarząd hordy, często ją nawiedza, stopniuje sułtanów, ofiarując im gwiazdy, czerwone szlafroki ze złoceniem galonami, i t. p., jako strój dostojności; z czego te indywidua, powodowane naturalnym pociąganiem do chin szczyzny i błyskotek, wielce się chełpią. Raz spotkawszy jednego z tych ichmościów, nie zdjąłem przed nim furażerki: Jeżeli myślisz — rzekł do mnie, komicznie napuszczony, ukazując na swe znaki — że to nawóz koński, łziesz; bo to podarunek od wielkiego cara!

Byłoby do życzenia, aby rząd rosyjski mniej posyłał do hordy urzędników przy pałaszu, a więcej lekarzy, dla ukrócenia choroby syfalistycznej, którą wojsko jego zaszczepiło, a która grasuje tam niesłychanie. Choroba ta tem okropniejsze wywiera skutki, że ciemny lud nie mając wiary w pomoc medycyny, nie będąc o niej przekonany przez ludzi rozumu i serca, poddaje się dotąd guślarzom swego pokolenia, którzy rozlicznemi sposoby zagadywania, palenia łuczywa i skwarzenia nad niem jakichś kostek, czy ziarenek, itd., wypędzają s z a t a n a — djabła — z wnętrzości chorego, jako przyczynę jego cierpienia.

Wspomniawszy o chorobach, przypominam sobie pewien fakt, który nie od rzeczy będzie tu przytoczyć:

Stałem na warcie w szpitalu wojskowym przed drzwiami sali, napełnionej nieszczęśliwymi, przysłanymi z r o t a r e s z t a n c k i c h i innych więzień, na kuracyę. Byli między nimi dwaj Kirgizi, zostający od lat siedmiu pod śledztwem i sądem wojennym, obwinieni o kradzież koni, w której koczujące narody azyatyckie z zawodu celują. Władze miejscowe rosyjskie każą zazwyczaj, po dokonanej takiej

kradzieży, aresztować gromadę pierwszych lepszych Kirgizów, posadzić ich w ostrogu i zmusić niewinnych do zapłaty znikłych koni, jeżeli nie wskażą winnego.

Otoż właśnie podczas mojej warty, jeden z owych chorych był sądownie uniewinnionym; a drugiego, wydanego, słusznie, czy sądownie nie słusznie, przez pozostałych w ostrogu jego rodaków, jako winowajcę, skazano na pałki i na przesiedlenie.

Uniewinniony, wybladły Kirgiz, pałając chęcią najprędzszego wyleczenia się, aby być wypuszczonym ze szpitala i mógł powrócić na łono ogromnej natury stepowej, za którą tęsknił, powypijał w nocy wszystkie lekarstwa, przepisane dla kilku innych chorych. Myślałem, że biedak pęknie — zawiadomiłem o tym wypadku stabs-doktora; jednak nic mu się nie stało, skutkiem czy to silnej jego konstytucyi, czy też prędzej bezwładności zafarbowanej wody, jaką felczerowie dają w miejsce lekarstw nieszczęśliwym, za którymi nie ma się kto upomnieć!

Co do Kirgiza uznanego za winowajcę, ten widać nie miał ochoty prędkiego wyleczenia się, aby opuścić na zawsze ziemię rodzin-

na. Rana jego na nodze zamiast się goić, coraz bardziej się jątrzyła, bo ją drapał; i język miał biały, bo kładł na niem ukradkiem liście tytoniowe. Lekarze bandażowali ranę i zmuszeni byli kłaść na bandażę pieczęć — ale i to nie pomogło. Kirgiz szpilką ją krwawił. Musiano podłożyć ceratę na której każde ułknięcie stawało się widocznem. I na to nie zważając przedłużał swą — operacyę — wdała się gangrena — życie zakończył!

Dowiedziawszy się o jego smutnym skutku, ucieszyłem się gorzko, wiedząc iż rzadko który z mahometan skazany na pałki i włóczony przez strój szeregów żołdackich, nie bywa zabitym przez żołdactwo, poduszczane przez ciemnych barbarzyńskich junkrów i praporszczyków, tchnących nienawiścią do biednych dzieci islamizmu, za to, że przodkowie ich kazali niegdyś wielkim książętom moskiewskim trzymać sobie strzemiona u koni. Do takich to niecnych praporszczyków zastosowałbym rosyjskie przysłowie.

“Kuryca nie ptica, praporszczyk nie oficer!”

Wiadomo całemu światu, że w Rosyi karą powszechną są pałki — ale niewiadomo

może, że piętna tych zostają na całe życie. Moskale jednak dobrze o tem wiedzą. Najpierwszą u nich procedurą sądową z obwinionym, w celu przekonania się, czy był już pałkowanym, jest zaprowadzenie go do łaźni parowej, w której gdy rozgrzeje się ciało męczennika, nacierają go flanelą; wtedy wszystkie pręgi, pasy od chłost i bizunów, miejsc poobcierane od kajdan i dybów, występują mu na skórze w kolorze carskiej purpury!

Kirgiz nie tyle się atoli kijów lęka, nie tyle knuta, pod którym pada ofiarą z wyrazem *A ł ł a c h!* na ustach, ile piętna na szafocie, gdy jest skazany do katorżnych robót. Okropnie patrzeć na sprowadzonego delikwenta z rusztowania do więzienia, gdy usłużni ziomkowie jego wyssysają mu z czoła i policzków czarne plamy masy prochowej, zanim stwardnieją i pozostawią na wieki na obliczu człowieczem widomy stępel katowski.

Jeden z podobnie piętnowanych, Tatarzyn, któremu udało się uciec, napotkawszy żołdata, poskoczył do niego i zawołał z rozpaczą; "Zabij mię, bo jeśli nie, to ja cię zabiję!"

Kirgiza uciekającego trudno jest Rosyjanom pochwycić, ponieważ widzi on niezmier-

nie daleko swojemi małemi oczynna. To co się wydaje Europejczykowi jakimś ciemnym punkcikiem w oddaleniu, lub czego dojrzeć nie jest w możności, Kirgiz dostrzega tam jeźdźca, czy pieszego, z lancą, lub bez lancy, tak dalece wzrok go nie myli.

Najbezpieczniejszy punkt oparcia dla zbiegów Kirgiz-Kajsachich, jest Chiwa. Niedawnymi czasy, mirni Kirgizi chwyтали jeszcze żołnierzy rosyjskich, wychodzących na polowanie za rzekę Ural, i sprzedawali ich do Chiwy. Z tego powodu, każda prawie rodzina chiwińska posiada niewolników ze szczepu słowiańskiego, fińskiego itd. Większa ich część za przyjęciem obrzezania, otrzymała wolność. Wielu się pożeniło, osiedliło, niektórzy porobili majątki.

Pewien z liczby takich zbiegów, pochodzenia kozackiego, zamieszkały od wielu lat w Chiwie, dowodząc w roku 1855 Kokańcami przeciwko Rosyi, swej ojczyźnie, dostał się do niewoli, był poznany i przyprowadzony w łańcuchach do Orenburga, z kąd go wywieziono niewiadomo dokąd.

W razie napadów Kirgizów niepodległych, koczujących w głębi stepu, na horde sprzymierzoną, z zamiarem zemsty i nadzieją łupu, gubernator wysłał wojsko dla jej obrony.

Zdarza się, że elew szkoły kadetów, posłany w stepy, przechodzi na stronę swych współbraci niepodległych, szykuje ich i napada na mirną horde. W ostatniej są porostawiane wszędzie liczne pikiety z kozaków orenburskich, uralskich i astrachańskich z oficerami na czele. Do rezydencyi chana przywiązany cały ten oddział.

Gdy kozacy poszukują kogo w stepie, gdzie żadnych dróg nie ma, stanowią swój pułk w jednym punkcie; z tego rozchodzą się w dwie odnogi, następnie z każdej z tych odnog w inne dwie i tak dalej, w sposób siatki pustynię pokrywającej.

Kirgizi nie są odważni: kilkudziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych i śmiałych, może iść przeciw kilkuset Kirgizom. Najwięcej boją się bagnetów. Sposób ich wojowania jest ten sam prawie, co i u Beduinów. Urządzają się przeważnie w konnicę — nieregularną. Niezdolni do stoczenia otwartego boju, napadają niespodzianie gromadą na nieprzyjaciela, uzbrojeni w łuki, lance, siatki druciane, pistolety, nędzne strzelby — nie zachowując wojskowego porządku. Nie dziw więc, że przy szarży, łatwo ich rozproszyć.

Rosya olbrzymim, acz cichym krokiem posuwa się ku Chinom i Indyom, zajmując kraje i plemiona, bronią i intrygą, rzucając ziarno niezgody między nieszczęśliwe plemiona azyatyckie.

Dzielić aby panować, jest zasadą gabinetu petersburgskiego. Niezgoda, jaką krzewi w Azji średniej, między trzema chanatami: Chiwy, Bucharyi i Kokanii obejmującymi około 6.000.000 mieszkańców; jako też między Kałmukami i Karakałpakami, staje się dla Rosyi potężnym orężem, którym to nieoświecone, poważnione narody, same się mordują.

Nie dosyć na tem. Posunęła się ona zbrojno, niedawnemi czasy, ku morzu Aralskiemu, gdzie zdobyła podstępem, za pomocą podkopu, warowne miasto kokańskie Akmerczet, nazwane potem Fort-Perowski, od nazwiska gubernatora orenburskiego, przewodzcę wyprawy. Obecnie, fort ten zamienia się stopniowo w groźną fortecę, tak pod względem ważności strategicznej, jako i budowy w najnowszym stylu, nad którą Moskale usilnie pracują. Fort-Perowski, rzec można, jest dotąd jedyną potęgą moskiewską w tamtych stronach — wszystkie inne mało mają znaczenia; jest najdalszym pun-

ktem oparcia dla armii rosyjskiej w stepie; leży nad rzeką Sir Daryą, w odległości 500 tylko wiorst od morza. Statki parowe, rosyjskie płyną już swobodnie po Sir-Daryi od morza Aralskiego, z kąd łatwo wypłynąć mogą w sposób najeźdniczy i na rzekę Amur.

Wschód zagrożony!...

XVI.

ZAKOŃCZENIE.

Skład oddzielonego orenburskiego korpusu, następujący:

1. Dziesięć batalionów liniowych piechoty.
2. Kózacy gubernii orenburskiej ze swą artyleryą.
3. Kilka batalionów kantonistów, złożonych po większej części z żydów pochwyconych w Polsce i przechrzczonych na grecko-rosyjską wiarę.
4. Zdegradowani na żołdatów dygnitarze i urzędnicy cywilni, najczęściej za utratę skarbowych pieniędzy; jako też oficerowie, ze zwykłym w stanie ich służbie epitafem: za pijaństwo, bujanstwo, nocnojeszatanstwo.

tielstwo i rozbitje stiekoł, roz-
żałowan w zaszczytniki otiecze-
stwa, co się tłómaczy po polsku: za pi-
jaństwo, hałaburdy, nocne włó-
częgostwo i rozbijanie szkieł,
zdegradowany na obrońcę ojczy-
zny!

5 Ziomkowie nasi zesłani za to, że ko-
chali swoją ojczyznę.

Do ostatniej kategorii zaliczony zostałem.
Przez lat sześć nosilem karabin.

Pewnego dnia 1885 roku, stałem na warcie
na odwachu w Orenburgu, gdy w dzwony ude-
rzono. Huk to był niezwyčajny.

Sędziwy staruszek przechodził ulicą.

— Co to mają oznaczać owe dzwony? sta-
ruszku, zapytałem.

— Jedno z dwojga panie żołnierzu: albo
archimandryta, albo też — rzekł, nieskończy-
wszy frazesu, i potrząsając głową, postąpił da-
lej.

Dzwony ciągle tętniły.

Po zmianie warty, powracając do koszar,
postrzegłem na dziedzińcu grupę oficerów i do-
słyszałem słowa: car, cara, caru; mówiono o
carze z miną tajemniczą.

Nazajutrz rano przyszedł rozkaz, aby wojska na plac wystąpiły. Wkrótce za niemi przybyli tam popi, władze wojskowe; porostawiano cerkiewne obrazy i odśpiewano modlitwy za Mikołaja I., który przeniósł się do wieczności. Następnie cała siła zbrojna wykonała przysięgę na wierność nowemu monarsze, Aleksandrowi II.

Tegoż dnia zaszedłem wieczorem do jednego ze znajomych oficerów; zastałem tam wielu innych wielbicieli świeżo zmarłego mocarza północy, na ten raz wytykających wady nieboszczyka, a unoszących się z kieliszkami w rękę nad wysokimi przymiotami nowego cara. *Le roi est mort, vive le roi!*

W koszarach niektórzy pisarze wojskowi dowodzili półgębkiem, jakoby tron nie należał się Aleksandrowi, wedle najdawniejszych praw rosyjskich, ale jego młodszemu bratu, Konstantemu, gdyż pierwszy urodził się wtedy, gdy ojciec jego nie był jeszcze carem, lecz tylko wielkim księciem.

Długo w nocy nie spałem, natłok myśli obciążał mi głowę, a gdy zasnąłem, ciężki sen męczył mię niesłychanie:

Byłem w jakiejś krainie nadprzyrodzonej.

Salon w niej był złożony z kry lodów. Na krach jakieś bezkształtne dziwolągi i polarne niedźwiedzie szczekotały zębami — w salonie stały posągi z ludzi zamrożonych, i odbywały się gody. Puhary, orderzy i szarfy biesiadników, przy lamp tysiąca błysku ćmiły moje oczy; świszczwały wiatry, tonie spienionych bałwanów o kry uderzały.

Naraz postrzegam widmo czarne, ponure, w koronie z kości trupich. Odskoczyłem od niego. Siedziało w środku korowodu, a za niem stała larwa, nucąca grobowo po każdej przegrywce orkiestry:

„Lepiej być ofiarą, jak katem —
Lepiej być ofiarą, jak katem.“

Widmo kiwało głową — a tam zaś, gdzie były oczy, krople spiekłej krwi sączyły mu się na kolana.

Nagle strojni goście zamieniali się w kosteczki, kosteczki — i znikli. —

Roztwierają się z łoskotem podwoje, wpada tłum nagich skieletów.

— Oddaj mi moją szyję! woła jeden z nich do koronowanego.

— Szyję! powtarza chór.

— Oddaj moje dzieci! woła drugi.

— Dzieci! powtarza chór.!

— Na co mię przechrzcileś! Bez błogosławieństwa matki wnijsć nie mogę do raju, upomina się trzeci.

— Wnijsć nie mogę do raju! woła płaczliwie chór.

— Wyrwałeś mózg mojemu mężowi, a wsadziłeś mu gąbkę! Gdzie jest mózg męża mego? — woła skielec kobiety.

Pretensyi było bez liku — aż nareszcie chwytą mię jeden z nieboszczyków w piszczelę, i ciągnie przed czarne widziadło. Wydieram się jak mogę, włosy mi się jeżą z przestachu, urazy przebaczam, zawołałem — lecz na to słowo, wszystkie skielety zwróciły się wraz. Nie ma, nie ma przebaczenia! wrzasnęły społem i nuż mię kułakować! —

Przebudziłem się, oblany zimnym potem.

Upłynął mały przeciąg czasu od tego snu okropnego, gdy otrzymałem rozkaz stawienia się w sztabie przed moim dowódcą. Pierwsze jego słowa były Bóg i car miłosierny — pozdrawiam cię z marszem! Potem odczytał mi ułaskawienie nowego monarchy, który, przychylając się do raportu generała korpusu, donoszącego o mej długoletniej pilności w pełnieniu obowiązków służbowych i o sprostowaniu mego sposobu myślenia, rozkazał wykre-

ślić mię z listy politycznych winowajców, podciągnąć pod prawa ogólne armii czynnej i posłać na wojnę do Krymu, w celu dania mi sposobności dosłużenia się rangi oficerskiej.

Walczyć przeciw Francyi i Anglii, nadstawiać kark pod jatagan turecki i topić bagnety w piersi, może współziomków, było mi więc najmiłościwiej dozwołonem.

Wysłuchawszy mszy śtej w katolickim polskim kościółku, wypowiadawszy się przed kapłanem, ks. Zielonką, cichą łzą skropiwszy oblicza kolegów, porzuciłem Orenburg, a trzymając się wskazanej marsz-ruty, przybyłem do środka Rosyi.

No! jeśli wam teraz nie umknę, nazwiecie mię *k r u g o m d u r a k*, powiedziałem sobie, i zamiast przedłużać drogę do Krymu, zwróciłem się ku Polsce, a po wielu, wielu przygodach, których opis pomieszczę w następnym tomie, dostałem się przecież do Niemiec.

Gwiazda mej wolności wschodzić zaczęła.

W Niemczech ujrzawszy się bez przytułku i opieki, trwoga mną miotła, zwróciłem się myślą ku łagodnemu horyzontowi politycznemu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przybyłem do Hawru, wsiadłem na okręt; pieśń majtków, łącznie z mem westchnieniem,

pożegnała starą, kochaną Europę; rozwinięto żagle, nikt ład powoli, наконец roztopił się we mglistej powłoce.

Popłynąłem do nowego świata.

Przybywszy do Nowego Yorku, zaszedłem do najbliższej gospody, z torbą podróżną pod pachą. Rozmowa moja z panną fartuszkową odbywała się na migi, bo nie umiałem po angielsku. Pocziwa, podawszy mi przedewszystkiem befsztyku i herbaty, przyprowadziła młodego Francuza, który nazywał Polskę północną Francją, a po paru dniach naszej znajomości, ofiarował mi się za nauczyciela języka angielskiego,

Gdy, nauczyłem się najpotrzebniejszych wyrazów, gdyż gramatyki już się poduczyłem był na okręcie, zaprowadził mię do City - Hall — na ratusz — do wydziału naturalizacyi. Tam odczytano mi deklarację, wedle praw republikańskich, że wyrzekam się „wszystkich królów, książąt i potentatów, a mianowicie cesarza rosyjskiego“ — odpowiedziałem y e s ! pocałowałem podaną mi biblię, zapłaciłem 25 centów — i ot, za jedno tak! i za dwa złote polskie, zostałem wolnym obywatelem na drugiej półkuli, w ojczyźnie Waszyngtona.

Do widzenia czytelniku!...

K O N I E C



Chelsea

St. Stanislaus
Adult- Library

Mass.

author

J. gordona

title

Obrazki Caryzmu

location

6-2

date due

borrower's name

J. Gordona

Obrazki Caryzmu

6-2

